













**STEFAN ŻEROMSKI**

# **URODA ŻYCIA**

**POWIEŚĆ W DWUCH TOMACH**

**TOM II.**

**KRAKÓW**  
**SPÓŁKA NAKŁADOWA „KSIĄŻKA“**

2000

# ANNALES

DE LA SOCIÉTÉ



# URODA ŻYCIA

TOM II.





STEFAN ŻEROMSKI

# URODA ŻYCIA

POWIEŚĆ W DWÓCH TOMACH.

TOM II.

WYDANIE DRUGIE.



SPÓŁKA NAKŁADOWA „KSIĄŻKA“, KRAKÓW.

SKŁADY GŁÓWNE: WARSZAWA, G. CENTNERSZWER I SKA; KRAKÓW,  
S. A. KRZYŻANÓWSKI; NEW-YORK, THE POLISH BOOK IMPORTING Co.

<http://rcin.org.pl> P-3878/2



*CZĘŚĆ II.*  
*ALIENATUS A SE.*



## I.

Po schodach, wysłanych dobrze zdeptanym dywanem, Piotr Rozłucki wszedł na drugie piętro i pod wskazanym numerem znalazł na drzwiach metalową tablicę z napisem: „Stanisław Darzewski, adwokat przysięgły“. Nacisnął dzwonek i wnet dostał się do ciemnego przedpokoju. Jakaś babina zabrała się do ściągania z jego ramion oficerskiej szyneli. Powstrzymał ją pytaniem.

— Czy mogę się widzieć z panem Wiktorem Rozłuckim?

— A jakże! pan Rozłucki dziś dyżuruje.

— Dyżuruje nawet... A widzieć go można?

— Zaraz się dowiem. A jakże godność powiedzieć?

— Takiesamo nazwisko: Rozłucki.

Kobiecina poskoczyła do drzwi w głębi, zastukała i wnet Wiktor stanął na progu. Miał na sobie czarny frak ze znaczkiem adwokackim. Wyraz jego twarzy nie był już po dawnemu burszowski, lecz oczy zostały taksamo wesole. Przypatrzył się Piotrowi bardzo uważnie w ciemnym korytarzyku, uściskał go bez afektacyi i zaprosił do pokoju. Pokój ów, umeblowany w sposób niedrogi i szablo-



nowy, miał specyficzny zapach, właściwy kancelaryom i biurom, gdzie wyczekują ludzie niezamożni. Wiktor posadził gościa na głównym fotelu i znowu przypatrywał mu się pod światło.

— A to jest owa sławna blizna... — rzekł, wskazując palcem na długą, dawno zgojoną, lecz jaskrawo widoczną szramę na policzku oficera.

— A tak, to blizna...

— Zdobi cię tak już ze dwa lata?

— Tak jest, dwa lata z górą.

— A jakie też, — powiedzmy, — pociągnęła następstwa? Czy aby z pułku, a raczej z baterji?...

— Nie. Był sąd, ale wypadł nie tak znowu źle, jak przypuszczali moi przyjaciele, no i ja sam. Skazano nas wszystkich, awanturników, na sześć tygodni srogiego odwachu i pominięcie w awansie przez dwa lata.

— Łagodny wyrok. A więc trwasz po dawnemu bez awansu na starem miejscu?

— O, nie! Po odsiedzeniu owego odwachu dostałem tranzlokacyę mniej pomyślną, do baterji fortecznej w twierdzy Zasiek, a ściślej jeszcze, do jednego z fortów tej twierdzy, zwanego „Czornyj Oriol“. Tam właśnie te dwa lata spędziłem.

— W forcie „Czornyj Oriol“? Nazwa bardzo piękna. No a miejsce wesołe?

— To zależy od humoru. Co do mnie, to żyłem tam dosyć zacisznie.

— Nic o tem nie wiedzieliśmy. No, a teraz?

— Teraz dostałem nareszcie urlop na miesiąc

i wprost z okopów fortecznych przyjechałem tutaj. Jakże się miewa stryjasek Michał?

— A pan Rozłucki starszy — trzyma się. Oczywiście, gospodaruje w swych Cierniach. Długów ma teraz jakby mniej i urodzaje jakoś lepsze. Jeźdźmy tam na lato.

— Bardzobym i ja pragnął pojechać na dzień, na dwa do stryjaska.

— Wpadnij na dłużej, a napewno zrobisz starszemu panu dużą przyjemność, bo cię bardzo lubi.

— Jest to w takim razie afekt wzajemny. Stryj Michał jest dla mnie najmilszym towarzyszem. — Zamyślił się i dodał:

— Stryj Michał jest zacnym i dobrym człowiekiem...

Piotr mówił to wszystko w sposób jakby usprawiedliwiający się i nieśmiały. Wiktor wciąż przypatrywał mu się spod oka. Po pewnym czasie rzekł:

— Kuzynie, jadąc tak wprost ze swego „Czarnego Orła“, mówisz doskonale po polsku!...

— Tak, mówię już jako tako, choć trafiają się jeszcze i potężne błędy.

— Nie widzę tych błędów, może dla tego, że wszyscy grzeszymy.

— Och, żartujesz!

— Straciliśmy cię z oczu.

— A co z oczu, to i z myśli... — uśmiechnął się Piotr.

— Dam ci dowody, że tak nie jest. Co do mnie jednak, to jestem tak zapracowany, że rzadko kiedy mogę sobie pozwolić na uczucia familijne.



— A może i teraz jesteś zajęty? — zafrasował się Piotr.

— Daj-no pokój! Siedź grzecznie i nie wierć się na tym meblu, bo jeszcze nie zapłacony.

— Nie chciałbym...

— Wiem, że nie chciałbyś, to też siedź! Powiedźże mi, kochany Piotrusiu, a z dziadem — jakże?... Protegował cię, a teraz już nie proteguje. Jakiś się zrobił sierdzisty na ciebie. Powiem nawet otwarcie, że nie lubi o tobie wzmianki.

— A tak... Rozeszliśmy się, — jeden do sasa, drugi do lasa.

— A bo ty w samej rzeczy może bardziej do lasa... — zaśmiał się Wiktor długo i dziwnie.

Zbliżył się do Piotra niepostrzeżenie i serdecznie go uściskał. Piotr oddał mu pocałunek. Siedząc na poręczy fotela, Wiktor powiódł łagodnie ręką wzdłuż szramy na policzku Piotra i mówił:

— Ale — ale! A taż bogdanka, dla której taki wiadukt dałeś sobie w buzi wyorać — cóż ona? Gdzież są dowody jej wdzięczności?

— Niema żadnych. Nie wiem nawet, co to za jedna, gdzie jest i jak się nazywa.

— Kpisz chyba! Nie wiesz, gdzie ona jest i jak się nazywa?

— No, nie wiem.

— Nie! To już jest bohaterstwo nad bohaterstwem... I powiedzcie! tego nie opisują wierszami... Dał się za pannę porąbać, siedział w bąku, potem w fortecy, zwanej „Czornyj Oriół“, awansu go po-



zbawiono, — no i koniec końców nie wie, jak się jego dama nazywa...

— Nie jest to wcale moja dama.

— I nigdy z nią nie rozmawiałeś, błądzący rycerzu?

— No, nie. Gdzież miałem rozmawiać? Przecie nie w szpitalu, nie w „bąku“, ani nie w baterii, albo w moim forcie, gdzie osoby płci pięknej źle są widziane. Nie spotkałem już tej panny po awanturnie. Nieraz wydaje mi się, że jej wcale na świecie nie było i teraz niema.

— No, tak znowu romantycznie to nie jest. Już ja nawet wiem, jak ona się nazywa i gdzie mieszka.

— Doprawdy? — zapytał Piotr.

— Mój kolega, a raczej pryncypał, Stacho Darzewski, z którym na wspólny deficyt prowadzimy tę adwokacką budę, pochodzi z Podlasia, z za jakichś ściśle tamtejszych Mord. Tam właśnie, za owemi Mordami, gdzieś w piaskach i wśród sosenek przebywa twoja panna.

— Skądże wiadomo, że to właśnie tasama?

— No, przecie takie rzeczy nie codziennie się w Polsce zdarzają, żeby oficer, należący do „prawosławnego woинства“, rąbał się w obronie honoru niewinnej polskiej dziewczicy z kupą napastujących ją „mnesterów“, należących do tegoż woинства. Sprawa była dosyć głośna. Tak nawet głośna, że może dla tego skazano cię z niejaką oględnością.

— Nie wiedziałem, że jestem aż tak sławny.

Ale mniejsza o to. Więc jakże się ta panna nazywa?

— Zaraz się dowiemy. Adwokaci, kochanku, wszystko wiedzą.

Wiktor uchylił drzwi i nakazał dyżurującej babinie:

— Niechno Karolowa poprosi tutaj duchem pana Darzewskiego.

Zwróciwszy się do Piotra oświadczył:

— Muszę cię uprzedzić, że Darzewski, który tu zaraz przyjdzie, to narzeczony mojej siostry.

— Kamy?

— No, tak, bo innej nie mam.

— A gdzież teraz jest Kama?

— Tu w Warszawie. Daje po staremu lekcye na pensyach.

Wszedł młody człowiek bardzo pięknej powierzchowności, typ dorodnego polaka. Gęste szare włosy piętrzyły się skrętami na jego kształtnej głowie. Mała broda ozdabiała twarz suchą, ściągłą i niezwykle sympatyczną.

— Stachu, — rekomendował gościa Wiktor, — to jest Piotr Rozłucki, nasz brat.

— Darzewski, — rzekł tamten krótko.

— Chodzi o to, jak się nazywa panienka, dla której nasz Piotruś poniósł tę oto szramę. Ta, wiesz, panna z waszego Podlasia...

Darzewski siadł przy biurku i uprzejmie, lecz badawczo przypatrywał się Piotrowi. W głębi jego jasnyniebieskich oczu malował się namysł i rozważa. Rzekł lakonicznie:



— Ościeniówna.

— A właśnie... — podchwycił Wiktor. — Takie podlaskie nazwisko — Ościeniówna. Tam, pewnie, jest to najtęższa arystokracja na przestrzeni od Sokołowa do Międzyrzecza. Teraz sobie nawet przypominam: Oścień. A gdzież to oni mieszkają ci magnaci?

— Nad Bugiem.

— „Nad Bugiem“. Kto was tam wie, gdzie to jest. Bug długi. Gdzie? Jaką drogą jechać?

— Jechać trzeba przez Siedlce, Mordy...

— O, Mordy! Nie mówiłem?

— Przez Łosice w kierunku Drohiczyna. W samej już nadbużańskiej nizinie mieszkają w Zatoce Ościeniowie, a z nimi, oczywiście, ich córka, panna Małgorzata.

— Małgorzata... — zmartwił się Wiktor, — cóż za defekt! Więc jak? Czy to jest wasza gruba szlachta, czy takie sobie szlagony?

— Nie można powiedzieć, żeby byli zbyt grubą szlachtą, ale zawsze liczą się do ważniejszych domów w okolicy. Siedzą tam z dawien dawna pod Drohiczynem.

— A ty ich, Stachu, znasz dobrze?

— Byłem tam raz za studenckich czasów na tańcach w Boże Narodzenie. Później już nie widziałem...

— A cóż to za osoba owa panna Małgorzata? Także imię!

— A panna, jak inne. Cóż cię tak to imię niepokoi? W konkury się wybierasz, czy jak?



— Ja nie, ale oto Piotrusiowi patrzyłoby się tam pojechać.

— Pan Rozłucki, o ile wnosić mogę, nie zna tak jeszcze kraju, ani stosunków... — rzekł Darzewski.

— Tak, oczywiście, to też nie myślę jechać do owej panny nie tylko w konkury, ale nawet z wizytą.

Mówiąc to, Piotr nie spuszczał z myśli szczegółów i nazwisk. Powtarzał: Małgorzata Ościelniówna, w Zatoce, przez Siedlce, Mordy, Łosice, pod Drohiczynem. Począł wesoło rozmawiać z Wiktorem i Darzewskim, z premedytacją odsuwając temat o Podlasiu.

Darzewski był człowiekiem małomównym. Za to Wiktor sypał anegdotami. W pewnej chwili rzekł:

— A czy nie należałoby tego gościa podjąć herbatą i ciastkami?

— Owszem, naturalnie! — poruszył się Darzewski. — Zaraz powiem Karolowej.

Ciszej dorzucił:

— To możebyś zatelefonował do Kamy. Pewnie ma wolny czas...

Wiktor zabrał się do telefonu i wnet rozmawiał z Kamą. Wymienił imię Piotra i kilkakrotnie nastawał, żeby przyszła. Składając słuchawkę, powiedział:

— Zaraz tu będzie.

Ktoś zadzwonił i za chwilę Karolowa wsunęła do pokoju głowę z zawiadomieniem, że nadciągnął

klient taki a taki. Piotr przeprowadzony został do salonu, niezbyt szczelnie zastawionego zbieraniną mebli sownie lakierowanych i skąpo wyściełanych. Wiktor zamknął się w gabinecie z klientem, a Darzewski musiał przystąpić do bawienia Piotra w salonie. Mówił teraz z konieczności więcej. Spokojnie i bez pośpiechu informował o stosunkach w sądownictwie, adwokaturze, więzieniach i t. d. Piotr dla podtrzymania rozmowy zapytał:

— Panowie prowadzicie sprawy cywilne?

— Nie wyrzekamy się cywilnych, gdyż bez nich nie moglibyśmy związać końca z końcem, ale naszym głównym zadaniem jest obrona spraw politycznych.

— Politycznych?

— Tak.

— To jest niby jakich?

— Zdesperowani ludzie budują po nocy wilcze doły, żeby nad ranem w nie wpaść, albo przez nieopatrzność w rzeczach walki i porażki wtrącić innych. Musi być ktoś, ktoby na zasadzie obowiązującego prawa zdejmował w wilczych dołach tych, co się już na pal nabili. Otóż my z Wiktorem wzięliśmy się do tego miłego zajęcia.

— A dużo też jest spraw tego rodzaju?

— Od natłoku mało nam kancelarya nie pęknie. Wytworzyło się w niej istne ministeryum polskiej biedy. Kiedy się to wszystko rozpatruje, kiedy się wszystkie żyły krwionośne i nerwy tych spraw ogląda w świetle badania, niewesołe myśli oblegają głowę.



— Dla czego? Czy sprawy same są zniechęcające, czy ludzkie charaktery lichy?

Darzewski nie odrazu odpowiedział. Namyslał się nad rodzajem odpowiedzi, której miał udzielić. Rzekł wreszcie:

— Wiktor wynalazł formułę następującą: jedynem prawdziwym bogactwem polskiego plemienia jest jego nędza. Upatruje on w tej nędzy wielkie zalety, wychwala je i podnosi. Ale Wiktor jest optymistą, a nawet entuzjastą. Ja, który patrzę bardzo trzeźwo na rzeczy, dużobym musiał zrobić zastrzeżeń.

Piotr, przysłuchując się napozór obojętnie wywodom Darzewskiego, dziękował sobie samemu za pomysł odwiedzenia tego adwokackiego biura. Coś o adwokaturze Wiktora i Darzewskiego słyszał był od stryja Michała. Dochodziły go i skądinąd wieści mętne, odległe i stłumione. W bezwzględnej samotności swej tęsknił w forcie za pracą, za ciemniem pracy, za najlichszą, za najnędzniejszą jej nicją, którąby mu zwijać dano. Żył przez dwa lata w nauce i poznał niemało. Żył w książkach polskich i pochłonał ich bardzo wiele. Zdawało mu się, że wszystkie, jakie tylko są, przeczytał, szukając pracy, istoty pracy, osnowy najkardynalniejszego czynu. Ale książki były martwe, pełne odpychającej jałowości, z treścią zjedzoną przez rutynę formy, gadatliwe, łzawe, albo rozedrgane od bezmyślnej i nieznośnej histeryi uczuć. Poezya, wspomnienia, przemądrzałe nicowanie starej niemocy, wytartej, dziurawej i zdechłej niedoli — oto



były książki polskie. Widział daleko od siebie niskie życie, życie istotne, płynące wiekuistym prądnym źródłem, jak nieśmiertelna woda z zamulonego stoku, z tajnych źródeł pod ziemią buchająca, — ale nie mógł do tej wody dostać ustami. Pierwszy to raz w życiu mówił o tej rzeczy z kimś młodym i rozumnym. Z małych i niechętnych słów Darzewskiego wnioskował, że jest przecie jakaś gdzieś praca...

Znowu rozległ się dzwonek i Piotr usłyszał w przedpokoju głos kuzynki Kamy. Na jej spotkanie wyszedł Darzewski i wnet wprowadził ją do „salonu“. Kama była ubrana wykwiśniej, uczesana modniej i naogół jakaś inna, strojniejsza. Cieszyła się widokiem Piotra i ze szczerością poczęła rozmawiać z nim po polsku.

— Kuzynie! mówisz doskonale po polsku...

— A mówię i to na złość tobie, kuzynko.

— Kto cię uczył?

— Bieda uczyła.

— Niezła to jest, widać, nauczycielka. Ponieważ ja jestem również nauczycielką i to tegosamego przedmiotu, więc po tym egzaminie z dwuletniej nauki chcę ci postawić stopień bardzo dostateczny.

— Dziękuję, ale ja jestem uczeń nadmiernie ambitny. Muszę być we wszystkim prymusem.

— Patrzcie! Weźże sobie jeszcze lepszego pedagoga.

— Mówił mi tutaj twój narzeczony...

— Jak widzę, to nawet echa zapowiedzi dochodziły do twego fortu.

— Zapowiedzi powinny docierać nawet do fortów.

— Cóż robiłeś przez cały ten czas?

— Mustrowałem krnąbrnych żołnierzy.

— A jeszcze, — poza tem wstrętnem zajęciem?

— Mustrowałem swoją krnąbrną duszę.

— Trzeba mówić wyraźnie, bez tego zastawiania się wyrazami.

— Czyż ja wiem, co robiłem? Właściwie nic. Czytałem i milczałem. Dla odmiany: milczałem i czytałem.

Kama nachyliła się do niego i rzekła cicho:

— I do nas dochodziły wieści, że byłeś narzeczonym i że twoja narzeczona umarła.

Piotr odwrócił gwałtownie głowę, a dla uchylenia tej kwestyi powiedział:

— To były wieści.

— Dla czego umarła?

— Nie trzeba mówić o umarłych.

— Czy nie możesz powiedzieć?

— Nie.

— A jednak będę niedyskretna i jeszcze raz zapytam, czemu?

— Zbyt wyniosłe miała serce.

— Zdradziłeś ją?

— Nie.

— A cóż się teraz dzieje z twem sercem?

— Mówi pismo: „Gdzie skarb twój, tam serce twoje“.

— A gdzie jest teraz twój skarb, to przynajmniej powiedz!



— Mój skarb głęboko jest w ziemi zakopany.

— Jakież to dziwne zjawisko! Kiedy cię ostatni raz widziałam, byłeś wróg, a teraz jesteś z nami...

— Z wami?... — rzekł w zamyśleniu.

— Czyż nie?

— Ja jestem sam... — rzekł spokojnie. — Zupełnie sam.

— O, a czy aby nie jesteś jakim nadczłowiekiem?

— Ani trochę! Daleko żołdatowi do człowieczeństwa, a cóż dopiero do takiego awansu!

— Cóż tedy poczynasz ze sobą, prócz czytania i milczenia w tej samotności?

— Przepatruję z obowiązku słowiańskie walory. Sprawdzam, ile są warte rosyjskie, a ile polskie. Liczę na szyfrowej tabliczce, kto kogo pobije. Nastawiam armaty i uczę się celować nieomylnie. Jeżeli nie mam trafić, nie strzelam.

— I to wszystko wystarcza ci?

— Nie zupełnie. Mój widnokrag zasłonięty jest z czterech stron świata wałami ziemnymi. Te wały są bardzo nudne, gdy się na nie patrzy zbyt często. Mój pejzaż — jest to niebo. To też obmierza mi ziemia.

— Doprawdy? I czegoż to ci się zachciewa?

— Nieba.

— Kuzynie, przechwalasz się!

— Nie. Chyba się ganię, bo przecie liczyć, mierzyć, celować, nastawiać działa i tęsknić do nieba,

to nie znaczy — wykonywać. Wzdychać do wykonania i nic nie czynić, to chyba nie pochwała.

— Dużo jest wśród nas takich, co się podobnie, jak ty, ganiają. Ogromne łakomstwo na wielkie czyny i bardzo mało jakiegokolwiek roboty. Uczą się wciąż swego wielkiego czynu, trawiają czas na milczeniu i rozważaniu, a roboty ich niema śladu. Byli tacy, co się przez całe życie ćwiczyli w sztuce wodzowania, a nie zostali nawet żołnierzami. Śpią ich dużo po bezimiennych mogiłach.

— Nie chciałoby mi się powiększać galeryi takich wodzów, ale i do szeregu ślepych żołdaków nie myślę przystać. Jestem sobie nieufny żołnierz, stojący na uboczu, który nikomu i niczemu nie wierzy, nikomu niczego nie zazdrości i niczemu nie schlebia, — ani ludziom, ani zasadom.

— Kuzynku drogi! strzeż się jak ognia gawędki o czynie, sztuki powiększania siebie za pomocą plotki o swej potędze, a nadewszystko ordynarnego wywyższania siebie ponad wszystko. Nad polską nędzę niepodobna się wywyżżyć...

— A jednak trzeba. Nie znoszę lepszego mułu, który wszystko tutaj zalewa. Nazywa się to polską nędzą istnienia, ale samo staje się tyranem istnienia. Przecie ten, kto chce latać na skrzydłach, musi się wywyżżyć ponad tych, co chcą tylko pełzać i to na kolanach.

Darzewski siedział na uboczu i przysłuchiwał się tej rozmowie. Czasem podnosił oczy na Kamę i wówczas w jego spokojnych oczach malowało



się głębokie uwielbienie. W chwili milczenia, która nastąpiła, rzekł do Piotra:

— Gdy się zbliżyć do naszych rzeczy, jak to jest za studenckich czasów, to takie się ma uczucia, jakie pan przedstawił. Ale gdy zacząć cokolwiek robić, gdy się stanie wobec żarłocznego życia, które próżni nie znosi i zapełnia je tasmą miazgą pospolitości, co na całej kuli ziemskiej, — to wówczas przedzierzga się człowiek albo w jakiegoś partyjnego pospolitaka, albo, co gorsza, w partyjnego również za-nos-wodza. Niełatwo tu wybrnąć z tego dylematu.

Karolowa przerwała dyskusję, dając znać, że herbata gotowa.

Stołowy pokój był jeszcze najzupełniej studencki. Brak przepychu dawał się tam widzieć od pierwszego rzutu oka. Kama usiłowała ukryć zbyt jaskrawe objawy tego braku przepychu w rozmaity sposób, co się jej raz udawało, a drugi raz niebardzo. Szklanka herbaty Wiktora stygła, gdy nadchodził z adwokackiego „gabinetu“ za korytarzem. Zjawił się wreszcie, gdy ilość ciastek była już znacznie uszczuplona. Był w złym humorze. Usiadł na swem miejscu bez zwykłego uśmiechu i zwykłych figlów w słowie.

— Cóżś taki skwaszony? — dopytywała się Kama.

— Et, nic, tak sobie.

— Spotkało cię co złego?

— Nie.

— Kuzyn pomyśli, żeś nierad z jego przybycia.

— Nie pomysli.

— W samej rzeczy, czemużes taki osowiały? — spytał „pryncypał“ Darzewski, mierząc go badawczym okiem.

— A cóż, u Boga Ojca, — drgawek mam dostawać z radosnej ekstazy? I czego? Cóż mię tak dalece pocieszającego spotkało?

— Kuzyn Piotr przyjechał.

— A no to się już raz ucieszyłem i teraz się drugi raz cieszę. I on wie o tem, że się cieszę.

— Trzeba go zostawić w spokoju, niech się pławi w melancholii... — rzucił Darzewski.

— Tybyś się także spławił, żeby ci przyszło tak jak mnie świecić oczami przed tą babiną...

— Przed którą babiną?

— No, przed starą Górniaczką.

— Matką tego Pawła Górniaka?

— Dowiedz się...

Darzewski syknął i strzepnął palcami.

— Cóż ona mówi?

— A kto tam wie, co ona mówi!

Wiktor wstał ze swego miejsca i przeszedł się po pokoju. Śmiał się ironicznie, mówiąc:

— Przywiozła synalowi z głębi radomszczyzny buty, koszule, przyodziewek na jesień, żeby zaś chłopak nie marzł, — serki owcze i krowie z podśmietania, bardzo dobre, podeschnięte, masła oselkę sporą, miodu faszczkę. Niechże się choć chłopaczyna pocieszy w tem więzieniu. Wszystko mi sprezentowała, żeby pan adwokat wiedział, co było, a pomógł ze swej łaski odstawić chłopakowi do



rąk, żeby zaś po drodze złe nie zeżarły. Dobrze trafiła!

Kama zafrasowała się żywo:

— A co? A co?

— No to! Pawełek Górniak właśnie na matu-sine serki czeka.

— A co? A co?

— A to, że Paweł Górniak trzy dni temu... — Wykonał dokładnie określający gest ręką.

— Och! — jęknęła Kama, zakrywając oczy.

Mężczyźni skrzywili się z odrazą.

— Cóż to było? — zapytał Piotr.

Darzewski rzekł spokojnie:

— Nie można było nic poradzić.

— Nic a nic, — dorzucił Wiktor.

— Powiedziałeś jej? — zapytał pierwszy.

— Nie.

— Trzeba przecie... — mówił ze smutkiem.

— To idź, powiedz.

Stali obadwaj przy stole, patrząc na siebie zimnemi i mądrymi oczyma. Wiktor podniósł głowę. Spojrzał na Piotra z uśmiechem cichym i żalonym, który go uczynił niesłychanie podobnym do stryja Michała i który samego stryja jak żywego przypomniał.

— No, darmo! Trza do niej iść... — rzekł do siebie.

Westchnął cichaczem, odwrócił się i wolno poszedł do kancelaryi.

## II.

W kilka dni później Piotr przybył do miasta Siedlec. Miasto to zrobiło na nim tak przykre wrażenie, iż zapragnął nająć coprędzej konie i wyjechać. Ale z wynajęciem koni w mieście Siedlcach nie poszło tak łatwo, jak z powzięciem postanowienia wyjazdu. Po wielu dopiero gadaninach, bieganiach i targach zajęchała przed hotel, gdzie się zrodziła idea podróży, jednokonna dorożka, a jej długobrody i długopoły właściciel oświadczył, że jest gotów. Piotr wsiadł i wkrótce znalazł się na szosie, prowadzącej w stronę Mordów, Łosic i Drohiczyzna. Rozglądając się po lasach, polach i wioskach podlaskich, rozmyślał teraz dowoli, dokąd to i po co jedzie w te płaskie strony. Właściwie nie mógł dać sobie żadnej na to odpowiedzi. Jechał, popychany przez wewnętrzną konieczność, ażeby zobaczyć na własne oczy jedną z przyczyn śmierci Tatjany. Owa piękna panna — jak powiedziano — Małgorzata, stała długo w jego duszy, jako zły myt, jako postać z krwawej tragedyi, jako wyobrażenie bolesnych zdarzeń, wreszcie jako zabobon nienawistny w ciemni uczuć. Widział ją był na jawie tak krótko, dwa razy w życiu, a jakże na niem



ciężko zaważyła! W gorących snach po śmierci Tatjana przychodziła nieraz przekłeta i strwożona, żeby się kajać i uniewinniać słowami, które tylko w jego duszy istniały, — co wyrosły na samotnej górze tęsknoty do umarłej, niby kwiaty trujące, obce niebu i ziemi. Na podobieństwo człowieka, który, poznawszy nieobeszły zakres cierpienia, zapragnął obejrzeć jego przyczynę, ranę, skąd ono pochodzi, Rozłucki postanowił zobaczyć nareszcie upiorzycę, przekonać się, że to jest pospolita, dobrze urodzona i poprawnie ułożona panna z zanego gniazda, osoba z posagiem, wyprawą i srebrami... Jeżeli można tak się wyrazić, pożądał rozczarowania — jechał tak daleko, żeby właśnie powiększyć nicość wzniosłości w swej tragedji, zasypać źródło wszelkiego w niej piękna i eksperymentalnie, zapomocą doświadczenia, głębszy śmiech ze swej boleści wydobyć. Myślał, że może się uda, niweczając wyobrażenie o jednym z fantomów wewnętrznego procesu, wrzucić do żelaznego pieca cały odłam młodego życia wraz ze wszystkim jego czuciem — do pieca, gdzie rzucił i bezlitosnie spalił Tatjanę. Sądził, że może się uda, podsycając wciąż ogień, wypalić w nim produkt, którego pożądał, twardą, cel swój znającą wolę.

Tak postanawiał, trzęsąc się na siedzeniu woźnicy Pinkusa. Pinkus popędzał swą szkapę, mijał miasteczka, wioski, oraz bardzo piękne „okolice“ szlacheckie, dworki porozrzucane malowniczo. Tam i sam widać było we wsi chłopskiej, szczelnie zabudowanej, nową, lśniącą cerkiew prawosławną.

Wieś polska zazębiała się tutaj z ruską. Czasem na przecięciu gościńców stała dawna, gontem kryta kapliczka uniccka, zszarzała, zapomniana i przełękła. Ludzie idący lub jadący drogą, dostrzegłszy mundurową czapkę Piotra, odwracali oczy albo spuszczały głowy. Nad wieczorem zakurzony pojazd, przeciąwszy w poprzek to całe nieme Podlasie, znalazł się w nadbużańskiej dolinie, wśród pięknych lasów i rozległych łąk. W dali na wzgórzu widać było jakby miasto obronne, najeżone od wież i gmachów. Woźnica Pinkus objaśnił, że to jest właśnie Drohiczyn.

Wkrótce dotarli do rzeki i promem przeprawieni zostali na drugą stronę błękitnego Buga. Szkapą wdarła się z trudem na strome osypiska prastarego grodziszczu. Widok, który się przedstawił oczom przybysza w owym mniemanem wielkiem mieście, nie był zbyt budujący. W rynku stał jeden ex-kościół, waląc się w gruzy, poniżej widać było ogromny klasztor, również w gruzach. Na uboczu kwitł kościół gotycki, zamieniony na cerkiew prawosławną za pośrednictwem umieszczenia bań bizantyńskich na jego wieżach, — dalej jeszcze jakaś świątynia osypiskami swemi dodawała malowniczości temu grodowi. Słowem — „bram cztery ułamki, klasztorów dziewięć i gdzieniegdzie domki....“ „Klasztory“ zgryzł los i jego niepobłazliwe koleje, domków wszakże niewiele przybyło. Utracone „klasztory“, oddane w posiadanie czasowi, deszczom, śniegom i burzy, stały z groźbą utracenia głowy każdemu, ktoby się do ich wyniosłego upadku zbliżyć



ośmielił. Od tych drohiczyńskich ruin kościelnych biła wzniosłość. Stały godnie na straconej placówce rzymskiego katolicyzmu, wyrażając jego znakomitą zasadę: rozkazywać z pokorą i poddawać się z nieulekłą dumą. Sowy się w nich gnieździły i kawki, nowy rodzaj mnichów. Refleksye nieszczęśliwe, bezwładne, pełne zgryzoty i bezpłodności, wysuwały się z każdej uliczki i zza każdego węgła. Piotr błądził po tych gruzach, oglądał ołtarze z obrazami, wyrwanemi z ram, albo podartemi na pasy, — odrzwia, z których wyłupano kamienne obramowania, — filary, które usiłowano wysadzić prochem w poszukiwaniu zamurowanych pieniędzy.

Smutek, odraza i nuda wypchnęły go wreszcie spomiędzy tych nawisłych kamieni i spod sklepień, przesiąkniętych zaciekami wilgoci. Wyszedł stamtąd pośpiesznie, minął rynek i stanął na wysokiem urwisku. W dole przewijał się nizinami Bug, wypływając z lasów i wstęgą — wstęgą zanurzając się znowu w lasy sine. Daleko leżało Podlasie. Wioski, łągi, pola, cerkwie połyskujące w zachodzie słonecznym. W śniadą dal ciągnęła się ta ziemia niska, cicha i smutna. Piotr patrzył na nią zdobywczym, mierzącym i wążącym wzrokiem. Myśl zimna i zapytująca na zimno stanęła w mózgu, szukając jednego wskazania, jak nieulekłą i niezmienną wolę wydobyć ze swego ducha i jak nią, niby stalowem narzędziem, urobić wolę tego ludu, wiernego swej idei. Czy zwali mądry czas i niepożądane jego koleje tryumfujące bizantyjskie cerkwie, jak zwalone zostały tryumfujące kościoły

i klasztory gotyckie? Czy legną kiedy w pospólnej ruinie i nie wstaną już nigdy, ku męczarni tej ziemi ubogiej, bożyszczą wschodu i bożyszczą zachodu, walczące między sobą na śmierć w imieniu cichej miłości baranka bożego?... Któż męstwo najwytrwalsze i poświęcenie jedyne na świecie skieruje ku dobru rzeczywistemu?

Gdy wieczór zapadł, Piotr powrócił do zajazdu, gdzie się był zatrzymał, — trafił do swego numeru po karkołomnych schodach i wnet zasnął. Naza jutrz około godziny jedenastej najął konie i pojechał do Zatoki. Gdy miał zjeżdżać z wysokiego, drohiczyńskiego wzgórza, woźnica pokazał mu w dali ledwie szarzejące kępy drzew i wyśpiewał:

— On-dzie Zatoka...

Piotr z uśmiechem przypatrzył się tym drzewom, jako zrealizowaniu niewiarogodnego zamysłu i w zupełnej już obojętności poddał się losowi, który sobie sam zgotował. Było już popołudniu, kiedy zwinne szkapki drohiczyńskiego mieszczanina podwiozły go do starej lipowej alei. Mijając bramę wjazdową, Piotr przebierał w myśli różne frazesy, mające tłumaczyć powód jego przybycia, ale ostatecznie na żaden nie mógł się zdecydować. Postanowił tedy postępować bez żadnego programu. Zobaczył przed sobą dwór murowany, szeroko rozsiadły, z dwiema na rogach basztami, które czyniły wrażenie, jakby ich budowniczy rozpędził się do stawiania „pałacu“, lecz uląkł się własnej myśli i poprzestał na niezdecydowanych narożnikach. Po środku dworu był nieodzowny ganek i dzikie wino,



zgniłe stopnie i obłupane filary. Gdy wasąg zatrzymał się przed tym gankiem, z za oszklonych drzwi wybiegł zamorusany wyrostek w opiętym kubraczku z zaśnieżnionymi guziczkami i coś niewyraźnego bełkotał w jakimś języku. Piotr rzekł do niego po polsku:

— Czy pan Oścień jest w domu?

— Jaśnie pan jest w domu.

— A jaśnie panienka?

— Jaśnie panienka to samo jest w domu.

— No, to pokaż mi, którądy się wchodzi.

Lokajczyk otworzył oszklone drzwi do przedpokoju, wpuścił Piotra i sam znikł. Dały się słyszeć bieganina, stapania i niespokojne szepty.

— Pewni są, że to rewizya... — myślał Piotr, rozglądając się po kątach i sprzętach. Rozmyślenia jego przerwał lokaj notoryczny we fraku, wdzianym na skandalicznie brudną koszulę. Ten łypał na gościa okiem mało przychylnem, aż wreszcie zdecydował się na pytanie, jak ma zameldować. Piotr podał mu bilet wizytowy i wszedł do niewielkiego saloniku, umeblowanego starannie. Meble były nie dzisiejsze, wykwintne, znać, że rodzinne. Zczerniały obraz mitologiczny w suto złożonych ramach witał, jak dawno znajomy.

Do tego małego gabinetu przylegał salon duży, raczej sala balowa, z jasnymi obiciami, widocznie niedawno naklejonemi, i nowoczesnem umeblowaniem. Piotr zatrzymał się przy stole, zajmującym środek pokoju. Sennie patrzył na połysk posadzki w sąsiednim salonie. Długo czekał. Przewinęła się

leniwa i gorzka myśl, na co to on czeka, gdzie jest i czego chce... Znikąd wynikła pewnośc przeklęta, że już przenigdy na Tatjanę czekać nie będzie. Jej cień — co się często przydarzało — niemal naczynny zamajaczał w przestworzu... Nieszczęście podniosło złą swoją paszczę, jak bezsenny pies, stokroć bity batem i przyuczony do warowania w milczeniu. Uderzył je myślą, że go tu pewnie wcale nie przyjmą. Myśl była bardzo nieprzyjemna, lecz począł oswajać się z nią i przewidywać konsekwencye.

Minęło tak sporo czasu, aż wreszcie w sąsiednim salonie posadzka zcicha skrzypnęła i we drzwiach ukazał się wysoki, szczupły starszy mężczyzna. — Ubrany był starannie, posuwał się zgrabnie krokiem salonowego bywalca. Skłonił się zdaleka i z umiarkowanym gestem przychylności zbliżał do gościa. Włosy miał dość długie, już rzadkie i starannie podczernione, — twarz ogoloną i małą, po angielsku przycięte wąsy. Jego zaokrąglony zakiet, krawat i bielizna były najświeższego kroju i mody. Piotr skłonił się zdala i rzekł:

— Szanowny pan przebaczy, że ośmieliłem się przybyć tutaj dla złożenia mego uszanowania. Pragnąłem osobiście przeprosić pannę Małgorzatę Ościeniównę za przykrość, jaką jej wyrządziłem, wmięszawszy się w jej obecności w awanturę, a nawet w bitwę na pałasze z gronem oficerów piechoty...

Piotr mówił to głosem nieswoim i śmiesznym, zgłębiając jednocześnie całą niedorzeczność fraze-



sów. Twarz pana Ościenia wyrażała zdziwienie, a nawet niechęć.

— Ach, więc to szanowny pan... — mówił on chłodno i z grzeczną cierpkością w tonie.

Wskazał Piotrowi krzesło, a gdy ten usiadł, sam zajął najbliższy fotel. Oczy miał przymrużone i niezyczliwie wpatrywał się w przybyśza. Usta jego były zaopatrzone w sztuczny uśmiech, należyty i niemal modny, jak ubranie.

— Moja córka — mówił pan Oścień oziębło — była szczerze i bardzo wzruszona. Przez długi czas nie mogła się uspokoić. Mamy krewnych w tamtych okolicach. Pojechała na czas pewien. Wybrali się całą gromadką do miasta dla załatwienia sprawunków — i — trzebaż mieć szczęście! — taka przygoda!

Nie wiadomo było, czy w sensie i tonie tego zdania zawierało się podziękowanie, czy wymówka. Piotr czuł to dobrze, lecz uspokajał się stopniowo i zbierał wszystką przytomność dla swego celu. Rzekł obojętnie.

— Uważałem za konieczność wystąpienie swoje ówczesne, ale oczywiście, rozumiem, że córkę szanownego pana musiało ono przerazić. Nie mogłem za to wcześniej przeprosić, gdyż nieznanne mi było nazwisko. Zresztą, inne okoliczności stanęły na przeszkodzie. Dopiero teraz w Warszawie pewien mój znajomy, adwokat Darzewski, powiadomił mię.

— Szanowny pan mówi tak dobrze po polsku — wtrącił pan Oścień.

— Jestem polakiem.

— Tak — uśmiechnął się gospodarz. — Przyznam się szanownemu panu, że przez pewien czas żyliśmy wskutek tego wypadku pod grozą konsekwencji.

— Jakich?

Pan Oścień nachylił się i rzekł zcicha, jakgdyby ktoś podsłuchiwał tę rozmowę:

— Mogło to pociągnąć Bóg wie jakie następstwa. Mogło zgubić moją córkę.

— Nie bardzo rozumiem, co mianowicie?

— Czyż ja wiem! Alboż w takich razach można pytać o logikę, prawdę i prawo? — mówił z gorczyzą, przymykając oczy. Wpatrzył się jednak natychmiast krótkowzrocznymi oczyma w twarz gościa z badaniem, czy ten nie weźmie mu za złe od strony miarodajnej tego, co wyraził tak śmiało i stanowczo. Piotr porzucił ten przedmiot.

— Znajduję — mówił, brnąc w niepotrzebny zapal, wyrażając w sposób pospolity i banalny to, co głęboko przepracował w sobie — że wszyscy karmimy się ostrożnością aż do zbytku uporczywie.

— Pan znajduje?

— Przecie honor ważniejszy jest, niż życie! — zdecydował, jakby to była deklaracja zupełnie nowej prawdy. Zdanie, które wygłosił, stanowiło syllogizm, okupiony przesłankami ciężkich doświadczeń, — a tak śmiesznie rozległo się w tym pokoju! To też dodał:

— Nie mówię tego przez chępliwość, albo przez jakąś donkiszoteryę, lecz po dokładnym namyśle. Polaków jest przecie z górą dwadzieścia milio-



nów — począł mówić z naciskiem, lecz dał pokój dalszemu ciągowi.

Pan Oścień słuchał tych zdań z dyplomatyczną ostrożnością. To się zlekka marszczył, spod oka patrzył na tego szczególnego oficera w rosyjskim mundurze, — to się uśmiechał ironicznie pod swym przyszczyżonym wąsem.

— Tak to się mówi — westchnął z pobłażliwością — gdy się jest młodym, jak szanowny pan. Rozumiem szlachetną młodość i piękne jej uniesienia. Rosya, Rosya! szanowny panie... Mocarstwo, milion z górą bagnetów, półtorasta milionów narodu... A cóż my? — Miazga, „stado rozbite przez wilki“, jak doskonale powiedział Kraszewski w „Rachunkach“.

Piotr usłyszał w tych wywodach jakby sformułowane powtórzenie dawnych swoich poglądów i mniemań. Stracił chęć do ich zbijania. Pan Oścień przyszedł mu z pomocą, zamykając rzecz słowami:

— Zresztą każdy ma swój sposób zapatrywania się na te kwestye...

Jednocześnie nacisnął dzwonek. Wszedł rozczochrany lokaj we fraku.

— Niech-no Maciejunio poprośi panienkę do małego salonu... — rzekł pan Oścień do owego indywiduum.

Rozłucki poczuł żywe zaciekawienie. Miała się rozwikłać sprawa, dla której przyjechał. Usiłował mówić jeszcze na temat wyżej poruszony, ale były to poplątane myśli w jakichś powyrywanych i postrzyżonych słowach. Tymczasem skądś, z głębi

domu dały się słyszeć ciężkie kroki i z sieni wszedł do saloniku młody jeszcze, wysoki, możnaby powiedzieć ogromny mężczyzna. Był to czarny brunet z krótko ostrzyżonymi włosami i twarzą zupełnie wygoloną. Miał na sobie przydługi surdut czarny, który z trudnością opinał jego nadmiernie tęgie, muskularne i zażywne ciało. Śniade smugi po ogoleniu nadawały jego twarzy cerę zdrowej rdzy, — oczy były żywe i mądre, a piękne usta uśmiechały się. Stanąwszy na progu, wysoki jego-ność rzucił na Piotra przenikliwe spojrzenie i długo nie spuszczał zeń oka. Dopiero po chwili zbliżył się, skłonił i rzekł krótko:

— Wolski.

Piotr wymienił swe nazwisko. Tamten usiadł na jednym ze starych krzeseł, które pod nim żałośnie zakrzypiało, i znowu pilnie patrzył. W tem jego spojrzeniu natarczywem i roztropnem nie było przecież nic przykrego. Był to wzrok gwałtowny i szczery. Piotr poczuł sympatyę do tego „draba“, jak go nazwał w myśli od pierwszego spojrzenia.

— Widziałem — rzekł ów Wolski — jak pan jechał. Bo pan jechał z Drohiczyna?

— Tak jest.

— Właśnie. Ta czapka z daszkiem i lampasem tak się w polach maluje wyraźnie, że trudno nie spostrzedz.

— Tak, te lampasy rzucają się w oczy i to we wszystkie — śmiał się oficer. — Skoro je tylko kto zobaczy na zachodzie, zaraz patrzy na wschód.

Pan Wolski nic nie odpowiedział. Sapał tylko



z emocji, czy zmęczenia. Ręce jego grube i potężne złożone zostały na żołądku w sposób tak klerykalny, a dwa wielkie palce puściły się w szybkiego młynka w sposób tak dyplomatyczny, że Piotr powziął przeświadczenie o godności tej osoby. Zdecydował, iż to nie może być aktor, jak suponował uprzednio, lecz chyba ksiądz niewątpliwy. Dziwiła tylko kusa sukienka i objawy zdrowia z nadto już z tego świata i świeckie.

W przyległym salonie dał się słyszeć szelest i we drzwiach stanęła panna Małgorzata Ościeniówna. Spostrzegłszy Piotra, na chwilę przystała. Oczy jej przybrały wyraz najgłębszego zdumienia, a usta na moment uchylły się, jakby miała krzyknąć. Ale to trwało zaledwie przez mgnienie oka. Weszła spokojnie do małego saloniku. Od czasu, kiedy ją Rozłucki po raz pierwszy w wagonie widział, rozkwitła z dziewczynki na pannę, lecz zachowała w sobie coś z prostoty i wdzięku dziecka. Przynajmniej, gdy przekraczała próg pokoju, była ośmnastoletniem dzieckiem.

— Marzeńko — rzekł do niej ojciec — pan Rozłucki.

Po chwili dodał w sposób niby to nader uprzejmy, lecz z zarezerwowanym wewnątrz przekazem:

— Twój wybawca...

Piotr nie miał już odwagi powtarzać swego pierwszego frazesu, więc też przeszedł odrazu z górnych zamysłów na ton zupełnie naturalny:

— Nie wybawca bynajmniej, lecz raczej sprawca wielkiej przykrości. Przecież pani, wraz z całym to-

warzystwem osób zgromadzonych przy jej stole, mogła wówczas wyjść bezpiecznie z owej restauracji, bez żadnego zgoła szwanku. Tymczasem ja wystąpieniem nie w porę, w dodatku za gwałtownem, wywołałem awanturę.

— No, wyjść to tam nie bardzo było można, bo ci panowie zupełnie zagrodzili drogi, — rzekła panna Małgorzata w sposób naturalny. Najwidoczniej jednak, jak to mówią, „zagalopowała się“ w szczerść, gdyż ojciec powstrzymał dalszy ciąg wynurzenia prawdy zimnem spojrzeniem jak wędzidłem.

— Ładnie-by tam byli wyglądali wtedy, żeby nie pan! — rzekł Wolski. — Tamci mogli ich porządnie wówczas poturbować. Przecie to, podobno, było wszystko tego pijane.

— Nie, tak znowu bardzo pijani nie byli... — znowu zaawansowała się panna Małgorzata.

— To już tak dawno — wtrącił Piotr — trudno dziś przypomnieć, jak to tam było. W każdym razie muszę panią przeprosić za moją ówczesną pasyę. Nie przyszło mi wówczas do głowy, że tamci oficerowie, koledzy moi, właśnie wskutek tego mogli państwu wyrządzić jakąś krzywdę...

Jej wewnętrzne przeżycie tamtego wypadku najwidoczniej nie mieściło się w klubach doskonałego wychowania i raz wraz wydobywało nazewnątrz w postaci spojrzeń, gry twarzy, a nawet gestów nie zupełnie otamowanych. Była to rzecz oczywista, że panna Małgorzata miałaby bardzo wiele do powiedzenia gościowi na temat owego



zajścia, miałyby cały szereg pytań, żądań wyjaśnienia sytuacji i swoich uwag niemało, — ale na to wszystko nie pozwalał kodeks, który stał się jej drugą naturą, tak dalece mu podlegała. Piotr dojrzał to inne głębokie życie, płynące pod zewnętrzzną powłoką, ukryte za mniemanym spokojem twarzy i ruchów. Bawił go widok tych dwu sił tak widocznych w sposobie zachowania się tej młodej panny, równych co do mocy, a opanowanych jedna przez drugą, — siły wychowania i siły wewnętrznej, niesfornej, jak kręta i wartka rzeka.

— Nie jest to widmo z tragedyi, nie jest to postać ukazująca się we snach, lecz i nie gąska — myślał sam dla siebie, pomiędzy sentencyjami, które formowały się i układały w zdania.

Pan Oścień uprzejmie zapytał:

— Szanowny pan był łaskaw, jak słyszałem, przybyć tutaj z Drohiczyzna?

— Tak jest.

— Najętami końmi?

— Tak.

— Pozwolę sobie odesłać te konie, a pana prosić na nasz wiejski, skromny obiad.

Piotr skłonił się i wycedził należny frazes dziękczynny za zaproszenie. Gruby pan Wolski wstał ze swego miejsca i na migi porozumiał się z gospodarzem domu, że on załatwi odprawienie furmanki. Z tem znikł za drzwiami. Słychać było na ganku jego głos, jak dzwon kościelny. Piotr uczuł się w domowym powietrzu, jak po przyjeździe do Polski, jak w domu dziada.

Przemknęła myśl w gorzkim śmiechu:

— I to dla tej panienci tak straszliwie skrzywdziłem Tatjanę, że aż rzuciła się w ramiona Rozzowa!... Po cóż to zrobiłem? Kto mi kazał? Jakże się to stało?

Pan Wolski wrócił do pokoju. Siadł na swem krześle, jęczącym zcicha, zdało się, już gdy się zbliżał — i nachylony do Piotra z niezgłębionem współbolewaniem powiedział dosyć głośno:

— Musi też pan być i głodny potężnie...

Piotr zaprzeczył. Panna Marzeńka i jej ojciec roześmieli się zcicha, jednocześnie. Pan Oścień wyjaśnił:

— Ksiądz Wolski lituje się tak nad panem zupełnie podstępnie, bo sam już głodem przymiera.

— Pan jest księdzem? — zapytał Piotr.

— A dyć tak, — choć to i tonsura zarosła i z sutanny wypływam wszystkimi szwami.

— Ksiądz Wolski był moim nauczycielem religii w Warszawie... — powiedziała panna Małgorzata.

— A teraz siedzę tu u państwa na łaskawym chlebie — dorzucił sam duchowny z goryczą, kręcąc palcami swego młynka i wstydliwie przymykając powieki. Mimo tych niewesołych słów żartobliwy i mądry uśmiech okalał jego karminowe usta.

Wszedł lokajczyk i poprosił do stołu.

Jadalnia znajdowała się po drugiej stronie sieni wejściowej. Był to pokój niski i wąski z rozmaitemi drzwiczkami, prowadzącymi do zakamarków



dworu. Stamtąd wychodziły do stołu osoby stare i zasuszone. Pewien jegomość w pomiętem ubra- niu bardzo nieżyczliwie patrzył na mundur Piotra i zawzięcie milczał przez cały czas obiadu. Dama, francuska, śmiesznie mówiąca po polsku, wciąż powtarzała te same banalne frazesy, akcentując wyrazy polskie najzupełniej po parysku. Wpadła w rozrzewnienie, gdy Rozłucki począł z nią mówić po francusku o Paryżu, wspominać place, ulice, gmachy i ogrody.

Ksiądz Wolski mniej uczestniczył w rozmowie, bardziej natomiast przykładał się do spożywania darów bożych. Przyjemnie było patrzeć, jak temu współbiesiadnikowi wszystko smakuje, bez względu na jakość dania i jak dziwnie szybko z jego tale- rza znikają porceye, sosy i przystawki. Gdy zaś zni- kało wszystko, aż do ostatniej kropli starannie spożyte, i pozostawał tylko czysty talerz do sucha wytarty chlebem, oczy księże miały wyraz zlekka żaloszny i osmętniały. W takich momentach „pro- boszcz“ wzdychał:

— Ach, jakże to życie jest króciutkie! Ach, jakże bardzo króciutkie!

Po obiedzie, dość skromnym, lecz, oczywiście, „smacznym“, ów ksiądz Wolski poprowadził Piotra do pokoju gościnnego w narożnej wieży dworu. Wchodziło się tam po schodkach, przystawionych do owej wieży, pod daszkiem zlekka dziurawym. Z pokoiku, jak latarnia, widok był na stary ogród, ale — niestety! — i na obory za płotem ogrodo- wym.

Ksiądz Wolski umieścił Piotra w tym pokoiku, gdzie oprócz łóżka, stolika i paru krzeseł była jeszcze pewna ceratowa sofka. Miał wyjść, ale przed wyjściem „pozwolił sobie“ zapalić jedno z cygar, których paczuszkę nosił pieczołowicie w bocznej kieszeni dobrze zasłużonego surduta. Pozwolił sobie również zasiąść zgoła wygodnie na owej kanapce. Palił z prawdziwą satysfakcją. Zlekka przymykał oczy i wzrokiem mętniejącym od przyjemności palenia wodził po ścianach. Piotr spostrzegł oddawna, że ten jegomość ma w domu ościeniowskim niemałe znaczenie, że dobrze wie wszystko i zna wszystkich na wylot. Jeszcze podczas obiadu postanowił powziąć od niego niepostrzeżenie rzeczywistą wiadomość o istotnej panie Małgorzacie, a zarazem wytłomaczyć się z przyczyn i powodów swej śmiesznej wizyty. Nie wiedział jednak od czego i jak zacząć, bo człowieka tego nie znał,— a nadto po raz pierwszy w życiu rozmawiał z notorycznym księdzem katolickim. Pewną postać ciekawości, co też to jest przedewszystkiem taki ksiądz, wstrzymywała go w pół drogi. Stał przy oknie, patrząc w ogród. Nareszcie zdecydował się:

— Chciałbym wytłomaczyć się przed szanownym panem, dla czego tutaj przyjechałem... — mówił z niezręcznym pokasływaniem.

Ksiądz ze zdziwieniem podniósł głowę.

— Awantura, którą swego czasu z oficerami wywołałem, wywarła na mnie wpływ decydujący. Począłem szukać samego siebie... Nie chcę, wie pan, mieć złudzeń co do siebie, ani złudzeń co do



ludzi, z którymi się stykam. Chciałbym być istotnym sobą i istotny świat mieć w oczach, nie jego złudzenie.

Ksiądz Wolski oszczędnie potakiwał, wpatrując się w starannie wyhodowany koniec swego cygara.

— Przyznam się szanownemu panu, że osoba panny Małgorzaty — ciągnął Piotr dalej — zainteresowała mnie ze względu na rolę, jaką w życiu mem odegrała. Trudno mi to jest wytłomaczyć, bo są to rzeczy zawile... Było to tak, jak nieraz z dziełem sztuki, które znamy z podobizny, albo z relacji, z niejasnego przytoczenia estetów, a które to dzieło pragniemy poznać samo w sobie, sprawdzić jego znaczenie, wartość i wpływ, niejako zbadać je i zmierzyć.

— No, o czymże tu mówić! — przerwał ksiądz. — Rąbał się pan za nieznaną osobę, szramę tyłą wziął na pamiątkę, a osoby samej nie znał. Cóż to dziwnego, że ją pan chce poznać?

Piotr zaczerwienił się. Pośpiesznie zaprzeczył:

— Nie chodzi mi wcale o jakiś pospolity i łatwy dostępny eksperyment, — ależ bynajmniej, ani trochę! Nie chodzi też o jakąkolwiek bliższą znajomość...

— Bo i jakaż tu może być bliższa znajomość, dobry panie? — rzekł ksiądz prosto, szczerze i z uśmiechem. — Gdyby się w panu zadurzyła, a wówczas mogłaby być mowa o bliższej znajomości... Wtedy mógłby pan być przybliżony do niej, no i wynagrodzony sownie, — ale to jest

przecie rzecz, której w tej oto rozmowie nie zawiążemy, ani rozwiążemy...

Piotr roześmiał się szorstko i oświadczył:

— Powiem szczerze, że zupełnie o czym innym myślałem, ale nie mogę tego wytłumaczyć...

— A wie pan, że ja, pomimo tych trudności tłumaczenia na język ludzki wewnętrznej gwary,— trochę ją i tak rozumiem. Trochę może zgaduję, czego pan szuka. Powiem jedno: ta panna była warta, żeś ją obronił, żeś się o nią rąbał i poniósł rany.

Rozłucki pod wąsem uśmiechnął się wzgardliwie. Książd ciągnął dalej:

— To jest dla mnie dziwne i niewytłumaczone, w jaki sposób przy tak wielkiej masie złego, które tryumfuje i rządzi światem, może jednakże istnieć tak niepojęty wymiar sprawiedliwości.

— Myślę, że to jest jedno ze złudzeń naszego optymizmu.

— Doprawdy?

— Iluż to zginęło najbardziej cnotliwych, najczystszych i najbardziej dla niewątpliwego dobra ziemi potrzebnych! Ilu takich podeptało i wbiło w ziemię szalejące, złe okrucieństwo!

— A nigdy pan tego nie spostrzegł, żeby głęboka prawość gdzieś znalazła swój organ niejako, który na nią oddawna czeka, ażeby ją w lepszą formę urobić? Czy nigdy nie zdarzyło się panu zauważyć w ciągu szarych dni życia, jak dobra wola, jak wysiłek cnotliwy, który poczytywało się za najbardziej samotny i przypadły, — gdzieś zna-



laźł nie tylko przyjęcie życzliwe, lecz jakby miejsce oczekujące? Mnie się wydaje, że tyle właśnie świętości, ileśmy ze siebie wydali, odnosi nam w niewiadomym dniu i w sposób niepojęty jakowaś siła wszystko pamiętająca, jakgdyby czyjś czujny poseł.

— Może to jest tasama siła, która jest w nas, która się w nas rozdwaja i samej sobie z uśmiechem dobrotliwym przypatruje.

— Znowu swoje!

— Bo sami zapewne stwarzamy sobie tę moralną nagrodę — w chwili dobrotliwego na rzeczy spojrzenia. Kiedyś może prawa społeczne tak się rozwiną i rozszerzą, że obejmą wszelkie istnienie. Może wówczas szlachetny uczynek znajdzie swe zrozumienie i niewątpliwy organ. Ale dziś — jakże samotnym jest człowiek!

— O, kiedyś! Zawsze — kiedyś tam! Ja, panie, jestem człowiek niepobłaźliwy. Patrzę w dzień dzisiejszy, bo dziś żyję. Może to wytwarza to moje końskie zdrowie, ten iście bestyalski apetyt, no i ta tusza z piekła rodem, której niczem pokonać, ani nawet zmniejszyć nie sposób.

— Dziś — rzadko się widzi dowody nagrody za cnotę. Prędzej karę właśnie za cnotę. Nagroda może tam gdzie istnieje, ale strasznie długo trzeba na nią czekać. Oczywiście, o ile kto czeka na nagrodę za ową cnotę.

— A pan nie?

— Ja nie.

— Ejże!

— Cnota jeżeli jest sobą, to nie może mieć na-

grody. Jest sama ze siebie i dla siebie, jak zdrowie. Jakaż może być nagroda za zdrowie? Chyba ów apetyt, jak go pan nazywa „bestyalski“. Ale i apetyt nie jest nagrodą za zdrowie, jest raczej niem samym.

Ksiądz uśmiechnął się dobrotliwie. Westchnął:

— Oj, panie, młody panie! I to oficer takie dyrdymałki prezentuje mnie, teologowi! Ale order to pan będzie nosił, jako nagrodę za swą cnotkę wojskową...

— Nie będę nosił orderu.

— „Nie będę“...

— Jeżeli cnotą jest obronić kobietę od napaści grona mężczyzn, to za tę „cnotę“ o mało nie zostałem wydalony z pułku... Nie mówiąc już o innej specjalnej nagrodzie...

Ksiądz pomrukiwał. Piotr rzekł dość szorstko:

— Panie! Nie po żadną nagrodę przyjechałem tutaj. Racz mi wierzyć!

Gruby ksiądz odsapnął. Z żalem wyeksploatował ostatnie zapasy dymu ze swego cygara i powiedział:

— Zamiast tutaj staczać akademickie dyskusye na jałowy temat cnoty, możebyśmy się tak przeszli po polach. Bo mnie, przyznam się panu dobrodziejowi, dusi w czterech ścianach. Bez powietrza i to dużego, żeby niby nic nie sterczało — nie mogę! Bogiem a prawdą lubię wiatery i to duże. W polu, na szerokości, to się i Pana Boga lepiej rozumie i człowieka jakoś snadniej znosi.

— O, ja z chęcią pójde!



— Poprosimy panienkę Małgorzatę. Może z nami wyruszy na ów spacer.

— Czy tylko zechce?

— Czemużby nie miała chcieć? Jeździmy tu i chodzimy po polach czy to w pojedynkę, czy gromadnie...

— Ale może państwu będzie nieprzyjemnie pokazywać się przed prostym ludem tutejszym w towarzystwie oficera?

Ksiądz Wolski uśmiechał się chytrze, tarł nos i przymrużał oczy. Wyjaśnił wreszcie:

— Powiem szanownemu panu najszczerzą prawdę. Właśnie dla tego pragnąłbym pokazać się z panem na polach i drogach tutejszych, że pan jest w tym oficerskim mundurze.

— Doprawdy? — zdziwił się Piotr.

— Tak.

— Nie bardzo rozumiem.

— Widzi pan, ksiądz bez żadnej parafii, siedzący tygodniami w tych stronach, we dworze szlacheckim jest solą w oku dla wszelkich tutejszych dygnitarzy. Już o tem z dziesięć razy składano raporty, że sześć proszono mię na rozmówkę, a że cztery probowano wprost wysiudać. Tylko dzięki przemożnym stosunkom pana Ościenia, a właściwie pewnej osoby w tutejszym świecie arystokratycznym, cierpią mię tu, ale jak wrzód na szyi. To też wiedzą o mnie i pamiętają, jak się wie i tkliwie pamięta o wrzodzie. Ciągłe ktoś za mną łązi, gdy idę na spacer, zawsze ktoś czai się i podgląda mię, żebym się najnaturalniej wydalił na

drugi koniec ogrodu, co przy mym apetycie i zdrowiu jest konieczne. Otóż, gdy mię ci podglądacze ujrzą w towarzystwie takiej czapki, takiego kołnierza, szlif i guzików, to sobie dopiero choć z dzień, ze dwa odsapnę! A zasie!

— Och, w takim razie służę szanownemu panu nie tylko czapką, kołnierzem i szlifami, ale nawet pałaszem.

— O, nie! Za pałasz dziękuję! Żeby znowu tak nie było, jak z panną, z Małgorzatą... Wypraszam sobie! Ale z drugiej strony rzeczy biorąc, czy znowu panu dobrze będzie pokazywać się w towarzystwie tej mojej sukienki, choć tak krótka i wyświechtana?

— Nic ona mi nie zaszkodzi.

— Bo to, wie pan, tych tam ciekawskich zaraz to zainteresuje, co to znowu za oficer, co z klechą paradyje po nadbużańskich przestworach? Nie poprzestanie się na prostej ciekawości, lecz zaraz sięgnie do źródła: a kto, a skąd, a po co? To są strony nader czujnie opatrzone w informacye. Nic się tu przed czujnością jakichś oczu i uszu nie ukryje.

— Raz powieszonemu już, podobno, drugi stryczek nie szkodzi na zdrowie. Więc się nie boję.

— No, skoro tak, to chodźmy! — zdecydował ksiądz Wolski, ciężko powstając z kanapki.

Zeszli w dziedziniec. Ksiądz wielkim krokiem udał się do bocznego skrzydła dworu, ażeby uwiadomić pannę Małgorzatę o projekcie spaceru. Niebawem wyszła w towarzystwie jednej z dziewic



podstarzałych, którą Piotr widział był przy stole. Naradzano się dosyć burzliwie nad tem, w jaki sposób odbywać ów spacer: bryczulką, czy inaczej? Po długich dysertacjach, na wniosek, dość wrzaskliwie, — trzeba to zaznaczyć, — stawiany przez księdza, zdecydowano jechać małym pony i karyolką. Ksiądz udał się do stajni i wszystko w mgnieniu oka zadysponował, zarządził i przeprowadził. Karyolka stanęła przed gankiem. „Proboszcz“ powoził. Obok niego zasiadła kwokowata panna Natalia. Dwa miejsca w tyle zajęte zostały przez pannę Małgorzatę i Piotra. Ponieważ byli odwróceni od kierunku, w którym pobiegł konik, krajobraz począł uciekać przed ich oczyma i płynąć, jak rzeka. Ta okoliczność jeszcze bardziej powiększała trudność obcowania. Panna Małgorzata była zresztą, jak zawsze, spokojna i zrównoważona. Pokazywała gościowi okolicę z wymienieniem nazwy każdej wioski, rzeczki, nawet łąki i parowu. Czyniła to w sposób pilny i dokładny, jak dobra uczennica, wydająca lekcję bez błędu. Lecz ta geografia nie wystarczała. Należało mówić o czem innym. Piotr próbował, lecz każdy temat witany był grzecznym uśmiechem, potwierdzeniem lub zaprzeczeniem zawsze trafnym, dokładnym, czasami jakimś półsłówkiem, półdowcipem. Wszystko to jednak było ponad wszelką miarę europejskie i nieco zanadto wykwintne.

Okolica była nadobna, falista, leśna. Pola po-przegradzane lasami zniżały się daleko. Zżęto już zboża i ścierniska stały wszędzie, pozłociste wśród

owsów już dobrze bielejących i z więdłej naci kartoflanej. W pewnem miejscu wyminięto przysiołek pod lasem, wioseczkę małą, białościenną. Ksiądz zatrzymał szkapkę i, jak powiedział, dla zreparowania lejca, który mu się zepsuł, wszedł do jednej chaty. Dość długo tam ów lejc reparował. Gdy wreszcie wyszedł, postępował za nim chłop podlaski, szczupły, suchy, o twarzy poczerniałej. Człowiek ów był bez nakrycia głowy i o czemś zciha rozmawiał z księdzem, lecz oczy miał w Piotra wlepione. W trakcie rozmowy z panną Małgorzatą Piotr spojrzał na owego człowieka i przerwał w pół zdania rozmowę. Tamten człowiek bosy, bez nakrycia głowy, w zgrzebnych szmatach przypatrywał mu się z uśmiechem, — ale z jakże niewymownym uśmiechem! Tak uśmiechając się, pokłonił się Piotrowi nisko — nisko. Nie był to przecież znak służalczości, ani lęku, lecz raczej pozdrowienie duszy głębokiej, braterskiej, równej... Piotr zdumiał się piękności spojrzenia tego chłopowiny i czegoś nieprzyjemnie zawstydził. Chciał oddać tamtemu ukłon taksamo niski i taksamo miłujący, ale nie potrafił tego wykonać. Nie skinął nawet głową. Wskutek zaś tego poczuł nieprzyjemny i dokuczliwy żal. Cóżby za to dał, ażeby mu się nie tylko pokłonić, ale pójść z nim w ciche pola i wszcząć długą rozmowę, czuł bowiem, że zajrzała mu w oczy głęboka mądrość samotnej i pięknej duszy. Ksiądz tymczasem, stękając, wdrapał się na swe miejsce i p o n y znowu pomknął piaszczystą drogą między polami. Piotr począł żywo rozmawiać z panną Mał-



gorzată, żeby zatrzeć szczególniejszy w sobie żal za wieśniakiem. Woźnica omijał starannie szersze trakty, prowadzące do dużych wsi, gdzie połykiwały kopuły cerkiewne, wołał raczej nadkładać drogi i objeżdżać dalekimi drożynami, po podlesiu.

W jednym takim miejscu, na zboczu wzgórza „kazał“ wysiąść, bo konik był zgrzany, — i odpoczywać w zaroślach. Piotr zeskoczył z siedzenia i pomógł wysiąść pannie Małgorzacie. Lecz oto za ledwie dotknął jej ręki, nie wiedząc, co robi, ścisnął tę rękę, jakby ją chciał złamać i rozgnieść. W owej chwili uczuł w sercu mróz i jakgdyby uderzenie w twarz uśmiechem Tatjany, leżącej w trumnie. Szedł za towarzystwem na pół omdlały, z przymkniętymi oczyma, niosąc bezmyślnie piękny jakiś błękitny szal panny Małgorzaty. Szal ten począł mu palić rękę...

Stał się nanowo starym sobą, nie tym młodym człowiekiem, który tu przyjechał i uczestniczy w przyjemnej ekskursyi, — lecz wstąpił do ciemnicy swej duszy. Bo istniał w nim jakby podświadomy schów, o którym nie wie nikt, i o którego istnieniu on sam nie wiedział. Życie płynęło, — ćwiczył żołnierzy, dzikie chłopstwo, zegnane z czterech końców świata, — uganiał się po polach na spasionym koniu, — przebywał wśród armat, — wytrwale i spokojnie pracował nad matematyką i lotnictwem, — miał dni równowagi i ciszy, — spał dobrze, jadł i pił, — a oto nagle otwierała się w nim tajna i zdradziecka zapadnia i ciemna jej czeluść niepojętymi uczuciami zionęła na duszę.

Rano po twardym śnie ocykał się z nagłą i oko w oko spostrzegął jakąś myśl niewyobrażalną, ukrytą w słowach, które mogły być pospolite, lecz zawierały treść zabójczą, niby kwiat, niewinnemi barwy swej korony osłaniający truciznę. Nieraz zdawało się po dawnemu, że przy łożku ktoś w głowach posłania siedział przez całą noc i cierpliwie czekał, żeby w pewnej chwili z chichotem dmuchnąć w powieki, a w ucho rzucić dźwięk, ton, nazwę, szept... Imiona włoskich miast „Florenca“, albo „Rzym“, „Wenecya“, albo „Siena“, — zapadłe w dawne utęsknienia i pogrzebione jakoby w ruinach szczęścia, które na wieki i bez śladu zniweczył kataklizm trzęsienia ziemi, — znowu się przypominały z zaziemskim swoim powabem, w całej piękności marzeń, ażeby łkać nad tem, co w nich być miało... Widok dzieci, wiezionych na spacer w wózekkach przez piękne matki, — kochanków, dążących w swe drogi szczęśliwe, — uroczych kobiet kuszących czarami oczu i uśmiechu — potraçał w jamę, skrytą pod stopami ducha. Owal twarzy kobiecej, cichy po piasku szelest sukni, dźwięk mowy, barwa włosów, głos zasłyszany w przelocie — wywoływał tamtę z ziemi. Coś się przywidziało, przesłyszało, przewinęło i dusza szła w ów podziemny chodnik, do niej prowadzący. Nieraz rzecz jakowaś wywołała wspomnienie, lecz wspomnienie przeszło bez bólu, szczęśliwie zagasło, — lub dało się zdusić, wepchać pod kamień ucisku, śmiechu, przekleństwa. Lecz wyobrażenie rzeczy owej wracało się o niewiadomej godzinie, mściwe leciało nazad, wiedzące,



gdzie jest blizna już powleczone błoną, — ni to nieprzyjaciel ducha, który się cierpliwie uczył swej sztuki i posiadał dokładną umiejętność zemsty. Jak-gdyby cienkim lancetem uderzał w miejsce zranione. Ciekła długą strugą męczarnia z żywej rany. Dusza zapadała się w podziemie swoje, w pieczarę szlochów nadaremnych, których celu ani skutku niema, głuchych jęków bez przelania jednej łzy, co się wyrrywają ze swej otchłani, jak wichher nieustający, a nigdy jej nie opróżnią. Cierpienie wysysało, niby morska woda ludzką powłokę, co w nią wpadła i omdlała.

W miejscu pod wzgórzem, które ksiądz Wolski wybrał na punkt spoczynku, otwierał się mały wąwozik, zarośnięty paprocią i tarkami. Szło się jak-gdyby korytarzem pełnym zapachu i chłodu. Piotr patrzył na piękną postać panny Małgorzaty, która szła przed nim z wdziękiem i prostotą, cokolwiek sztucznie wykultywowaną i utrzymaną. Myślał wśród tępych podrywań ślepego impulsu, że przecie to ona spowodowała rozłam z Tatjaną. Przypatrywał się jej toczonym, okrągłym rękóm, obnażonym do łokcia. Były to ręce może równie piękne, jak ręce Tatjany. Lecz wówczas przypomniał sobie, że tamtych rąk już wcale niema, gdyż dawno zgniły w ziemi.

U wylotu owego wąwoziku stał w dolinie podrzędny młyn. Struga, sącząca się łąkami, rozlewała się tutaj w stawek, zarosły tatarakiem i zaciągnięty grzybieniem. Czarne koło młyńskie obracało się zwolna, wysypując z korcówek bryzgi wodne. Tuż obok tego

koła była sucha łączka. Tam usadowiło się towarzystwo. Lecz po niedługim spoczynku ksiądz Wolski poszedł do młynarza znowu w jakimś interesie. Stara panna Natalia poczęła zbierać kwiaty i oddaliła się dosyć znacznie. Piotr został sam na sam z panną Małgorzatą. Miał jej tyle do powiedzenia, a nie mógł teraz skleić ani jednego okresu. Rozmawiał wciąż, to prawda, lecz o rzeczach banalnych. Zadał kilka pytań, tych właśnie, z którymi tu przyjechał, zaczerpniętych z dziedziny ducha, gdy ze sobą w męczarni obcowali. Lecz po kilku odpowiedziach przekonał się, że ta wroga siła, która do niego, gdy był po śmierci Tatjany chory i zabity, przychodziła na sąd, ta dusza tragiczna, która mu obce jakieś przynosiła słowa — i panna Małgorzata, siedząca na murawie z przepisany wdziękiem, to są dwa zupełnie odmienne byty. Zadawał sobie pytanie, jakimże to sposobem tamta miała świadomość myśli przeklętych, które nie były jego własnymi myślami, lecz jakby zewnętrznymi krzykami nieszczęścia, — i jakimże to sposobem tamta obwieszczała to, o czem rzeczywistość nic a nic nie wie. Chciał skorzystać z nadarzającej się sposobności i poprostu otwarcie powiedzieć, o co chodzi. Zaczął tedy wyjaśniać rzecz, jękając się i mocując ze słowami trudnymi. Przypomniał zdarzenie na balu z wachlarzem... Powiedział parę słów o Tatjanie... Panna Małgorzata zmieszana się, mocno zarumieniła, lecz wkrótce opanowała swe wzruszenie. Okazało się, że zrozumiała to, co Piotr mówił, poprostu jako manewr flirciarski, jako wybieg zręcznego bawi-



damka. Przyjęła to wszystko dosyć przychylnie. Oczy jej stały się weselsze, zaraz też powłóczystsze były spojrzenia, lecz tyle tylko, ile należy. Słuchała, gdy Piotr poprawiał swój wykład i starał się wyjaśnić tajną grę duchowego procesu w swej tragedyi, — spuszczała głowę i przybierała na twarz piękny uśmiech. Później, jakby pragnąc mu się wywzajemnić za te usiłowania zawarcia bliższej znajomości, poczęła oględnie mówić o swych sympatyach dla duszy rosyjskiej, dla szczerości, prawdziwości, która tę duszę cechuje w przeciwieństwie do wiecznej maski, nałożonej na serce europejskie przez obłudny *cant* kultury. Nie pokazując tego po sobie, Piotr śmiał się serdecznie. Spostrzegł, że sprawa wyjaśnień do szczętu się zagmatwała. Dał pokój zwierzeniom. Frazes o szczerości duszy rosyjskiej popchnął go na pustynię jego samotnych przeżyć i najfatalniej sprzeciwiał się ich biegowi.

Nadszedł właśnie ksiądz Wolski. Młynarczyk w wystrzępionych majtkach niósł za nim donicę z mlekiem i chleb razowy. Wesoło spożyto ów specyał, a ponieważ miało się już pod wieczór, wrócono tąsamą ścieżką do uwiązanego konika. Ksiądz poganiał, gdyż, jak wyśmiewały się zeń obiedwie panny, lęka się, żeby nie chybić na kolacyę. Przybyto też do dworu znacznie przed tym ważnym terminem. Gdy panny odeszły, Piotr został znowu na łasce „proboszcza“. Ten zaproponował przechadzkę po ogrodzie. Zachód już się zbliżał i piękne światło sierpniowe łagodnie igrało na piasku starych alei. Ogród spływał po pochyłości stro-

mego wzgórza, na którem dwór się wznosił. Dostyc długo spacerowali w milczeniu. Piotr udał, że wraca do porzuconego tematu „zagadnień“. Począł wysuwać, jakby miotać na przynętę, myśli, nie swoje własne, lecz kursujące po umysłach, rodzaj numizmatów, budzących zaciekawienie ogólne. Judził tedy Wolskiego twierdzeniami, że koncepcya jedynobóstwa jest tylko uczuciem, wyłowionem ze wszechświata zjawisk przez samotność ludzką, — że jest ideałem potęgi, który człowiek wymarzył, ażeby za jego pośrednictwem wtargnąć do niebios i osiąść wiekuiastą swoją chimerę, nieśmiertelność — i t. d. Ksiądz szedł obok niego, sapiąc i kiwając kiedyniekiedy głową na znak, że już to sto tysięcy razy słyszał i że oficer dobrze wydaje lekcję. Rozłucki, podniecony tą jego obojętnością i własną wymową, dowodził, że nigdy jeszcze żadna z nauk ścisłych nie wykryła dobrego albo złego zamiaru w jakimkolwiek zjawisku natury, że tedy...

Ksiądz mu przerwał:

— Nauk ścisłych nie znam, bo jestem właśnie i jak na złość — nieuk. Niechże się też pan nie męczy nadaremnie. Mnie pan nie przekona, bo Bóg mojej duszy nie jest wcale jakimś wynikiem dociekania naukowego, lecz poprostu władcą praw moralnych mojego sumienia. Cóż pan poradzi na takie wewnętrzne położenie?

— Bóg pańskiego sumienia jest dla mnie świętością, lecz skoro pan poczyna szerzyć po świecie naukę o tym swoim świecie wewnętrznym, to ja muszę przykładać do niej naukowe probierze.



— Zaraz. Ja znajduję, że Bóg mój wszechmocnie rządzi w mej duszy. Spuszcza on nieraz na mnie karę nocy straszliwej, ciska w mem wnętrzu duchowem burzę, grom i błyskawicę, ażeby oświeciła w bezdennym mroku spokojnie czekającą twarz śmierci. A jeśli chce, każe burzy ustać, ucisza grom i gasi błyskawicę, ażebym mógł znowu czuć woń kwiatów, słyszeć śpiew ptaków i szelest liści.

— Nie zawsze ucisza się burza, a piorun kogoś w mrokach zabija.

— Jeżeli pan jesteś na tyle potężny, że możesz świadomie rządzić swym światem wewnętrznym, panować nad nim, wszystko pamiętać i przewidywać, to jesteś swym własnym bogiem. Zna pan język włoski?

— Nie znam.

— Są w tym języku napisane poezye Michała Anioła, a wśród nich jedna, która tu za mnie powie. Jest to prawdziwie najgłębszy i najmocniejszy głos, jaki człowiek wydał z tej ziemi, wołając na Boga:

„O, Dio, o Dio, o Dio!  
 Chi m'ha tolto a me stesso,  
 Ch'e à me fusse piu presso,  
 O piu di me potessi, che poss'io?  
 O, Dio, o Dio, o Dio!

— Cóż to znaczy?

— Zapytuje on Boga, jak to jest możliwe, ażeby człowiek nie był mocen sam w sobie nad sobą. Pozywa on Boga tytanicznem pytaniem, kto człowieka odrywa od samego siebie, kto ma w nim

samym więcej władzy, niż on sam? I woła w bezmiary: O, Boże! A kto też to tak bezsilnie wołał ku Bogu? To największy mocarz, tytan, który potrafił pokazać braci ludzkiej noc i poranek w innej formie, a równie potężnej, jak noc i poranek natury, — który zamierzał rzeźbić góry, — człowiek, który wymyślił, wyliczył, zbudował i przepo- tężnie zasklepił kopułę, po której gziemnie idąc, człowiek drży z zachwycenia i trwogi.

— Dobrze. A sam ksiądz nie przeżyłeś też przypadkiem takiego cierpienia, ażeby ci się wydało, że się twój Bóg na tobie pomścił, jak śmiertelny nieprzyjaciel, — że na tobie wykonał swój plan, zamyślony od dawien dawna?

Wolski szedł przez czas pewien w głębokiem zamyśleniu, z rozstawionemi palcami rąk. Potrząsnął głową i uczciwie powiedział:

— Nie. Takiego nieszczęścia nie przeżyłem.

— Kto wyjdzie na szczyt góry Mont-Blanc, ten spostrzeżę, że nasze cudowne, błękitne niebo, które tak kochamy, jest to czarna otchłań...

— A pan przeżywałeś coś podobnego? — spytał Wolski ze współczuciem.

Piotr nie odpowiedział na to pytanie.

— Za to ja, — mówił ksiądz, nie mogąc doczekać się wyjaśnienia, — byłem proboszczem na głębokiej prowincyi, wśród najuboższych wieśniaków. Spowiadałem... — szeptał, kiwając głową. — A wiesz też pan, zapytam nawzajem, co znaczy takie określenie: spowiedź wielkanocna?

— Nie zupełnie.



— To słowo znaczy: zgarniać przed swe oczy grzechy ciemnoty, wydobywać spod serca niedoli jej zbrodnię, zrodzoną w zaduchu świata, — i patrzeć na te niepodpadające wątpieniu wyniki nędzy człowieka przez powiększające szkła własnej nędzy ducha. Kiedym w to wszystko wszedł i kiedym się zatopił po ramiona w tym nieszczęśliwym kale, poczułem się tam być do coraz większej siły, a z tej znowu siły rodziła się coraz to większa i coraz to upartsza żądza czynności przeciwko grzechowisku. Och, męczyłem ci ja się tam po nocach, czując w sobie siłę tych oto ramion, tego karku byczego, tej głowy do rozbijania murów, — a nic nie mogłem poradzić! Siedziałem w konfesyonale dzień dnia i miesiącami... A ci schodzili się i schodzili do mnie rzeszą ogromną, niosąc wyznanie o swej głupiej zbrodni. Nakazywałem, zakazywałem, nauczałem, krzepiłem, podnosiłem, jak mię poinformowały moje kanony. Ale to wszystko było tak, jakbym, na zgniłym miejscu stojąc, chciał zdeptać gnojowisko. Dźwigała się we mnie stale, uparcie i coraz zuchwalej żądza wytępienia mojej zatęchłej sadzawki, przekształcenia jej na rolę, godną Boga i ludzi. Zadałem sobie trud wyrwania moich parafian z objęć grzechu, który z ich ciemnoty wyrastał. Leżałem po nocach krzyżem w pustym kościele, pod pełgającą lampą, błagając Boga o rozum, co mam czynić, o łaskę męczeństwa na wzór Zbawiciela, bylebym świętego czynu dokonał. Rozpętałem się był w pracy, wyładowałem ze siebie wszystką końską siłę. Chodziłem od chaty do

chaty, nauczając wszystkiego, com sam umiał, wskazując palcem, jak dzieciom, miejsca, gdzie mają stawiać swe kroki, mówiłem do nich tak szczerze i tak z duszy na kazalnicy, że ryczeli, jak stado zwierząt. Skasowałem drogie pogrzeby, pościłem aż do zupełnego głodu, rozdawałem to, co mi znieśli...

Wreszcie zabrałem się do apostołstwa nie tylko wśród nędzarzy ducha, ale podniosłem oczy na współkapłanów i zajrzałem w ich uczynki z tąsamą siłą i ciekawością, co w sumienia penitentów.

— O, to, zdaje mi się, bardzo śliska droga!

— To bardzo karkołomna droga. Skoro tylko zniżyłem do minimum taksę pogrzebów, już stałem się złą owcą w stadzie, boć oczywiście wskazywałem w ten sposób na ździerstwo najbliższych moich sąsiadów — proboszczów. Moje kazania, wędrówki po parafii, czytelnie, stowarzyszenia przeciwalkoholiczne i wszelkie prace nabrały wnet odoru herezyi.

— Cóż się dalej stało?

— Nic nadzwyczajnego. Miałem i ja ciągle konferencye ze zwierzchnikami. Głaskano mię, albo grożono, — zależnie od mej postawy, wymowy i okoliczności. Później zostałem towarzysko odosobniony. Miałem jednak możność czynienia na parafii, co mi serce dyktuje. Gdy jednak, nie poprzestając na tej sferze działania, począłem „mięsząc się w nie swoje rzeczy“, przeniesiono mię z tamtej parafii na znacznie gorszą. Dostałem domek na mieszkanie wilgotny, będę ze zrujnowanym gma-



chem kościelnym, parafijkę małą, złożoną w prze-  
ważnej mierze ze złodziei, koniokradów, pijaków...

— To był system pedagogiczny.

— A tak. Wkrótce z tamtej dziury przeniesiony  
zostałem na stopień wyższy, do konsystorza. Zaj-  
rzawszy zaś w tę całą maszyneryę u steru, dopiero  
stałem prawdziwego dęba.

— Doprawdy?

— Przeniosłem się do Warszawy i tam dawa-  
łem po pensjach lekcye religii. Wkrótce jednak  
postanowiłem, jak jaki powieściowy bohater, je-  
chać do Rzymu. Zebrawszy tedy trochę grosza  
z lekcyi, pomknąłem. Byłem w Rzymie blisko dwa  
lata.

— Ciekawy jestem...

— O, to rzecz mało interesująca moje tamtej-  
sze perypetye. Przygody głupca z parafii... Szuka-  
łem ducha bożego w tem siedlisku biurokracyi.  
Przedewszystkiem nigdzie i do nikogo nie mogłem  
się dostać. Nie byłem księciem, hrabią, milionerem,  
nie przywlokłem ze sobą wora z pieniędzmi na  
świętopietrze, więc nie rozumiano, czego chcę. Skoro  
do jakiegoś miejsca dotarłem, pytano z urzędową  
ścisłością: — z jakiej jestem dyecezyi, kto jest moim  
biskupem, jaki mam urząd i czego chcę, co mam  
za interes? Gdy powiadałem, że ja mam w duszy  
rozpacz, że ja tu przyszedłem dobijać się do drzwi  
mojego Boga, że ja szukam prawdy i naprawy, —  
wytrzeszczano oczy i odprawiano mię z kwitkiem.  
Były trzy kwestye: czy zwątpiłem o prawdzie, —  
czy me zwątpienie będę szerzył, — czy zamilczę

i poddam się pokucie? Gdy oświadczałem, że nie mogę milczeć, stawiano mi alternatywę ekskomunikacji. I to wszystko. Patrzyłem tedy na wszystko, poczynając od żołdatów z karabinami i naostrzonymi na nich bagnety, którzy pilnują wejścia do namiestnika Baranka Bożego na ziemi, a kończąc na niewymownej pompie i przepychu, na bogactwie, które im się tam z przepchanych kieszeni wylewa i wsiąka znowu w gnojowisko świata... Widziałem biura, urzędy, urzędników, dyplomatów, ludzi wykwintnych, uzdolnionych, subtelnych, panów o wielkiej władzy, ambicyach i zamysłach... Przy pomocy pana Ościenia i jego córki, którzy wówczas w Rzymie bawili, udało mi się dostać do jednego kardynała, hiszpana z pochodzenia, i konferować z nim. Przyjmował mię parę razy w rannych godzinach. Jego mieszkanie, gotownia, jak u damy, jego kosmetyki, masażyści, dostawcy, lekarze, jego stroje i sposób życia przemówiły do mnie zrozumialej, niż nauki i admonicje, których mi udzielić raczył (ze względu na wstawiennictwo panny Marzeńki)... Na ostatnią konferencję już nie poszedłem. Wróciłem do kraju. A teraz wygoniony zewsząd, dobrowolnie ze wszystkiego wyzuty, nie mogąc zgodzić się na obłudę milczenia i nie mając dokąd iść, błąkam się oto, jak pies, co to się zwlecze i wałęsa od wsi do wsi. Sam nie wiem, com jest za jeden...

— Co prawda, jako zupełnie obcy tym sprawom i w innem wychowany wyznaniu, nie bardzo rozumiem, o co panu chodziło. Przecie wiadomo,



że każdy kościół jest organizacją grzesznych ludzi, nie czystych aniołów. W ciągu swego istnienia na ziemi, wśród tyranii i zepsucia ludzi, każdy kościół musiał z konieczności oprzeć się na czemś pozytywnym i zmysłowem, coby ludzkie stado, podwładne mu, utrzymało w ryzach, więc nie tylko na sile wewnętrznego przeświadczenia i na moralnej zasadzie, która w kościele katolickim jest przeciwie napewno, lecz także na potędze bojaźni, na sile rozkazu, na rutynie, na impozycji, wpływającej z mniemanej oczywistości cudu. Zostając księdzem, musiał pan chyba o tem wiedzieć.

— Właśnie, że nie zdawałem sobie z tego sprawy i stąd cała tragedia. Z całą bowiem szczerością kapłani głoszą, że królestwo boże nie jest z tego świata, a nic, albo prawie nic, nie mówią o tem, jak królestwo boże osadzić na ziemi, wśród ludzi. Utrzymują, że wszystko jedno, jakie jest życie nasze na świecie, bylebyśmy osiągnęli królestwo niebieskie. To też oni z zasady konserwują siedliska nędzy, twierdze niedoli i dzisiejszej ciemnoty, gdyż to wszystko nie przeszkadza osiągnięciu nagrody wiecznej. Cuchnący prostaczek, głupiec i nędzarnik może umrzeć *in odore sanctitatis* i zasiąść na prawicy bożej. Tymczasem kapłani właśnie dbają najbardziej o dostatek. Głosząc cnoty ewangeliczne, wyciągają ostatni grosz z sakiewki wieśniaka, a sami są karciarzami, opilcami, obżartuchami i rozpustnikami...

— No, między nami mówiąc, a jakby dla potwierdzenia wygłoszonej tezy, to pan rzeczywiście

lubi zjeść dużo i dobrze... — roześmiał się złośliwie Rozłucki.

Ksiądz Wolski zaczerwienił się po same uszy. Rzekł z pośpiechem:

— Tak jest! To prawda! Mam nieposkromiony, ogromny apetyt... Ale i pościć potrafię... przysięgam! — bełkotał w pomięszaniu.

Stanął przy furtce ogrodowej, która prowadziła na drogę polną. Furtka była dosyć niska, zamknięta na klucz. Ksiądz oparł się na niej rękoma i długo wyglądał w pole. Piotrowi żal się zrobiło, że mu przykreść wyrządził. Chciał to jakoś naprawić i powiedział:

— Panie, sam dobrze wiem, co znaczy być prześladowanym przez tłum zorganizowany.

— Nie chodzi o prześladowanie. To rzecz drugorzędna. Lecz istota rzeczy. Chłopi polscy są rasą zdrową fizycznie i moralnie. Bardzo mało piją alkoholu i prawie nie jedzą mięsa. Żyją jarzynami i pracują na świeżem powietrzu. Zjada ich brud izb mieszkalnych i wynikające zeń choroby. Trzyma ich w niewoli nieumiejętność gospodarowania i ciemnota, niezmierna ciemnota umysłowa, z której, niby z zatrutego źródła, wszystko złe płynie. Jakże w ich obronie nie walczyć? Cóż są warte wszelkie nasze „przekonania“, nasze wyobrażenia i wynikające stąd sprzeczki wobec ogromu boskiego dzieła, które przed nami leży, jak niezorana ziemia?

— A więc dajmy pokój rozmowie...

— Dajmy pokój. A może pan zechcesz zoba-



czyć objaw takiego zagadnienia o Bogu na ziemi—  
choćby dziś wieczorem?

— Cóż to znaczy?

— Nic teraz nie powiem. Pytam tylko, czy  
zechciałbyś pan być mi dziś wieczorem bezwzględnie  
posłuszny, iść, gdzie każe, i robić, co każe?

— Czemu nie? Ufam, że mi pan pokażesz coś  
interesującego.

— Właśnie...

Nadszedł lokajczyk, wzywający do kolacyi.  
Ksiądz dał Piotrowi znak milczenia. Poszli ku dworowi.

Kolację spożyto pod ogromną markizą na werandzie  
ogrodowej. Nisko, za ogrodami melodyjnie rzechotały  
żaby, — we wsi przyległej słyhać było szczekanie  
psów, — jakiś śpiew dolatywał z odległości. Rozmowa  
była banalna i jałowa. Pan Oścień, cierpiący na  
migrenę, wkrótce odszedł od stołu. Panna Małgorzata  
bawiła gościa. Ksiądz milczał.

Zaraz po kolacyi oświadczył, że odprowadzi  
Piotra do jego pokoju, gdyż i gość potrzebuje  
spoczynku. Tak się też stało. Zeszli znowu w ogród  
i udali się do jakiejś przyziemnej oficynki, gdzie  
ksiądz Wolski rezydował.

Dolna rama okna pokoiku, w którym się znaleźli,  
stała znacznie już niżej od poziomu ogrodu Malwy  
i jaśminy zasłaniały cały otwór okienny. Nie  
zapalając świecy, ksiądz wydobył z jakichś szaf  
skrzypiących zniszczoną srodze swoją odzież i  
kazał ubrać się w nią Piotrowi. Były to hajdawery  
nad wszelką miarę szerokie i długie, kamizelka

i przestrojony surducik, tudzież czapka z daszkiem tak zatłuszczona i wielka, że strojny oficer wypowiedział posłuszeństwo i nie chciał tej niemożliwości wdziać na głowę. Oświadczył, iż woli iść z gołą czupryną, niż w czemś podobnie strupieszalem. Ale ksiądz nie chciał wejść w żadne kompromisy i nie pozwolił na opór. Majtki zostały od dołu porządnie zawinięte, kaszkiet podwatowany od wewnątrz starą gazetą, katanka zapięta na istniejący jeszcze guzik. Wówczas i ksiądz wdział jakowyś krótszy surdut, — rozchylił chrusty, rosnące za oknem, i potężnym krokiem wylaź na dwór. Piotr poszedł za jego przykładem. Szli po drapiących malinach i agrestach aż do alei w ogrodzie. Cicho, bez szelestu zstąpili tą aleją na dół, aż do furtki. Stanąwszy przy niej, Wolski długo nasłuchiwał i, przechylony w pole, patrzył w ciemność. Wreszcie wy dobył klucz i nadzwyczajnie powoli, żeby zgrzytu nie wywołać, przekręcił go w zamku. Ujął Piotra za ramię i wyprowadził z ogrodu, — poczem furtkę znowu z wielką ostrożnością zamknął. Było zupełnie ciemno. Cicha letnia noc, ciepła i bezgwiezdna, niby ciężka, nieprzejrzana zasłona zdawała się wisieć przed oczyma. W dali czekały psy i rechały ząby, lecz Wolski odwrócił się od tych głosów i cichym, a wyteżonym krokiem poszedł w przeciwnym kierunku, nieco pod górę. Wkrótce zmienił drogę i, ująwszy Piotra pod rękę, prowadził wprost przez zagony. Po pewnym czasie stopy Piotra wyczuły miękkość drogi. Był to szlak piaszczysty, — droga polska, a jeszcze ściślej powie-



dziawszy — podlaska, — równa, gładka, lotnym pokryta pyłem. Dziwnie miło szło się w tę drogę, w ciszy nocy niezmiernej i głębokiej. Coraz dalej, coraz niewyraźniej słyszeć było naszczekiwanie psów. Wreszcie cisza nastąpiła bezwzględna. Gdy oczy przyzwyczały się do mroku i wżarły weń, Piotr spostrzegł ledwie - ledwie szarzejący pas drożyny, oraz na prawo i na lewo białawe uwrocia ściernisk. W pewnej chwili szepnął do swego przewodnika:

— Dokąd też to my tak zdążamy, dobrodzieju?

— Cicho-no bądź, dobrodzieju!

— Czemu?

— Bo teraz rozmawiać nie pora.

— A dla czegoż to w tych pustych polach rozmawiać nie wolno?

— No, nie wolno!

— Czemu nie wolno?

— A żeby zły nie usłyszał.

Przycisnął mocniej ramię socyusza i pociągnął go w dalszą drogę. Gdy już minęli bardzo znaczną jej przestrzeń, Wolski rzekł szeptem Piotrowi do ucha:

— Księżyc dziś późno wschodzi. Musimy być w lesie przed księżycem...

— A cóż nam księżyc? Czy to my konie kraść będziemy, czy cudzą rzepeę po nocy kopać?

— Jeszcze go nie widać. Zdążymy!

Piotr rozejrzał się wokoło. Ciemność była zupełna, lecz nawykłe oczy wgłębiały się w nią na kilka kroków. Teraz i niebo nie było już jed-

nostajną, czarną zasłoną. Ciężar mroku jakgdyby uniósł się w wyżynę i stworzył ze siebie głębię niedosięglą. Oczy z rozkoszą zatapiały się w to bezdenne niebo, w łagodną i mroczną otchłań. Rozłucki był już potężnie zmęczony, gdy ksiądz poszepnął:

— Las blisko.

W istocie powiał na twarze idących nie dotychczasowy suchy oddech pól za dnia nagranych od upału i dotąd nie ostygłych, lecz wonny, rzeźwiący odór. Ksiądz nakazał towarzyszowi zupełne milczenie. Szli coraz szybciej. Nagle zarysowała się przed ich oczyma wysoka smuga gęstej ciemności. Las stał w nocy nieruchomy, niemy, tajemniczy i prześliczny w swym głuchym śnie. Skręcili na prawo po suchym i ustępliwym piasku. Piotr poczuł, że jest już pośród drzew.

Kiedyniekiedy trzasnęła pod stopą sucha gałązka, czasami drzewa westchnęły jednostajnym poszumem. Droga była twardsza, poprzerastana korzeniami, tu i owdzie zwilgła.

Posuwali się teraz ostrożnie, noga za nogą. Wolski trzymał Piotra mocno pod rękę. Jego oddech stał się głośniejszy, przyśpieszony i ruchy ciała gwałtowne. Piotr poddał się i dał powodować, jak dziecko, weseląc się czegoś nad wyraz, niby mały chłopczyk, któremu pokazują nieznaną zjawisko. Przewodnik wielokroć potykał się w żłobowinach i wyrwach leśnej drogi i tracił właściwy kierunek wśród węzowiska korzeni. Kołatali się tak z godzinę czasu. Lecz oto jednostajna i gruba ciem-



ność lasu jakgdyby zrzędła. Powiał ostrzejszy przeciąg wilgoci i zapach siana. Ksiądz zwolnił zupełnie kroku, ale jeszcze bardziej przycisnął do swych żeber ramię Piotrowe. Można było wyczuć, jak potężne serce bije gwałtownie w tem mocnem ciele. Zdjęty ciekawością Piotr podniósł na niego oczy. Lecz w tejże chwili jakiś głos cichy, jakby szeptany oddech samej nocy, ozwał się tuż przed nimi:

— Kto idzie?

Głos wyszedł z ust człowieka, stojącego tak blisko, że zdawało się jakoby mówił do ucha. Ksiądz Wolski odpowiedział półgłosem:

— „Ostra Brama“.

Wtedy tenże głos z radością wyszeptał w mroku:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

— Na wieki wieków... — rzekł Wolski.

Zarazem człowiek, który te słowa mówił, usunął się, widocznie, z drogi, gdyż obadwaj przycho-dnie znowu ruszyli naprzód. Rozłucki dopiero po chwili uczuł i posłyszał, że ów przed nimi idzie. Z niedosłyszalnego prawie odgłosu stąpania wywnioskował, że tamten jest bosy. Trwało to niedługo. Wnet posłyszeli szczególniejszy szelest jakgdyby wieloustego szeptu ludzkiego.

Rozłucki czuł, że przed nim znajduje się coś niezwykłego, i serce ścisnęło mu niepojęte wzruszenie, — trwoga, czy zachwyty. Wolski zatrzymał się w miejscu, zdjął nakrycie głowy i odezwał się półgłosem, lecz głośniejsz niż poprzednio:

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

— Na wieki wieków! — odpowiedział szeptem wielki chór ludzkich głosów.

Piotrowi serce zakołatało w piersiach. Niewymowna potęga była w tym nocnym szepcie tłumu. Moc nowa tchnęła z tego prastarego pozdrowienia. Wzruszeniem przejęty, zdrętwiały od dreszczu, który go przejął, Piotr odruchowo zdjął z głowy czapczynę. Patrzył w ciemność, lecz nic nie dojrzał. Zaległa znowu cisza najzupełniejsza, jakby w tem miejscu nikogo nie było. Gęsta i jednostajna ciemność lasu zataczała się półkolem, nad nią w górze szarzała jaśniejsza nieco kopuła niebios.

Piotr stał za Wolskim, lecz oto poznał, że ten się zniża i znika mu z oczu. Wyciągnąwszy rękę, zbadał, że ksiądz ukląkł na ziemi. Uczynił mimowoli to samo. Dał się słyszeć głos Wolskiego szepcany, cichy, lecz tak z duszy, że zdawał się być krzykiem w tem miejscu i wśród milczenia:

— „Ojczy nasz, któryś jest w niebie...”

Słowa te uderzyły Piotra, jakgdyby pierwszy raz słyszane. Nie wiedząc, co czyni, nisko nachylił się do ziemi i słuchał tych wyrazów całą głębością duszy. Lecz oto głos jednego człowieka utonął w szepcie pospólnym, jakby cały las ocknął się i wypowiedział. Zdało się, że drgnęły nieme drzewa i przemówiły ich liście. Po długiej wspólnej modlitwie, na którą tłum chóralnym odpowiadał szeptem, Wolski wydobył z pod poły swego surduta białą komżę i wdział ją. Rozłutki postrzegł go teraz dobrze, tuż przed sobą. Lecz wkrótce



ksiądz odsunął się od niego. Niewyraźnie majaczała to tu, to tam jego sylweta. Coś on tam w tym tłumie robił, coś szeptał. Piotr wsłuchiwał się w to, lecz do jego uszu dochodziły tylko urwane słowa modlitwy. Pozostawiony na uboczu, przytulił się do jakiegoś drzewa, usiadł na spotkanym pniaku i czekał. Domyślał się, że ksiądz udziela ślubów, o których coś niecoś słyszał, lecz samej akcji nie mógł skonstatować. Trwało to bardzo długo. W zgromadzonym tłumie szerzył się teraz głośniejszy pogwar, który ktoś co chwila uciszał. Odbывała się, widać, zbiorowa narada, bo liczne sły-chać było głosy... Później Wolski mówił coś bardzo długo, pewno naukę... Trwało to do późna w noc.

Nagle ciszę głębi leśnej przeszył świst. Był to świst przeciągły, wydany na skrzywionym w ustach palcu. Głos ów przeleciał lasem, obudził echo... Bliżej odpowiedział mu świst drugi, — później trzeci. Tłum nagle zacichł i znieruchomiał. Wkrótce z głębi lasu dał się słyszeć trzask gałęzi i zdyszany głos:

— Wojsko!

Drugi głos, z innej strony dał znać:

— Kozaki!

Trzeci:

— Od Radkowa Lackiego!

Wolski rzucił w las pytanie:

— Czy nas otoczyli?

Odpowiedziano:

— Od łąk droga wolna.

— Na łąki!

Piotr usłyszał poruszenie się tłuszczy i gromadne jej pożeganie:

— „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!“

Ludzie szli ławą, w pośpiechu, ale cicho i sprawnie. Słysząc było szeptu męskie, kobiece i dziewczęce. Biała postać Wolskiego zbliżyła się do Piotra. Ręce ich spotkały się.

— Co to jest? — zapytał oficer.

— Ktoś zdradził.

— A cóż teraz?

— Wyjdziemy z lasu na łąki i brzegiem rzeki, zanim las otoczą.

— A cóż ksiądz zrobisz?

— Pójdę z nimi, dopóki się nie rozproszą.

— To i ja mam razem ze wszystkimi uciekać?

— Tak.

— No, to ja nie będę uciekał!

— Musisz pan!

— Nie, ja nigdy nie uciekam!

— Dziś musisz.

— Nie!

— Dobrze — dobrze. Ja dla fanaberyi honoru nie pozwolę zgubić całej sprawy. Tu nikt nie może być schwytyany i wzięty. Chodźmy!

Ściągnął komżę z ramion, ukrył ją i, ujawszy Piotra pod ramię, jak poprzednio, szedł w las. Znaleźli się w tłumie zgorączkowanym, modlącym się, wśród kobiet i podrostków. Lecz wkrótce wokoło nich obudwu wytworzył się jakgdyby pierścień złożony z mężczyzn. Ludzie ci osaczyli ich ze



wszech stron. Po jakimś czasie wszyscy wydostali się z lasu na wilgotne łąki i zwartą masą biegli na przełaj. Teraz dopiero Piotr zobaczył, jak wielki to był tłum. Prędko dotarli do zarośli nad rzeką i w ich cieniu, wyciągnąwszy się w długą kolumnę, biegli z pośpiechem. Rozłucki słyszał w zgiełku szeptane rozkazy jakiegoś starca:

- Ci co z Obornicy — na ławę!
- Zza Kowalewic — miedzami!
- Radkowsy — jeszcze precz koło rzeki!
- Do łosickiego traktu!

Stosownie do tych rozkazów zastęp zmniejszał się. Wąż ludzki malał. Zdało się, że ich pochłaniała w sobie i kryła w cudnych rańtuchach ta cicha, nieprzerwana noc, że ich chroniła i wybawiała tajemnicami swoich ciemności ode złego. Gdy tak ubiegli ze dwie wiorsty, Piotr spostrzegł, że jest z nimi tylko ów pierścień obronny, z tęgich mężczyzn złożony. Ludzie ci szeptali pomiędzy sobą:

- Zdrada była!
- Zdrada!
- Nie inaczej, tylko zdrada!
- Rzecz była przecie zrobiona w cichości.
- Dziękować Bogu, że i tak... — rzekł Wolski. — Rozchodźmy się, braciszkuwie.
- Jeszcze tylko do rozstaja pod Ruskiem Grodziszczem.

— Stamtąd już do samego miejsca droga polna.

Szli tedy pośpiesznym marszem do owego rozstaja. Lecz oto jeden z mężczyzn stanął. — Za nim wszyscy. Zrazu nie można było zrozumieć, o co

chodzi. Nasłuchiowano i wyteżono wzrok. W ciszy daleko - daleko dał się słyszeć miarowy tętent. Zbliżał się. Ludzie jak stanęli, tak pozostali w miejscu, niby kamienne figury. Znała w głuchoj ciszy zadudniał pod kopytami most na rzece. Ozwała się jakgdyby salwa kopyt podkutych, bijąca na gwałt w deski, nad próżnią rozpostarte. Po długotrwałości dudnienia poznano siłę kozackiego podjazdu.

Most zamilkł na podobieństwo dobrego sługi, co ostrzegł o nieprzyjacielu. Oddział wojskowy przepadł, jakgdyby pochłonięty przez morze ciemności. Wyczekiwano długo, nasłuchując, w którą też pognał stronę. Lecz nocne milczenie nic już więcej nie wyjawilo. Grupa, otaczająca Wolskiego i Piotra, poruszyła się ostrożnie naprzód i dotarła do mostu. Jeden z ludzi, bosy, wszedł na ów most cicho, jak upiór, minął go i obejrzał przestrzeń najbliższą. Później wrócił się i ruszył po tropach wojska gościńcem aż do zapowiedzianych dróg rozstajnych. Gdy się stamtąd cofnął i oświadczył, że przeszli i pognali precz, a miejsce jest wolne i bezpieczne, orszak ruszył dalej. Na skrzyżowaniu dróg, pożegnawszy się chrześciańskim pozdrowieniem, rozstali się wszyscy. Piotr został znowu sam na sam z Wolskim. Pomykali teraz wąską, piaszczystą drogą wśród rozległego obszaru. Daleko, nad lasami poczęła się szerzyć rdzawa łuna.

— Księżyc wschodzi! Chodźmy co tchu... — mówił Wolski.

Śpieszyli tedy, od czasu do czasu nasłuchując. Ile razy stanęli na miejscu, spostrzegli, że światła



księżycowego przybywa. Było to tak, jakby niewidzialna siła zdejmowała czarną zasłonę z tajemniczego misteryum. Zdyszani od szybkiego kroku dobrnęli do dzikiej gruszki przy drodze w szczerem polu. Siedli obok jej pnia na stosie kamieni.

— A co to właściwie było? — zapytał Piotr z odrobiną ironii w tonie głosu.

— Była to pospolita scena z polskiego życia.

— Któż to są ci ludzie, kryjący się w lesie ze swą modlitwą: „Ojcze nasz, któryś jest w niebie...“?

— Są to „oporni“.

— Unici?

— Tak, unici.

— Słyszałem o tem, nawet czytałem, ale i teraz nie bardzo rozumiem, o co chodzi.

— Chodzi o to, że ci ludzie pragną wyznawać swą wiarę według sumienia, a nie chcą iść do prawosławnej cerkwi. Nie przyjęli wiary narzucanej im przemocą. Postanowili żyć według swej wiary.

— Według wiary, którą im podsuwacie wy, rzymscy katolicy.

— Której my im nie skąpimy, gdy nas wołają. „My, rzymscy katolicy“ — to znaczy ja jeden, zbuntowany przeciwko kościołowi katolickiemu ex-księżyna.

— A czy ta modlitwa „Ojcze nasz“, wypowiedziana w lesie, lepsza jest, według pańskiego sumiennego przeświadczenia, niż wypowiedziana w cerkwi?

— Modlitwa pod przymusem, pod batem nie jest głosem serca ludzkiego do Boga, lecz obrzę-

dem, czynnością niemal państwową, za którą czeka materyalna nagroda. Tutaj, w tym lesie modlitwa owej gromady była świętem westchnieniem.

Piotr wiedział, że poniekąd tak było, lecz coś burzyło się w jego duszy i zaprzeczało. Mówił tedy:

— Przecie to są unicy, więc zapewne z pochodzenia rusini.

— Nie zupełnie. Są wśród nich najszczerzy polacy, przez pokrewieństwa albo tendencyjną formalistykę zapisani na unię, a dziś na prawosławie. A zresztą ci „rusini“ są to potomkowie jadźwignów, którzy przyjęli mowę polską lub białoruską.

— Tak, być może. Katolicyzm przygarnął niegdyś tę „świętą rus“, świętą biedę. Lecz czemuż wy ciągniecie ich jeszcze teraz na męczeństwo?

— Och, z tą waszą wysoką, ponadwyznaniową filozofią! Jak to wygodnie stać poza dzisiejszemi dniami, poza tym ludem i poza Polską! A tymczasem ten lud jest to jedna z najważniejszych Polski spraw, jej płuco lancą przebite. Nie za nas się ta sprawa zaczęła i nie za nas się skończy. Wieki ją dawne zadzierzgnęły.

— Nie wszystko, co dawne wieki zadzierzgnęły, trzeba trzymać w tymże stanie.

— Pobita jest Polska, zestrzelana kulami, przekłuta, ciało jej ocieka dzień dnia i noc w noc żywą krwią, a oto „rusini“ z tutejszych wiosek idą nie tam, gdzie szczodremi garściami sypią dobro i dają słodycz, lecz w tę stronę, gdzie krew męczeńska niesławnie wsiąka w szczyry piasek.



Piotr rzekł ponuro:

— Katolicyzm wyżera życie polskie.

— Srogie słowo. Ja jestem zbyt ciemny, żebym to mógł sprawdzić, zaprzeczyć albo potwierdzić. To tylko wiem napewno, że tu, gdzie się lud polski z ruskim zająbia, zrosły się te dwie siły: — katolicyzm i polskość. Kto jedną z nich chce od drugiej odrąbać, krew ma pod siekierą.

— O, nędzo!

— Cóż ja jeden nieszczęsny mam począć? Mamże patrzeć obojętnie i przejść swoją drogą obok tego ludu? Na tych ziemiach i precz w kraje ruskie katolicyzm żywi się i żyje polskością, a polskość żywi się i żyje katolicyzmem. Ktokolwiek kocha Polskę, musi ją karmić, żeby z głodu nie umarła. Zdarza się, że człowiek popada w najcięższą nędzę i musi żywić się okrucieństwem spleśniałego chleba, — aż znowu zaświeci mu słońce. A zresztą, ja jedno wiem, że muszę z tymi prostakami iść ramię w ramię i muszę z nimi walczyć, bo ich kocham za to, że są tacy, jacy są.

— Walczyć... Kapłaństwo i walka... To ja przecie walczę, żołnierz. Od tego jestem, po to mam brutalne moje nakazy męstwa i dla tego noszę u boku symbol mojej moralności — oręż. Lecz wy, walczący między sobą chrześcianie, cóżeście to zrobili z nauki Chrystusa? Chrystus, przezierając nicosć walki, powiedział: „To wam powiadam, ażebyście się nie przeciwili złemu“. A gdzieindziej: „Kto cię uderzy w prawy policzek, nadstaw mu lewy“. Budda, pokonany przez świętą litość i naj-

głębszą, najistotniej religijną sprawiedliwość, oddał swe własne ciało na pożarcie drapieżnemu zwierzęciu, które z głodu zdychało...

W chwili, gdy ci dwaj w ten sens, szeptanym sposobem rozmawiali, nagle daleko, kędyś w lasach padł strzał. Echo poniosło go, — poniosło... Później padł drugi strzał — i jeszcze trzeci. Po długiej chwili jeszcze i jeszcze — i znowu trzy strzały wraz... Wolski porwał się z miejsca, poskoczył w tamtą stronę, zatoczył i stanął. Ręce jego były do piersi przyciśnięte, jakby to jego samego kule przeszły. Wielkie jego ciało zatrzęśło się i osunęło na ziemię. Głuchy, modlitewny jęk wyrwał się z jego piersi. Piotr długo nasłuchiwał. Gdy strzały już się nie powtarzały, zbliżył się do księdza, klęczącego na ziemi, podniósł go i pociągnął, pocieszając, że mogły to być strzały dla postrachu, ślepe, albo, w najgorszym razie, chybione...

---



### III.

Nazajutrz Piotr Rozłucki chciał zaraz rano odjechać, lecz został zatrzymany. Nie pozwolono zaprzęgać dla niego koni, a nie było ich gdzie nająć, — chyba aż w wiosce, ozdobionej baniastemi kopułami cerkwi. Więc został na obiedzie.

W czasie tego obiadu panna Małgorzata była piękniej, niż wczoraj, ubrana. Miała na sobie suknię jakgdyby grecką, obramowaną fijołkowym szlakiem. Suknia była najmodniejszego kroju, nieco krótka. Widać było lakierowane pantofelki i ażurowe pończochy. Strój głowy również był inny, wykwintniejszy. Piotr patrzył na to wszystko spod oka. Spostrzegł, że tej panience jest w tem bardzo ładnie i z szyderstwem rozmyślał, że to dla niego owa grecka suknia i uczesanie głowy, dla niego te pantofelki i przezroczyście pończochy. Przy stole rozmawiał z panną Małgorzatą w sposób zaczepny, podchwytyjący każdą sposobność przypodobania się, — poprzednio, a nadewszystko na początku tego obiadu odepchnąwszy ją od siebie oczami w sposób iście męski, mściwy i nieodwołalny. Przypatrywał się jej rękoma wyhodowanym i troskliwie strzeżonym od słońca, — ślicznie pod

stanikiem zarysowanym piersiom, — blaskowi młodocianych włosów, — połyskom i zadumom oczu, — zarazem jakby targając ją oczami i szarpiąc za te śliczne włosy i nadobnie zachylone ramiona.

Gdybyż wiedziała, co w tamtej, restauracyjnej sali rozsiekał, broniąc jej głupiego honoru!

Wśród wesołego śmiechu i dowcipnych odpowiedzi na wesołe zwroty rozmowy wciąż rozmyślał nad straszliwym potokiem wydarzeń, który sam niejako stworzył, nie wiedząc o tem, że go stwarza. Kiedy się najbardziej wesoło śmiał, panna Małgorzata nie domyślała się, jaki to jest śmiech... Była coraz weselsza. Zauważył, że ona lubi doskonale pić i jeść. Każdy taki szczegół weselił go, a jednocześnie sprowadzał szarpiący ból w bliźnie twarzy.

Po obiedzie całe towarzystwo wydało się z jadalni na ganek nie ze strony ogrodu, gdzie jeszcze przygrzewało słońce, lecz na dziedzińcowy, gdzie już kładł się cień. Było wesoło. Przycłapał na ów ganek nawet dziadunio panny Małgorzaty, ojciec pana domu, jowialny staruszczyk z żywą jeszcze pamięcią, opowiadający trzeciemu już pokoleniu tesame wciąż dykteryjki, szlachecko-podlaskie jowialitates. Właśnie dobiegała do szczęśliwego kresu jedna z przypowieści, którą pokolenia po stokroć już nagradzały przymusowym śmiechem należnego patryarsze uznania, gdy oto w alei lipowej, prowadzącej wprost przed ganek, ukazał się tuman kurzawy. Wszyscy zwrócili na to zjawisko pilną uwagę. Za chwilę spostrzeżono pojazd.



Cztery prześliczne kasztanowate konie, ciągnąc niewielką lśniącą karetkę, obieżyły podwórzowy gazon i zatrzymały się nieopodal ganku. Lokaj w lśniącym cylindrowym kapeluszu i opiętej liberyi błękitnego koloru zeskoczył z kozła, podbiegł do drzwierek karety i otworzył je. Wysiadł z karety człowiek mniej więcej czterdziestoletni, wysoki, zgrabny i przystojny. Twarz miał pociągłą, ciemną, zupełnie ogoloną, rysy twarzy regularne. Gdy zdjął kapelusz i z ukłonem zbliżał się do ganku, widać było, że włosy na jego ciemieniu są już nieco przerezione, ale tak zaczesane, że ta „wysokość czoła“ nie raziła, lecz nawet jakby ozdabiała twarz przybysza. Sprężystym i wykwinnym ruchem wstąpiwszy na schody, gość witał ukłonem zebranych. W tym ogólnym ukłonie badawczy wzrok zatrzymał na Piotrze. Nie przerywając powitania, darząc niem szczególnie pannę Małgorzatę, wciąż na Piotrze miał oparte swe ciekawe, wywiadowcze spojrzenie. Całe towarzystwo poruszyło się i witało przybyłego pana. W zamieszaniu Piotr znalazł się przez chwilę na osobności. Ale elegancki gość wnet zwrócił się w jego stronę z grzecznym ukłonem. Wówczas pan Oścień przedstawił Piotra hrabiemu Nastawie z krótkim nadmieniem o przygodzie restauracyjnej.

Hrabia Nastawa wysłuchał uważnie relacyi i jeszcze niżej, jeszcze uprzejmiej skłonił się z podniesionemi brwiami i skupionym wyrazem niemal czci na obliczu. Zarazem wyciągnął rękę i uściśnął rękę Piotra zimnemi palcami. Poproszono całe towarzy-

stwo do salonu, widocznie znajdując, że byłoby rzeczą niedostojną, ażeby hrabia zajmował miejsce na ganku. Zgromadzono się też nie w małym gabinecie, gdzie Piotr po raz pierwszy był przyjęty, lecz w białym i wyświeżonym salonie. Potoczyła się rozmowa żywa i banalna, o tematach przygodnych, której, dla jej pospolitości, nie sposób powtórzyć. Hrabia Nastawa mówił łatwo, miło, z wdziękiem. Piotr zazdrościł mu mimowiednie nie tyle łatwości rozmowy, ile przygotowania do zawsze jednakiej zimnej krwi i do swobody, z jaką wytworny gość mówił o tematach nawijających się przypadkowo. Rozłucki dążył zawsze do swobody w stosunku do swych uczuć, do bezuczuciowości niejako, do bezwzględnej obojętności zewnętrznej, do panowania nad każdym swem doznaniem i nad każdym ruchem. Udawało mu się to na skutek pracy i forsy uprzedniej. Hrabia Nastawa posiadał te przymioty jakgdyby z natury, czy też dzięki długotrwałej nauce, która się stała drugą naturą. Po upływie pewnego czasu Piotr spostrzegł jednakże, że w tym gościa spokoju i opanowaniu siebie, poza łatwością bycia i poza władaniem myślami, (jakby się było nie wśród obserwujących ludzi, lecz sam na sam z temi myślami w odosobnionym gabinecie), poza swobodą towarzyską i przygotowaniem do takiej swobody — jest pewna luka. Hrabia Nastawa był tak swobodny i wesoły, dowcipny i rad ze wszystkiego — dla panny Ościeniówny. Piotr pochwycił w locie jedno jego spojrzenie. Zauważył również coś, co się nie da słowem



określić, lecz co było dlań wyraźne, jak mowa. Znienacka zrozumiałą stała się dlań piękna suknia panny Małgorzaty, dziś właśnie przywdziana, którą ordynarnie poczytywał był za daninę — dla siebie. Śmiech szyderyczy zabrzmiał mu nad uchem... Niedawno drwił sobie z tej daniny. Teraz poczuł ukłucie gniewu, jakby na skutek czyjegoś oszustwa, wychodzącego na jaśnię. Na mocy tego ukłucia skonstatował, że jednak jakaś postać przyjemności, — czego w sobie nie przypuszczał, — istniała w duszy na widok tej niewinnej kokieteryi panny Marzeńki. Wszystko to podniecało wewnętrzną rozterkę.

Uśmiechnięty, milczący siedział na swem krzeselku, jak przystało na chwilowego, obcego przechodnia. Czekał na chwilę stosowną, w której ciągu można będzie tych ludzi i to miejsce bez żalu i nazawsze porzucić. Ale oto oczy panny Małgorzaty poczęły mu się nastroczać, nawet naprzykrzać. Jakby wyraźnie w jego myślach czytając, jakby znając te wszystkie myśli aż do najtajniejszej i ostatniej, poczęła mu coś oczami wypowiadać z pośpiechem, z niejasną prośbą i w pomieszaniu. Prześliczny rumieniec spłonął na jej policzkach i zgasł w beznadziejnej bladości. Piotr szorstko odwrócił głowę. Łkanie ocknęło się w jego sercu i szept niemal religijny płynął z duszy ku grobowi:

— Taniusiu, Taniusiu...

Rozmowa, przebiegając z przedmiotu na przedmiot, zahaczyła się o Paryż. Okazało się, wskutek

Piotra zapytań, że hr. Nastawa właściwie stale mieszka w Paryżu, gdzie ma urządzone mieszkanie, latem tylko zjeżdżając do majątku nad Bugiem. Korzystając z chwili rozmowy hrabiego z panną Małgorzatą, ksiądz Wolski najcichszym szeptem uświadomił Rozłuckiego, że majątek ów — są to olbrzymie dobra, które są tylko częścią majątków na Litwie... Pełen skromności sposób bycia hrabiego na tle jakiejś legendy o olbrzymiej nadto sukcesyi, czekającej go po śmierci ciotki, na pół obłąkanej staruszki, tem wydatniej zarysował się, jako przymiot pierwszorzędnej wartości. Sposób zachowania się starego pana Ościenia był poniekąd kopią, odwzorem a może nawet naśladownictwem hrabiego Nastawy. Coś na ten sposób zachowania się starszego pana oddziaływało, coś potężniejszego, niż zwykła, bezpośrednia moc wpływu prototypów salonowej ogłady. Piotr to spostrzegł. Ilekroć panna Małgorzata zaczynała rozmawiać z hr. Nastawą, pan Oścień w szczególniejszy sposób, niejako wewnątrz promieniał. Ona, wiedząc o sile radości, jaką ojcu sprawia, czyniła według jego woli, mówiła z możliwym gościem wesoło, łaśkawie, poufnie, z wdziękiem przychylności, który w niej przeistaczał się na nowy a niezależny rodzaj powabu. Ale zarazem, niemal w tych samych momentach coś jej stawało na przeszkodzie, coś odrywało, jak obce a mocne ręce. Błądła i traciła oddech od zewnętrznego przymusu i wewnętrznego sprzeciwu, który jej nie dał ani swobodnie rozmawiać, ani się uśmiechać w sposób należy i pożą-



dany, jakby chciał ojciec. Chwilami głowę jej odchyłało na stronę jakby omdlenie. Czoło pod lśnięciami włosów stawało się blade, jak u umarłej. Wówczas stary pan Oścień spoglądał na nią oczyma srogimi i podniecającymi, jak gwałtowne razy pięści. Rozłucki obserwował grę uczuć wewnętrznych między temi trzema osobami — i przysłuchiwał się rozmowie, która z uczuciami ich nie absolutnie wspólnego nie miała. Lecz zdolność, przenikliwość i intelektualna siła hrabiego Nastawy nie dała mu zająć tak wygodnego stanowiska obserwatora i pozostawać w biernej roli widza. Artylerzysta przyszedł wkrótce do przeświadczenia, że przybyły pan spokojnie, nie śpiesząc się i z uwagą bada go również i obserwuje wśród arcybanalnej rozmowy. Wewnętrznie, nie łatwym do określenia uczuciem nieprzyjemności zmierzył pewnik, że stanął tu czemuś na przeszkodzie, coś tu zepsuł, czy zahamował. Bo oto i pan Oścień uderzył weń kilkakrotnie oczami prawdziwie nieprzyjaznymi. Nie poradził uśmiech jego przyklejony do warg, ani grzeździe obłudne słowa. Hrabia Nastawa, będąc panem sytuacji i, oczywiście, rozmowy, skierował ją w taki sposób, żeby Rozłuckiego wciągnąć. Za chwilę dokonał tego. Piotr mówił wesoło o krajobrazie podlaskim, o Bugu, Drohiczynie, wioskach, dworach, cerkwiach i tym podobnych zewnętrżnościach. W tych jego słownych ekskursjach po zaletach podlaskiego krajobrazu pomagał mu wzrok panny Małgorzaty i wspierał usilnie, gdy brakło wyrazu polskiego i trzeba było zastąpić go francuskim...

Hrabia przysłuchiwał się z głęboko uważnem i do uniżoności grzecznem skupieniem. Jakże bolał nad każdą trudnością wysłowienia się, albo nad brakiem właściwego wyrazu! Nachylał się, pomagał mimiką twarzy, ruchem brwi i całym pogotowiem gestów. Zdawało się, że będzie na ręku nosił tego niezwyklego oficerka... Wśród tych objawów sympaty grzecznie, ostrożnie i cicho zapytał:

— Czy bateria szanownego pana być może przeniesiona została w te strony?

— Moja bateria? Broń Boże! Ja sam znalazłem się tutaj. A czy szanowny pan wie o miejscu pobytu mojej baterii?

— O, tak.

— Nie przypuszczałem. Zdawało mi się, że nikt w naszym społeczeństwie nie zajmuje się takimi sprawami, jak ta.

— Dla czego pan tego nie przypuszczał?

— Baterie artylerii w czasie pokoju są to zjawiska, doprawdy, mało interesujące. Dopiero w czasie wojny występują na jaw z całą swą siłą i potęgą. Są one, jak choroby, o których istnieniu czasu zdrowia z przyjemnością się nie wie.

— Co do mnie, — mówił hr. Nastawa ze skromnym uśmiechem, — interesują mię te właśnie sprawy, o których się nie myśli, jak o chorobach czasu zdrowia.

— Zaszczyt to prawdziwy dla mej baterii fortecznej.

— Zaszczyt... — wyrzekł hrabia powoli. Podniósł brwi, słysząc te dość szorstkie słowa ironi-



czne i rozważał je z pewnem zdziwieniem. — Niema w moich myślach żadnego zaszczytu dla bateryi, w której pan służy. Myślę o niej, jako o sile. Z siłami zawsze się liczę, więc o nich wszystko chciałbym wiedzieć i to tak dokładnie, jak one same mocne są i dokładne.

— Świetne to są zasady, panie hrabio!

— Dziękuję szanownemu panu za pochwałę. Ale ja nie dla otrzymania pochwały wypowiedziałem powyższe zdanie. Wypowiedziałem je raczej, jako maksymę, której przestrzegać powinniśmy i to — wszyscy.

Mówiąc te słowa, hrabia Nastawa spojrział nie na Piotra, lecz na księdza Wolskiego. Przymknął potem oczy i westchnął. Ksiądz dziwnie zaniepokoił się po tych wyrazach. Panna Małgorzata również. Hrabia nie rozproszył ich rozterki, lecz znowu zwrócił się do Piotra ze słowem nad wyraz grzecznem.

— Dla tego zapytywałem, czy przypadkiem baterya szanownego pana nie przeniesiona została gdzieś tu bliżej nas, że obecność pańska w tych stronach i w tem miejscu specjalnie obudziła powszechną uwagę.

— Czyją?

— Tych, co tu pilnie na wszystko uważają.

— Nie mam zwyczaju zwracać swej uwagi na badaczy tego gatunku.

— Świetna to jest zasada, — odpłacił hrabia Piotrowi równą miarką złośliwości, — ale, niestety,

nie tutaj. Tutaj jest tylko szkodliwa i to nie tylko dla szanownego pana.

— Nie bardzo rozumiem...

Hrabia uśmiechnął się posepnie i zaraz zwrócił spojrzenie na księdza Wolskiego. Tamten milczał, lecz uporczywie wpatrywał się w oczy gościa. Zapanaowała cisza. Była to cisza szczególnego rodzaju. Piotr zrozumiał, że te osoby milczą, ponieważ on jest obecny. Wiedział wewnątrz, że gdyby wyszedł z pokoju, natychmiast zaczęłoby mówić. Zrobiło mu się duszno. Postanowił natychmiast wyjść, lecz nieznośne jakieś zażenowanie trzymało go, jak na łańcuchu. Wtem Wolski wypowiedział:

— Czy pan hrabia ma mi co zakomunikować?

Piotr wstał ze swego miejsca wszystkie czerwony i niezgrabnymi ruchami przesunął się przez salon. Posadzka skrzypiała pod jego nogami. Pośliznął się. O mało nie przewrócił jakiegoś stolika. Jak na utrapienie już przy drzwiach do sąsiedniego gabinetu dogoniło go basowe recitativo Wolskiego, który mówił:

— Kiedy to!... Pan Rozłucki wychodzi, gdyż sądzi, że nam przeszkadza w jakichś zwierzeniach. Panie poruczniku! Niechże pan nie wychodzi z pokoju! My żadnych przed panem sekretów nie mamy. Co pan hrabia ma do powiedzenia, powie przy panu.

Hrabia porwał się ze swego miejsca i poszedł kilka kroków w stronę Rozłuckiego. Mówił z żywością:

— Szanowny panie, — to, o czem tu chciałem



powiedzieć, jest tajemnicą publiczną, więc tu nic tak dalece ciekawego nie mam do wyjaśnienia. Zapewne państwo już wiecie, że wczoraj w nocy wojsko zraniło strzałami dwu ludzi ciężko, a wielu pobiło i poaresztowało...

Zapanowało milczenie.

— Nic o tem nie wiedzieliśmy... — rzekł pan Oścień z wyrazem szczerego przestachu na zbielełej twarzy. Panna Małgorzata siedziała nieruchomo ze spuszczoną głową i przymkniętymi oczami, głębiej zanurzona, jakby zapadnięta w fotel. Ksiądz słuchał uważnie. Krzesło pod nim trzeszczało, a wielkie stopy w połatanych butach posuwały się w tył nieznaczными ruchami. Piotr oparty plecami o odrzwia przypatrywał się hrabiemu Nastawie. Nabierał do niego stopniowo głębokiej, tajnej, niewytłomaczonej odrazy.

Im bardziej uwydatniał się przed nim spokojny i doskonały rozum tego człowieka, jego słuszność we wszystkim i logika na każdym kroku, tem bardziej wzmagała się instynktowa awersya.

Wydawało się Piotrowi, że on tego hrabiego Nastawę już chyba widział, że go — do kaduka! — zna z jakiejś racyi. Wspominał nadaremnie całe swe życie... Przyszło mu na myśl, że ten człowiek jest tak mądry, tak doskonale wytrawny w swych myślach i zamierzeniach, obliczonych na osiągnięcie nieomylnego skutku, tak ostrożny i zbliżający się do celu niepostrzeżenie, jak samo nieszczęście, jak te cierpienia, które zadaje tęsknota za zmarłą Tatjaną.

Hrabia mówił:

— W Tuchlebach, w Lackim Tarkowie, w Grodziszczu stoi wciąż jeszcze wojsko. Poaresztowanych wywieziono w drabinach... — mówił spokojnie, bez żadnego zgoła wzruszenia. Widać było, że on już szczegółowo zbadał zjawisko, obejrzał dokładnie wszelkie jego fenomeny i wyrobił sobie o niem sąd ścisły. Wyłuszczając jednak to wszystko, hrabia Nastawa wciąż się ociągał, uwydatniał słowa i zostawiał między jednym a drugim luki umyślne, jakieś pauzy, więcej mówiące, niż same wyrazy. Książd wstał ze swego miejsca i począł przechadzać się po pokoju, jakby zapomniał o przytomności osób tam zgromadzonych. Tarł sobie ręce, po prostacku wyciągał palce ze stawów i kołatał po posadzce obcasami butów. Wreszcie zatrzymał się przed Nastawą, który mu się dość pogardliwie przypatrywał, — i wypalił:

— No, więc cóż, panie hrabio?

Ten nie odrazu odpowiedział. Rzucił okiem na Piotra, później na pannę Małgorzatę, jakby badał stopień ich ciekawości. Ale ci obydwójce mieli oczy spuszczone i twarze ukryte w ciszy milczenia.

— Byłem już u naczelnika powiatu, — mówił Nastawa powoli i oschle. — Byłem także u naczelnika straży ziemskiej. Widziałem się z dowódcą jazdy...

— I cóż? — nastawał książd.

— Nic szczególnego.

— Ale cóż oni mówią?

— Oni mówią formuły znane mi oddawna. Nie tylko mnie znane, ale i księdzu.



— Nie o to mi chodzi, co oni tam mówią, o formuły, tylko — cóż w tej sprawie? Cóż z tymi ludźmi?

— Przymykli, że co się da zrobić, to zrobią — mówił hrabia z niedbałością, jakby tę sprawę odrzucał na bok. Ale zaraz stanowczo i twardo dodał:

— Naczelnik, który najwięcej w tej aferze znaczy, i z którym najłatwiej dojść można do jakiegoś ładu, — (hrabia uśmiechnął się dobrotliwie), — oświadczył mi kategorycznie, że jednakże to już musi być koniec. Już ta sprawa z jego rąk przechodzi w inne, w zgoła inne, że tamci już są na tropie. Wobec tego obecny casus on może jeszcze ogarnąć rękoma, lecz za nic już nie ręczy i stanowczo umywa ręce. Jeżeli zaś po takich prośbach, jakie ja doń zaniósłem, on umywa ręce, to znaczy, że te ręce już będą umyte na pewno. Wobec tego cóż wasza wielebność mi powie?

— To pytanie ma znaczyć, że godziny moje są już policzone na tem płaskim Podlasiu...

— Niestety, ja tak sędzę.

— Czyżbym miał już zaraz kij brać w rękę i bez zwłoki uchodzić?

— Niestety, ja tak sędzę.

— Ale czyż wytykano palcami mnie właśnie?

— Wytykano nietylko palcami, ale całym plikiem papierów. Widziałem czarno na białem... — mruknął hrabia dóbicie. Po chwili dodał jeszcze:

— Gdyby nie obawa o bezpieczeństwo domu szanownego sąsiada, nie ośmieliłbym się tych wszy-

stkich drobiazgów i szczegółików tak otwarcie wyłuszczać. Proszę o dyskrecyę i przebaczenie...

Pan Oścień uściśnął rękę hrabiego. Ten ciągnął:

— Z drugiej strony i władza duchowna już sarka, a nawet zżyma się. Wiem o tem z najpewniejszego źródła, z samego źródła. Rzeczy te, — mówią tam, — szły nie z ramienia prawowitego... Być może... stały w sprzeczności z aktualnemi zamierzeniami, z pewnego rodzaju dyplomacją, niezbędną w czasie i miejscu. Nie wiemy. Jesteśmy, jak w lesie.

— Tak, tak, — jesteśmy na Podlasiu... — kiwał głową książk Wolski.

— Musimy zaś tutaj skłaniać głowę w pokorze, bo nie jest to sprawa naszego entuzjazmu, który dziś jest a jutro może wygasnąć, lecz sprawa głębokości żywota ludu, żywota ludu, którego nasz entuzjazm nie jest mocen ani nakarmić, ani wyrwać z objęć śmierci, gdy tę śmierć szerzyć po cznie ręka żelazna. Mówiono mi tam właśnie, u źródła, że kościół jest, jak matka, która w mądrości swej, przez wieki wyprobowanej, wciągnie w siebie nieraz i zatai na długi czas oddech, — zamknie oczy na cierpienie umiłowanego syna, niema, zimna i nieczuła na pozór nad skrwawionym zasiądzie, póki mściwa nienawiść nie wypali się w oczach nieprzyjaciela, a kroki jego przejdą i oddalą się...

— Ja wiem, ja wiem... — mówił z uśmiechem Wolski.

— Mówiono mi jeszcze, że mądrość tej matki,



która zamkniętymi oczyma widzi godzinę daleką, przyszlą, gdzie zatajona jej miłość zaświeci i rozpali się w ogień wysoki, a szeroki, — mówiono mi, że mądrość ta jest większa, niż głośny entuzjazm...

— Z tą tylko jedną poprawką, że temu synowi, co dziś tuła się i gaśnie w mroku, nie chce ona dać ani jednej isierki ze swego wielkiego stosu. A jeżeli on nie przetrzyma męki i zginie, jakąż jest miłość tej matki, pełnej zbyt wielkiej mądrości... — mówił Wolski.

— Moje posłuszeństwo względem tego źródła władzy duchownej i moja głęboka pokora nie pozwalają mi wznosić oczu aż do tej wyżyny, ażebym śmiał narzucać jej rozstrzygnięcie takiego pytania, ja, pospolity wierny.

— A wszakże pan hrabia przykładałeś ręki nie tylko do rozstrzygnięcia samego zagadnienia, lecz także do jego na jedną wyraźną stronę wcielenia w uczynek...

Hrabia spojrział na księdza surowo, jakby mu tem spojrzaniem chciał zamknąć usta.

— Jeżeli tak było, jak pan mówisz, to niewątpliwie ważne mię do tego skłoniły powody. W żadnym jednak razie nie należałoby tych rzeczy poruszać...

Niespodziewanie panna Małgorzata podniosła głowę. Patrzyła hrabiemu Nastawie prosto w oczy. Piotr zobaczył teraz jej oczy, takie właśnie, jakie mu się przyśniwały w gorączce. Były to oczy przygaste a głębokie. Powiedziała ze spokojem:

— Powody, które pana skłoniły do zajmowania się temi sprawami, musiały być dość rzeczywiste ważne, skoro pan to mówi. Lecz powody te już ustały. To też może to będzie dla pana daleko lepiej, żeby wogóle już nie zajmować się tą kwestyą. Tak mi się wydaje...

Powiedziawszy to, spuściła oczy i zamilkła. Hrabia przybladł. Pan Oścień również. Zaraz też skierował rozmowę na inne tory, a wybierając tematy, zdawał się zabiegać drogę potężnemu gościowi, schylać się przed każdą jego myślą. Panna Małgorzata była znowu zażenowaną panną na wydaniu. Zajęła się bawieniem gościa, a gdy podano herbatę, usługiwała wszystkim z wdziękiem, rumieniąc się za lada okazyą. Nad wieczorem hrabia zabrał się do odjazdu. Zaznaczył mimochodem, że jedzie wprost do Siedlec. Piotr powstał również i zaczął żegnać się, prosząc jednocześnie księdza Wolskiego o pomoc w wyszukaniu i wynajęciu koni także do Siedlec. Hrabia Nastawa zwrócił się do Rozłuckiego z gorącą prośbą, ażeby wsiadł do jego powozu i odbył z nim razem drogę do miasta. Piotr uprzejmie dziękował, lecz hrabia nastawał dopóty, aż uzyskał zgodę. Napomknął w przełocie, że będzie to nawet z korzyścią dla Piotra i dla ościeniowskiego domu „w razie przypuszczalnych przykrości“, jeżeli się oświadczy, że pan Rozłucki, oficer artylerji, chwilowo goszczący na Podlasiu, wyjechał w karecie i w towarzystwie hrabiego Nastawy. Piotr zżymał się wewnątrz, lecz ze względu na bezpieczeństwo tego domu natych-



miast przystał na ów wyjazd. Pożegnał pana Ościenia i księdza Wolskiego uściskiem ręki, pannę Małgorzatę ukłonem dalekim i wsiadł do karety. Hrabia Nastawa siedział obok grzecznie wyprostowany, starając się zajmować jak najmniej miejsca. Zaraz za bramą dworską, w piaszczystej alei i dalej na gościńcu otoczyły pojazd tumany kurzu. Trzeba było podnieść okna karety. Ale pył wdzierał się i tak do wnętrza. Było duszno. Pojazd kołysał się od szybkiego biegu koni i zdawał unosić w tumanie kurzawy. Kilkakrotnie hrabia stukał w przednie okienko, dając, widocznie, znak, żeby jechać wolniej. Kilkakrotnie również przeproszał Piotra za ów nieznośny kurz, którego uniknąć nie było sposobu. Oficer tłumaczył się, że jest aż nadto przyzwyczajony do pyłu na mustrach artylerji, że to dla niego rzecz powszednia. Po pewnym czasie wydobyto się na twardszą drogę, a wreszcie na szosę. Wtedy już wieczór zapadał. Konie na chwilę stanęły: lokaj zapalił latarnie. Gdy wskoczył z powrotem na kozioł, ruszono bardzo szybko. Wehikuł unosił się lekko, miarowo, usypiająco. Latarnie rzucały przed się kręgi światła, w których przedmioty przydrożne ukazywały się i ginęły, jakby przerażone tą nagłą, iście pańską światłością. Obadwaj podróżni zachowywali milczenie. Było ono tak długie, że Piotra zaczęło dławić. Z rozkoszą byłby jechał najgorszą żydowską biedą, byleby mieć za towarzyszków swe myśli i wrażenia, zamiast tego tak cudzego człowieka. Nareszcie hrabia przerwał milczenie.

— Rozmyślam, — rzekł, — nad tem, jak niezwykłego człowieka miałem szczęście poznać w szanownym panu.

— We mnie? — zdziwił się Piotr.

— Właśnie...

— Jestem człowiekiem bardzo pospolitym, panie hrabio.

— Pozwoli pan, że będę innego zdania.

— Niema we mnie nic takiego, coby wykraçało po za szranki najzwyczajszej pospolitości.

— A choćby pańskie uczestnictwo w nocnych wyprawach księdza Wolskiego...

Piotr zmięszął się nieco, lecz wnet odpowiedział:

— Szanowny pan, jak widzę, jest doskonale poinformowany o wszystkim, co się tu dzieje, nie tylko w dzień, lecz i w nocy.

— Tak jest, — niestety, — tak jest.

— Doprawdy, — to niemal wszechwiedza...

— Bardziej jeszcze od tego kroku, bądź co bądź niezwykłego, jeśli brać pod uwagę pański zawód i stanowisko, — zastanowiła mię rola pańska, jako obrońcy panny Małgorzaty, — owa, tyle piękna, walka z kolegami...

— Daruje pan, że nie chciałbym o tem mówić...

— Rozumiem tę skromność człowieka honoru. Lecz rozważając okoliczności innej kategorii... Bo przecież pan jest również oficerem i to tejsamej armii...

— W armii są żywioły rozmaite.



— Tak. Lecz przecież pan nie znał przed tem, i to wcale, panny Małgorzaty...

— Nie znałem jej rzeczywiście.

— Nigdy jej pan przedtem nie widział?

— Owszem, raz ją widziałem poprzednio.

— Ach, tak? To nieco zmienia postać rzeczy. Więc to już raz, przed tym wypadkiem, pan widział był pannę Ościeniównę?

Głos hrabiego Nastawy zabrzmiał jakgdyby głos innego człowieka. Nieopisana pasya brzmiała w delikatnem pytaniu, które wygłosił.

Słowa te były taksamo równie, dobrze uszykowane i w miarę ugrzecznione, a mimo to wyrywały się jakby ze zduszonej piersi.

— Nie wiedziałem o tem wcale, — mówił. — Przepraszam, że się dopytuję o te szczegóły, ale to dla mnie tak interesujący temat! Ten czyn rycerski, męski, piękny sam w sobie i sam dla siebie zachwyca mię wciąż. Nie uwierzy pan, gdy to powiem, a przecież tak jest, że ja o tej scenie myślę często, bardzo często. Więc pan poprzednio znał już może osobiście pannę Ościeniównę?

— Wspomniałem przed chwilą, że nie znałem jej osobiście. Widziałem pannę Małgorzatę w wagonie kolejowym.

— W wagonie...

— Było to dawno. Jechałem wtedy pierwszy raz do kraju.

— Czy zrobiła na panu wrażenie? — zapytał hrabia śmielej i poufalej.

Piotr zamyslił się przez chwilę, jakby sobie

chciał przypomnieć owo dawne wrażenie. Westchnął:

— Nie.

— Jakto, wcale?

— Panna Ościeniówna nie zrobiła na mnie żadnego wrażenia.

— Jesteśmy sami, — mówił Nastawa, pochylając się ku niemu, — jesteśmy mężczyznami...

Piotr milczał, jakby odpychając od siebie tę poufałość.

— Byłbym bardzo szczęśliwy, — ciągnął Nastawa, — gdyby w istocie tak było, jak szanowny pan utrzymuje, że panna Małgorzata była dla pana zupełnie obojętną, gdyż wówczas tamten czyn jeszcze piękniejszym światłem wyblyska. Tylko, że to tak trudno uwierzyć... Doprawdy! Panna Ościeniówna jest tak piękna, tyle ma w sobie wdzięku, że mógł pan cząstkę jego nosić w sobie, wcale o tem nie wiedząc.

— Choćbym miał nawet tanim kosztem wyrosnąć na bohatera, muszę się przyznać, że nie kochałem się ani jawnie ani skrycie w tej osobie.

— I to ani wówczas, ani dziś? — zapytał hrabia natarczywie.

— Panie hrabio, roztrząsamy już tak długo moje afekta. Nie chciałbym być niedyskretnym, ale muszę się odwzajemnić temsamem pytaniem.

— Przepraszam pana za niedyskrecyę, jakiej się dopuściłem!

— Nie sprawiła mi ona przykrości. A przecie to rzecz niewątpliwa, że w sprawach miłosnych



niedyskrecya może się równać uderzeniu sztyl-tem.

— Tak, panie.

— Tu nie było nawet zadraśnięcia.

— Jakże się cieszę! Ale w takim razie... W takim razie — dla czegoż pan tu przyjechał? — zapytał hrabia Nastawa prawie niegrzecznie.

— Poprostu chciałem zobaczyć obiekt, za który skrzyżowałem szablę... — odpowiedział Piotr twardej, niż poprzednio.

— Pewnego dnia przyszło panu na myśl, że należałoby zmierzyć istniejące niewątpliwie, a należne panu wrażenie. Pewnego dnia zechciał pan zobaczyć, jak też daleko sięga urok nie tej blizny zewnętrznej, znaku na twarzy, — o to nie ośmieliłbym się nigdy posądzić pana! — lecz urok niewidzialnego pióropusza na niewidzialnej przyłbicy. Wiedział pan teoretycznie, że taki urok jest tam z pewnością, gdzieś daleko, — w tej duszy, — że egzystuje tajemnie, jako tęskny, niespłacony dług, że śni o panu w podlaskiem pustkowiu sekretne, niezniszczalne wspomnienie i gwałtowna, czarująca dziewczęca ciekawość. Przyjechał pan zobaczyć, czy tak jest w istocie.

— Pan to dosyć trafnie określa. Być może, że rzeczywiście tak ze mną było. Może tak, a może i nie, lecz coś w tym rodzaju...

Hrabia milczał. Po dłuższej, bardzo długiej chwili zapytał:

— I cóż?

— Nic.

— Odjeżdża pan syt tryumfu, bogaty w słodycz zwycięstwa serca mocnego nad słabem, zimnego nad gorejącem, czy nie?

— Poprostu odjeżdżam, jak pan widzi.

— To nie jest odpowiedź.

— Panie, wracam taksamo głodny, jakem przyjechał.

— Nie rozumiem.

— Nie pragnąłem być zrozumianym.

— Daruje pan, ale nie chodziło mi w tych niedyskretnych, wyznaje, indagacjach o pana, o pańską indywidualność.

— A wszakże dopytywał się pan o to właśnie.

— Tak jest...

— Więc o kogóż chodziło?

— O pannę Małgorzatę Ościeniównę.

— Pan hrabia, jak spostrzegam, opiekuje się żarliwie i ze znanstwem losem uczuć tej pięknej osoby.

— Tak, panie.

— Czy to ze względów towarzyskich, czy politycznych może?

— W pańskich ironicznych zapytaniach przewija się włókienko prawdy. Nie chciałbym, ażeby ta osoba ulegała podszeptom takiego narwańca, jak ten Wolski, ani urokowi takiego szermierza wybuchowości uczuć, jak szanowny pan.

— To rozumiem. Ale dla czegoż pan hrabia tak mocno się tem interesuje?

— Taki kierunek przybrały moje fantazyje.

— Jesteśmy sami, jesteście mężczyznomi...



— Musi pan poprzestać na tym odwiecie.

— On mi wystarcza. Czy ksiądz Wolski doświadczał moralnej pomocy od panny Małgorzaty w swoich zamysłach i krokach?...

— Moralnej! Chciał pan powiedzieć — absolutnej... Toż dawno siedziałby na dnie więzienia, albo tam, gdzie już kruk nie dolatuje, gdyby nie ona.

— Nie przypuszczałem, że ta panna ma takie wpływy i stosunki.

— To jest rzecz znana mi, wiadoma, dająca utrzymać się w ręku. Teraz przybywa sprawa z panem.

— Jakaż to jest sprawa?

— Och, — sprawa chorowita, naładowana wzniosłymi uczuciami, polska sprawa zeszlowieczna a całowieczna, która odnawia się, jak skryta dziedziczna choroba. Przepraszam pana, że tak mówię.

— Doprawdy, nie wiedziałem, że jestem aż tak ciężko chory.

— Ciężko chorzy najczęściej nie wiedzą o swoim stanie. Nie ośmieliłbym się imputować mych myśli tak ostrych, nie ośmieliłbym się wynurzać mej nienawiści do tego martwego świata, do cierniowych koron, wędrowań w Sybir i do Francyi, „ziemi cudzej“, gdyby nie to, że dusza tamtej osoby mogłaby poślizgnąć się również w ów wybój obrzydły, w tę wyrwę na drodze życia. A mogłoby się to stać, gdyby wpływowi pańskiemu uległa.

— A więc pan sądzi, że gdybym ja zechciał, toby się tak stało?

— Tak przypuszczam, wnosząc z niektórych danych. To też dla tego pragnąłem z panem otwarciem, zupełnie otwarciem pomówić... Tak otwarcie, jak mogą mówić ze sobą dwaj silni mężczyźni.

— Słucham z uwagą.

Po namyśle hrabia Nastawa zaczął:

— Mam znaczne wpływy w Petersburgu. Nawet się pan może nie domyśla, jakie to są wpływy. Mogę tam bardzo wiele. Jestem bogaty. Posiadam również stosunki w paryskim świecie oficjalnym. Jeżeli szanowny pan zechce, poruszę wszystkie sprężyny, ażeby go wysunąć na pierwszorzędną pozycję.

Piotr zachichotał wewnątrz. Przypomniały mu się perspektywy, rysowane niegdyś w Paryżu przez generała Polenowa. Pokiwał głową, mówiąc:

— Doprawdy, panie hrabio, doprawdy...

— Widział pan u Ościeniów na przykładzie, że to nie są przechwałki. Tutaj, gdzie Chrystus, gdyby zstąpił na ziemię, byłby odprowadzony do urzędu, ja przecież powstrzymałem wszystko, ażeby was tam dziś w nocy nie wybrano w zatockim dworze, jak piskląt z gniazda. Powtarzam: użyję wszystkich sił, ażeby pan mógł iść, jak po różach.

— A cóż ja mam za tyle dobrodziejstw złożyć panu hrabiemu w ofierze? Bo coś przecie będę musiał złożyć w ofierze.

— Nic. Żadnej pan nie potrzebujesz dawać ofiary. Dla tego przecie prowadziłem tę rozmowę, żeby się przekonać, czy pan nie jesteś w pannie Ościeniównie zakochany. Powiedział pan, że nie. Więc nie poniesie pan żadnej ofiary. Pójdzie pan



tylko swoją drogą wysoką, utartą i zasłaną różami.

— Zdumiewająco łatwa rola.

— A nie, — jeden warunek...

— Jest jednakże.

— Rzec dla pana bez znaczenia. Pokaże pan panie Małgorzacie Ościeniównie w jakiś sposób oczywisty i nie podpadający zwątpieniu, — co już będzie rzeczą pańskiej subtelności, — że nie jest pan wcale ani Shelleyowskim Laonem, ani Mickiewiczowskim Wallenrodem, lecz samym sobą, to jest uzdolnionym oficerem, szukającym wysokiej karyery w wojsku rosyjskiem, karyery, która się panu ze wszech miar należy...

— Panie hrabio, — będę otwartym, — jakąż mógłbym mieć pewność, że ową wysoką protekcję otrzymam? Bo mógłbym wobec panny Małgorzaty w sposób subtelny odczepić pióropusz z mojego hełmu i sam hełm panu wręczyć w tym celu, ażeby mi weń nasypano czerwonych złotych, a jednak nic nie otrzymać, prócz śmiechu z mej łatwowierności.

— Czuję w głosie pańskim szlachetne oburzenie... — mówił hrabia Nastawa z dokuczliwą drwiną. Przestał mówić, gdyż poczuł, że Rozłucki dotyka go w ciemności dłonią. W trakcie tego oficer znalazł jego ramię, ścisnął je z całej mocy i potrząsnął całą osobą raz i drugi.

— Co to jest?! — krzyknął hrabia.

— To jest moja odpowiedź!

— Jak pan śmiesz?

— Milcz pan!

— Coś pan powiedział?

— Proszę kazać stanąć! Wysiadam!

Nastawa siedział bez ruchu. Namyślał się. Po chwili gwałtownie zastukał w przednią szybę. Lokaj nachylił się i wówczas hrabia krzyknął mu rozkaz:

— W konie!

Kareta pomknęła, jakby niesiona przez wicher. Ruch jej stał się zupełnie inny: schylała się w swym chyżym locie na prawo i na lewo. Słysząc było stukot kopyt czterech koni po twardej szosie. Latarnie zgasły.

— Sądzisz pan, że ponieważ na pańskim wózku jadę, to pańską będę piosenkę śpiewał. Każ pan stanąć! — mruknął Rozłucki.

— Sądzę, że mogę z panem zrobić, co zechcę.

— To się panu tylko tak wydaje.

— Rycerzu!

— Przekonasz się pan zaraz, że z rycerzem spotkałeś się oko w oko, kupcze honoru!

— Mogę pana zaraz tam odwieźć, skąd już nie wyrzysz na świat boży.

— Każ pan tam jechać!

— Nie, nie każę. Puszczę pana wolno. Ale wiedz, mój romantyczny artylerzysto, żeś zaczepił Nastawę. Kto mnie zaczepi, musi zginąć, jak mdły motyl w powrozach potężnego pająka.

— Otóż ja pana, mój potężny pająku, nie tylko zaczepiam, ale wyzywam! Nie jestem motylem!



— A dla czego mię pan wyzywasz? Czego odemnie chcesz?

— Nie podobasz mi się pan.

— To wybierz pan, jaki ci się podoba, rodzaj walki. Przyjmę każdy.

— Skądże taka pohopność do wyboru każdego rodzaju walki?

— Ażebyś raz zeszedł mi z oczu i drogi.

— Widzę pana pierwszy raz, lecz chcę, żeby był ostatnim.

Trudno było rozmawiać wskutek szybkiego pędu karety, więc się Nastawa schylił w ciemności i przybliżył twarz do twarzy Rozłuckiego. Mówił w uniesieniu:

— Usuń się pan z jej oczu, usuń się sam!

— Dla czego?

— Bo ja ją kocham do szaleństwa, a panu ona jest obojętna. Ja ją kocham śmiertelnie, jak jeszcze żaden człowiek kobiety nie kochał...

— I cóż?

— Jeśli pana w pojedynku zabiję, tem gorzej dla mnie.

— Dla czegoż to?

— Bo w każdej rozmowie, w każdym jej uczuciu, we wszystkich jej wyobrażeniach, w każdej myśli i w każdym marzeniu nabijam się, jak na włócznię, skierowaną przeciwko mojej duszy, — na pana! Słuchaj pan...

— Słuchaj pan! Jeżeli tak jest w istocie, to tem gorzej dla pańskiej miłości.

— Cóż tedy?

— Jeżeli to prawda, to ją poprowadzę za sobą tam, gdzie zechcę, choćby na szafot...

— Na szafot... — śmiał się Nastawa.

— W każdym razie nie dam jej panu.

— Przecie jej pan nie kochasz!

— Nie.

— Więc za cóż się na mnie mścisz?

— Ja wiem, za co się mszczę i to nie na panu.

— Nigdy jeszcze nikogo w mem życiu nie prosiłem w taki sposób. Pana proszę. Błagam pana! Daj mi jej duszę! Daj mi jej duszę! Możesz to pan uczynić bez żalu, bez straty, bez jednej chwili smutku... Będę pańskim sługą przez całe życie, będę zawsze na pańskie rozkazy! Upadam panu teraz do nóg...

Rozłucki wtulił się w kąt karety. W tym głosie, który z drugiego jej kąta dochodził, usłyszał krzyk swój własny, jakby swoje własne wycie w nocy, gdy Tatjana była z Roszowem. Chciał jeszcze coś takiego znaleźć, jakiś argument równie napuszony i deklamatorski, jak wszystkie poprzednie, jakiś wyraz równie nieprawdziwy i głupio hardy, jak poprzednie wyrazy, wydobyć ze siebie coś najgorszego i najbardziej mściwego, niby miecz z pochwy, i ciąć w tamtą męczarnię, żeby się jeszcze wyżej wyprężyła i jeszcze bardziej drgała. Lecz hrabia Nastawa zamilkł. Zdawało się, że go tam już wcale niema. Piotr czuł odrazę zarazem do niego i do siebie. Szczególniej do siebie. Przypomniawszy sobie, że nie ma, kogoby kochać na ziemi. Hrabia Nastawa z jego męczarnią zdał mu się być



bogaczem. Głupią wydała się cała ta rozmowa, pełna przechwałek i drwin. Było duszno i mdło.

Jakieś światełka migwały raz wraz za szybami z jednej i drugiej strony. Koła dudniły po bruku. Piotr nachylił się i patrzył w szybę. Było to już miasto. Hrabia zastukał i pojazd stanął. Lokaj otworzył drzwiczki, pytając o rozkazy. Rozłucki wysiadł. Uchylił kapelusza i posłał ukłon w ciemną głąb karety. Lokajowi wcisnął w rękę kilka rubli i ruszył w kierunku dworca kolei.

---

#### IV.

Z Podlasia pojechał wprost do stryja Michała. Plan tej wizyty powzięty został tak nagle, w nocy, na dworcu kolejowym, że nie było czasu na za-  
wiadomienie listowne, a telegramy budzą jeszcze  
w tamtych stronach panikę, gdyż otrzymuje się je  
tylko w razie śmierci kogoś z najbliższej rodziny.  
Przyjazd tedy nastąpił zgoła niespodziewanie i póź-  
nym wieczorem, a zaskoczył gospodarza już wpra-  
wdzie w łóżku, ale szczerze uradowanego z tej in-  
wazyi. Stryjaszek porwał się z łoża z młodzieńczym  
zapałem i zakrzętnął około kolacyi. Narobił tedy  
straszego na cały dwór hałasu, zbudził wszyst-  
kich, kto tylko spał pod dachem, zapędził do za-  
rzynania ptactwa i gotowania wieczerzy. Po zje-  
dzeniu wszystkiego, co tylko wniesiono, obadwaj  
długo w noc gawędzili w pokoju sypialnym stryja.  
Stał tam na stoliku pod oknem przypadkowo zo-  
stawiony kosz gruszek „winiówek“. Gawędząc tak  
de omni re scibili to ten, to ów z rozmów-  
ców sięgał ręką w ów kosz i wyciągał na chybił-  
trafił jakiś okaz. Tak to, w najniewinniejszy spo-  
sób, rozmawiając o rzeczach godnych zastanowie-  
nia, ujrzeli jednak po pewnym czasie tak znaczne



obniżenie się poziomu zawartości kosza, że i dno przeglądając poczęło. Zasnęli wśród przyjaznej rozmowy w ciszy i spokoju starego domu. Gdy się Piotr nazajutrz obudził, było późno. Kawa, otoczona różnemi rodzajami chleba, stała oddawna w pierwszym pokoju, oblegana natarczywie przez muchy, zaciekle od przeczuciu jesieni. Zjadając godne ilości chleba z masłem i popijając śmietankę z kawą, oficer artylerji rozglądał się po pokojach. Spostrzegł, że u stryjaska jakiś się przepych zagnieżdżył: były nowe obrusy z cyframi haftem znaczonemi, poszewki, prześcieradła, ręczniki, a nawet, co już przekraczało granice wiarogodności, serwetki, uroczyste porozkładane przy nowych talerzach.

— Kama, — myślał Piotr, — sprawiła stryjaskowi wyprawę, wybierając się za mąż za swego mecenasa.

Wyszedłszy zaraz po śniadaniu w pole, gdzie stryj dozorował orki jesiennej we trzy pary koni, wyjawiał tę myśl o nadmiarze ręczników. Stryja ta uwaga trochę zawstydziła i napełniła melancholią. Począł wymawiać to Kamie:

— Nawiozło mi tu dziecko tych jakichś web i płócien, nakładło tego pełne szuflady. Tu serwety takie, tam owakie... Nigdy ja się w rodzaje tych serwet nie zapuszczałem i nie mam takiej pasyi. Będzie miała tylko stara Jagna co wykradać zcicha a kolejką. Ona to zrobi systematycznie, bo gdzież to ludzkie oko może upilnować takiej rzeczy.

— Ech, pesymizm! — zawołał Piotr.

— Serwetki... — zakonkludował stryj, ze zdumieniem a nawet z pewną pasyą rozkładając ręce.

Szklily mu się oczy z rozczulenia, gdy opowiadał, jak to byli latem w Cierniach wszyscy troje — Kama, Wiktor i Darzewski — „pan Darzewski“. Wymawiając to nazwisko, stryj Michał prostował się, przeistaczał, poważniał i zagłębiał w sobie. Mówił o swym przyszłym zięciu nie tylko z szacunkiem, namaszczeniem, lecz i z jakąś trwogą. Gdy rozmowa odbiegła od Darzewskiego, jako tematu, znowu doń wracał. Piotr odczuwał, o co chodzi, to też mówił o narzeczonym Kamy niewiele, ale ze szczerą życzliwością i sympatją. Stryjowi to nie wystarczało. Zamyślał się głęboko o tym przedmiocie i, milcząc, brnął wzdłuż niwy, szlakiem skiby świeżo wyoranej. Wreszcie zagadnął Piotra bez osłonek:

— Powiedzże mi, bracie, podoba ci się ten człowiek?

— Cóż za człowiek? Znowu Darzewski?

— No, właśnie.

— E, stryjasku! Cieszymy się na spółkę, że tacy ludzie są w tym kraju, że tacy powyrastali wśród biedy i zgryzot... O czem tu rozprawiać!

— Szczerze tak mówisz, czy tylko chcesz mię ucieszyć?

— Szczerze mówię. Czyżbym nie mówił prawdy, gdy idzie o kochaną Kamę?

— O Kamę, widzisz, o Kamę. Toś mądrze powiedział...

— Młody a dojrzały człowiek, głęboka a spokojna natura.

— Spokojna, roztropna, jasna...

— Nie jest na służbie obcego państwa, jak ja,



ani nie jest na uboczu od łożyska życia, jak — proszę o przebaczenie! — stryjasek, lecz wchodzi do wnętrza tego obcego pieca i jak znawca, umiejący działać, z ognia, gołemi rękoma wydobywa niejeden skarb, któryby ogień bezzłośny strawił...

Stryj Michał zamilkł i jakoś dziwnie wtulił głowę w ramiona. Błademi oczyma patrzył w znajomy swój przestwór, jakby na twarz przyjaciela, u którego się szuka rady.

— Byli tu, — mówił. — Tak było dobrze i tak wesoło. Jeszcze tu nigdy tak nie było, jak Ciernie Cierniami. Wiktor mi narozpowiadał o tej ich adwokaturze... Och, Boże, Boże!...

— Co, stryjasku?

— Jedno mię martwi.

— No?

— Jakże ich tam pewnego pięknego poranku...

— Od tego oni mają swe adwokackie głowy na karkach. Niechże też stryj śpi spokojnie!

— Powtóre...

— I powtóre nawet...

— Niby drobiazg... Nie mogłem dać Kamie nie tylko posagu, ale nawet wyprawy.

Piotr parsknął śmiechem.

— Czego się śmiejesz?

— A bo też stryj z tą swoją wyprawą! Któż to dziś w świecie tych emancypantów i emancypantek myśli o jakiejś „wyprawie“? To było dobre za czasów Klementyny z Tańskich Hofmanowej. To są dawne, ultra konserwatywne facecye.

— Dobrze — dobrze... Facecye! Ale i ja wiem

swoje. Na świecie jest tak: młodość, miłość, szczęście. Wszystko wtedy dobre, wszystko się wszystkiemu raduje, a samo nawet nie wie czemu. Dobry wtedy sosnowy stół i złamany stołek. Ale miłość męska stygnie i szuka tegosamego szczęścia gdzieindziej, a na łonie kobiecym zostaje dziecko. To się nigdy nie odmienia. Nadchodzą okrutne bóleści ciała i duszy, skądś wynikają, a na nic są nikomu... Wtedy się okazuje, że owa „wyprawa“ konieczna była, konieczna, mój miły. Miłość — to tak dobrze i tak pięknie! Ale kobieta musi mieć w schowaniu płótno. Do przewinięcia dziecka — i ran — trza płótna. To darmo, mój miły.

Zmętniały znowu siwe oczy starszego pana. Piotr gwizdał pewną paryską piosenkę. Uśmiechał się do czarnej, rozoranej ziemi, myśląc w głębi swej duszy, że i rany, najgłębsze rany, szczęściem by jeszcze były, — gdyby istniały na tym świecie... Podniósł głowę i perorował:

— Och, zaraz takie akuszeryjne myśli! Nie należy, proszę stryjaszka, myślami zabiegać zbyt daleko, bo się człowiek niepotrzebnie fatyguje. Nie można potem zażyć radości w należyтым spokoju. Przebiega się niepotrzebnie cały dystans po to tylko, żeby zobaczyć, że on ma swoje granice. Po co to? Lepiej nie wiedzieć, co tam jest na granicy. Wszelkie granice psują wesele...

— No — no, tyś także „wesoły“!... Ja cię nie znam... — mruknął stryj.

Dzień był cudnie cichy, jesienny. Rzeźwy powiew szedł z nizin. Srebrnie siwa, rzadka, sucha



mgieleczka stała w polach i precz — precz, niby tem płótnem, o którym mówił gospodarz, przewinęła okolicę. Lasy spoczywały w mglistem zanieśieniu, ugory i nieużytki, pola i łąki zasnuły były chłodnym, niebieskawym tumanem. Daleko w wiosce gęgały gęsi, lecz sama wioska ledwie — ledwie była widzialna. Jakaś stantąd wychyliła się strzelista brzoza i czub jej tkwił ponad mgłą. Odległe w polach gruszki graniczne zdały się być jeno osadem zgęstniałego oparu. Trzej parobcy żywo orali. Jeden z nich wciąż wygwizdywał na całą dziedzinę jakieś wyrwasy tak ogniste i skoczne, że się zdały w obłąkanem upojeniu tańcować do upadłego po skibach i zagonach. Drugi głośno i ordynarnie swarzył się i procesował ze swemi końmi, wymyślając im od ostatnich. Trzeci milczał zapamiętale, jakby dla umyślnego kontrastu i na złość tamtym. Konie szły obojętnie i sprawnie w żelaznych pługach. Czarne skiby odwracały się należycie, lśniąc od ziemnej wilgoci. Szeregi wron defilowały tuż za pługami, wydziobując pędraki z takim spokojem i bezpieczeństwem, jakby były najemnikami dzierżawcy z Cierniów, zakontraktowanymi do tej czynności według wszelkich zasad umowy obustronnej. Dwaj panowie kroczyli za pługami i wronami, gawędząc szczerze i życzliwie. Piotr przeciągał się i wciąż z uwagą przypatrywał wszystkiemu. Tak to wszystko było na miejscu, tak w całości dobre i potrzebne! Ta ziemia czarna, porznięta smugami, zdawała się żyć i odczuwać... Jakże było piękne i do siebie samego należne

wzgórze z brzezina, na której zółkło listowie, — cichy parów — i senna, marzenia budząca odległość! Począł się stryj pytać o gospodarskie rzeczy, o tysiące niepostrzeżonych tajemnic uprawy roli, o sekrety życia wiejskiego. Okazało się z tej rozmowy, że mnóstwa rzeczy nie rozumie, nie wie, nie słyszał, nie przeczuwał, że w wielu sprawach gospodarskich jest poprostu śmieszny ignorant. Często stryj powstrzymywał wybuch wesołości i przybierał na twarz wyraz uprzejmej powagi, ażeby swemu gościowi nie okazać, jak niewiarogodne niedorzeczności z dobrą wiarą wypowiada. Gdy parobcy poczuli zjeżdżać z pola, — „panowie“ wrócili na obiad do domu. Po południu wyszli z fuzyami, właściwie tylko dla parady, bo nie myśleli polować. Wieczorem wcześniej spać poszli. Nazajutrz było tosamo. Następnego dnia znowu mniej więcej — tosamo. Zdawało się Piotrowi, że jest to jednak wieczno-trwałe próżnowanie, gdyż sam nic w tem wszystkiem nie wykonywał, lecz spostrzegł wkrótce swą pomyłkę. Stryj Michał wciąż był czemś zajęty. W ciągu trwania tych monottonnych dni odbywała się systematyczna praca pod jego kierunkiem. Stryj nie siedział wciąż w stodole, przy młocce i wianiu zboża, ale tam raz wraz zaglądał. Szedł niby to w pole na spacer, lecz zarazem według jego wskazówek składano nawóz, orano i bronowano. Były jednak i dni istotnie bezczynne, senne. Pewnego razu mżył drobny deszczyk jesienny. Chodzili podczas tego deszczu po ugorach i zaroślach, wreszcie po lesie. Gdy ostrzej-



sza nadciągnęła „planeta“ deszczowa, schronili się w kępie wielkich olch nad rzeczką. Zachyleni pod gałęziami czekali, aż nacichnie. Stali tak, nie rozmawiając. W trakcie tego ich wypoczynku nadleciał skądś zmoknięty dudek i nieopatrznie zasiadł tuż przed nimi na gałęzi. Położył po sobie pióra, wtulił głowinę między skrzydła i grzał się własnym ciepłem życia, radosnym i zdrowym, zupełnie zresztą, jak dwaj panowie ze dworu w Cierniach, ukryci pod drzewami. Przypatrywali się wszystkim jego praktykom uważnie i z pobłażaniem. Ptaszysko drzemało, trzymając się pręta szponami. Deszcz po niem ściekał, jak po korze drzewnej. Aliści jakiś szmer je przebudził... Podniosło śmieszoną głowę i najeżyło czub. Zrobiło to wrażenie, że dudkowi włosy z przerażenia stanęły sztorcem na głowie, gdy ujrzał tuż, tuż, niemal obok siebie dwie figury potwornej wielkości i oczy tych poczwara w siebie wlepione. Porwał się, zatrzepotał skrzydłami i, bijąc niemi o pręty, gałęzie i pnie, rzucił się do sromotnej ucieczki w panicznym przerażeniu. Widzowie parsknęli śmiechem jak w najweselszym teatrze.

Wieczorem, a raczej po nastaniu zmroku zjawiali się we dworze goście. Byli to chłopci z wiosek sąsiednich. Goście ci siedzieli naprzód w kuchni. Kucharka Jagna dawała gospodarzowi znać o ich obecności. Z początku stryj Michał zdawał się nie zwracać uwagi na to anonsowanie, — wstydił się poprostu, że kucharka mówi o obecności chłopów. Za pierwszym razem wszystko skończyło

się nawet na anonsowaniu. Następnego jednak wieczora stryj Michał z pewnem wahaniem i znowu jakby ze wstydem zapytał Piotra, czyby nie miał nic przeciwko temu, ażeby weszli do pokoju chłopi, którzy siedzą w kuchni. Dodał przytem mruklawie, że ludzie ci przychodzą „na gazetkę“. Piotr, oczywiście, zgodził się bez żadnego protestu. Weszli wkrótce dwaj starsi już wiekiem rolnicy. Jeden z nich był wysoki, łysy, z sępiemi oczyma, długą, wygoloną twarzą i krótko przystrzyżonym wąsem, drugi niższy, o pospolitych rysach oblicza. Wysoki miał powierzchowność i zachowanie się jakiegoś senatora, czy wodza, oczy nieufne i przebiegłe, a nadewszystko stały w sobie i nieposzlakowany spokój. Przypatrywał się Piotrowi z zastanowieniem i badawczością, jakby go indagował oczami. Każdy szczegół jego ubrania, każde słowo i poruszenie brał wprost na spytki. Obadwaj zasiedli skromnie przy drzwiach i mówili ze starszym panem o rzeczach miejscowych. Kiedy ugwarzali o pogodzie, robotach w polu, o deszczu i wietrze, Piotr pojmował, iż to nie jest czcza gawęda „o pogodzie“, lecz rozmowa o treści najbardziej zasadniczej. Było mu nieprzyjemnie, że i on nie może być ziemiańskim człowiekiem, dla którego te właśnie sprawy, tamtejsze, okoliczne miałyby treść tak doniosłą, jak dla nich. Gdy się odezwał, ci ludzie przysłuchiwali się z życzliwością, ale traktowali wszystko, co wygłosił, w sposób pobłażliwy, prawie poklepujący po ramieniu.

Jakże mu się też podobali ci zdrowi i potężni



udzie! Łysy wieśniak nie mógł określić swego wieku, nie wiedział dokładnie, ile ma lat, ale zaznaczał, że musi być znacznie po siedmiu dziesiątkach. Zestawiał te dziesiątki z różnemi tamtejszemi wypadkami i według tych słupów żelaznych, które zewnętrżność wbiła w pamięć, oryentował się w rozległości swego życia. Z ognistych jego oczu tryskała pewność przetrwania jeszcze drugiego takiego okresu. Ten wysoki starzec, który zresztą nie miał jednego włosa siwego, a twarz jak u mężczyzny lat trzydziestu, był analfabetą. Jego towarzysz umiał dobrze czytać i pisać. Obadwaj lubili „wiedzieć o świecie“. Rozpytywali niby to stryja Michała, a właściwie Piotra, o ów „świat“. W tem słowie mieściło się wszystko: wojna i pokój, rzeczy dalekie i władza, owa siła, co nakłada podatki, bierze rekruta, goni go „na Kapkaz“, albo „w głęboką Rosiją“, narzuca na ludzi wójta, pisarza i strażników. Piotr nie wywnętrzał się przed tymi chłopami. Mówił półgębkiem i tylko to, co można było powiedzieć. Oni słuchali go uważnie, a raczej ciekawie, lecz nieufnie i jakby z półwiarą w to, co im mówił. W trakcie rozmowy stryj Michał zrobił uwagę, że ojciec Piotra zginął w powstaniu, — i o miejscu, gdzie leży. Nie zrobiło to na słuchaczach wielkiego wrażenia. Zawiązała się pogawędka o powstaniu treści anegdotycznej. Piotr widział, że kwestya powstania nie ma w tych ludziach ani entuzjastów, ani krytyków. Mówili o powstańcach taksamo, jak o „wojsku“, z jednaką ciekawością i rezerwą. Wysoki pamiętał powstanie,

jakby było przed tygodniem. Pokazywał kierunek marszów, opisywał miejsca, zarośla, krzaki, gdzie była „bitka“. Mówił o trupach, jak o zabitej zwierzynie. Śmiał się od niechcienia z powstańców, z ich biedy, z głodu i owych wszy, co ta wtedy za wszystkie czasy nagryzły szlachtę. „Wszom się widziało, że gryzą chłopstwo, — taki to był i rok“... Stryj Michał zrobił na złość temu staremu, rzucając uwagę, że i on przecie był „w bandzie“. Chłop błysnął na Piotra nieufnemi oczami i podejrzliwie go znowu badał, — a wreszcie wyparł się w żywe oczy powstania, bandy i uczestnictwa w bitwach, twierdząc z oczywistą wykrętnością, że to jeden sąsiad, Michta Walenty, co już pomarł z dziesięć lat temu, nosił za panami ładunki, a później ludzie na niego przerwali podejrzenie. „Jak to ludzie“, — dodawał, — „zawsze szelmy“... Po namyśle, zza ironicznego, mądrego uśmiechu odezwał się jeszcze:

— I co tam o takich rzeczach mówić... Dawne czasy.

Dla odsunięcia niemiłego tematu poprosił, czy też „gazetki“ niema. Okazało się, że jest właśnie nowa. „Gazetka“ była miejscowa, organ gubernialny, który stryj Michał prenumerował, — nudna i jałowa piła papierowa, wystrzygana nożycami ze stołecznych pił papierowych.

Wykręceno lepiej płomień lampy, przysiadł się do światła ów młodszy chłopowina i, rozwiniawszy płachetkę, wyczytał wszystko gdakającym głosem od tytułu, aż do podpisu redaktora, — o Salisburym i cesarzu Wilhelmie, o tajemnicach i konjun-



kturach politycznych, rozjaśnionych albo przewidzianych w mieście gubernialnem przez tamecznego polityka. Co pewien czas goście zadawali stryjowi Michałowi pytania, żądając wyjaśnienia rzeczy bardziej zawikłanych. Stryj wyjaśniał ze swem zażenowaniem. Piotr kilkakrotnie chciał uzupełnić te wyjaśnienia, spostrzegłszy, że komentarze stryjszka nie zupełnie ściśle odtwarzają istotę rzeczy. Ale dał pokój. Było i tak w miarę dobrze. Z roztrząsań subtelności i matactw polityki zagranicznej Salisburego, które się w dyskusyi wyłaniały, Piotr spostrzegł, że wszystkie wyobrażenia pozagospodarskie i pozamiejscowe goście wioskowi mają zupełnie takiesame, jak stryj Michał, aż do stopnia zupełnej tożsamości. Mówili tesame zdania i temisamemi zwrotami. Śmieszyły ich zjawiska i myśli, które jego śmieszyły, a podobało im się to tylko, co on lubił. Wkrótce te dyskusye z zakresu wyższej polityki wyczerpały wszystkich. Znać było, że sen kładzie dłonie na powiekach gości. Pożegnali się i wyszli. Te wizyty powtarzały się codziennie. Przychodzili cisami i inni, po dwu, po trzech i w liczniejszej grupie, z najbliższej wioski i z odleglejszych przysiołków. Skręcali w palcach papierosy, dużo po sobie zostawiali dymu i chłopskiego zapachu, czytali gazetkę, gwarzyli o świecie i znikali w zmroku. Stryja Michała zawstydzwały zawsze te chłopskie wizyty. Tłomaczył się przed Piotrem, że się chłopstwo do niego znęciło, a teraz już przez samą grzeczność i przyzwoitość, której dwór bądź

co bądź przestrzegać musi, nie podobna im zabronić wstępu.

— Nie myśl tylko czasem, że jestem jaki chłopoman, jaki agitator, albo działacz na urząd. Ja tam po chałupach, jak Wiktor, nie biegałem, nawet im rewizyt nie oddaję i to z zasady, żeby sobie znowu do głowy nie przybierali, że zabiegam o ich względy. Chcesz przychodzić na gazetę, no to przychodź. Nawet ten fetór chamski cierpliwie znoszę. Nie chcesz przychodzić, Bartku z Wickiem, no to nie przychodź. Nikogo nie zapraszam...

Zdawało się, że pogardza tym motłochem. W gruncie rzeczy lubił towarzystwo chłopów. Nie trudno było spostrzedz, że jednych przekładał nad innych, że z niektórymi obchodził się dosyć pogardliwie i nawet z pańska, a innych tak wenerował i otaczał niepostrzeżonym szacunkiem, jakby należeli do najwykwintniejszego towarzystwa. Stosowało się to szczególnie do dwu wieśniaków starych i mądrych, którzy pewnego wieczora przyszli. Stryj rozmawiał z nimi jakoś zupełnie inaczej, niż z ich sąsiadami. Słuchał cierpliwie tego, co mówili, tolerował nawet ich przesadne, z ciemnych guseł wyrosłe poglądy, — jeśli zaprzeczał ich twierdzeniom, to oględnie i ze szczególną grzecnością, która się nie chce wynosić ponad współbrata i opiera na wysokiem wszystkiego zrozumieniu. Młody oficer doznał tego wieczora zabawnego wrażenia, że nigdy nie był w grzeczniejszym i subtelniej dobranem towarzystwie, nigdy nie widział to-



warzyskiej tolerancyi i uprzejmości doskonalej zachowanej.

Najlichniesze wszakże zebrania we dworze odbywały się w niedzielę. Schodziły się zaraz od samego rana wszystkie okoliczne wioski w osobach ich męskich przedstawicieli — i zalegały podwórze. Stryj wyczytywał zgromadzonym listę podatkową, albo różne okólniki i rozporządzenia gminne. Nie było to wcale jego obowiązkiem. Spełniał to z przyjaźni i uczynności. Takie tam panowało od lat, a może od dziesiątków lat, niepisane prawo, które się stało obyczajem. Sołtys był na pół piśmienny, a w „ruskiem“ się nie orientował. Tymczasem wszelkie wykazy odbierał wystosowane po rosyjsku. Stary pan Rozłucki z Cierniów tłumaczył to wszystko na polskie, a w wykazach podatków ruble na złote, a nawet na jakieś „czeskie“. Piotr z okna przyglądał się tym scenom z niemalą ciekawością. Stryj Michał, nałożywszy okulary, podniesionym głosem wyczytywał z okólnika, nadesłanego z urzędu gminnego, nazwiska i kwoty należności. Gdy wymienił jakieś nazwisko i dobitnie odstawił ilość złotych, albo „siedm, ośm, dziesięć czeskich“, przerywał i z nad okularów szukał w tłumie pacyenta, a znalazłszy go oczami, powtarzał jeszcze kilkakroć wysokość podatku.

„Wyczytywanie“ trwało zazwyczaj aż do „sumy“. Wówczas zaprzęgano konie, następowało uroczyste golenie się, ubieranie w godowe szaty, tesame zresztą od szeregu lat, i paradny wyjazd odświętną bryczką do parafialnego kościoła. Przed kościołem

stryj Michał zatrzymywał się wśród chłopów i rozmawiał przez pewien czas z tym i owym. Nie były to rozmowy poufale, ani ze strony wieśniaków uniżone. Miało to raczej charakter obrzędowy, tak samo, jak zasiadanie podczas sumy w osobnej ławce. W rozmówkach przedkościelnych panowała hieratyczność tematów i form, ale także obrzędowa niemal uprzejmość. Było to obcowanie ziemiańskie, przechowywanie zwyczaju na nic nie skwapliwego, jakby objawy przyrody obojętnej, a stale wykonywanej swoje. Chłopi „rozmawiali się“ z panem z Cierniów, bo taki był z dawien dawna przedkościelny obyczaj. Czasami któryś o co zapytał, czasami zakomunikowano jakąś miejscową wiadomość. Na Piotra wszyscy patrzyli z niesłychaną ciekawością. On nie kwapił się do ławki przed głównym ołtarzem, w której zasiadał stryj Michał i dziadgenerał. Ażeby nie spotykać się z dziadem, zostawał na kościele, a nawet w kruchcie. Lubił tu stać wśród tłumu prostaków, wśród szorstkich sukman. Strasznie lubił słuchać modlitewnego szeptu, patrzeć na twarze zdrowe, mocne, zawiędłe, zawzięte suche. Ani jednego nie było człowieka otyłego. Wszystko to było wysmukłe, jędrne, muskularne, ludzie, których zboże żywi, praca ciężka na ziemi hoduje... Nadewszystko jednak czekał na chwilę, gdy po podniesieniu zaczynali całym kościołem śpiewać swoją pieśń — „Święty Boże, Święty Mocny, Święty a Nieśmiertelny“... Ksiądz w połyskliwym ornacie stał przed ołtarzem nieruchomy, jakby w owej chwili ustawała jego władza i siła, a ka-



planem czynił się ten ogromny, jednolity ludzki zespól. To oni sami wówczas rozmawiali się ze swoim „Mocnym Bogiem“. Pieśń uderzała w sklepienie kościelne, zdawała się wywahać zamknięte drzwi i wyłamywać okna. Nieuczony, potężny, jednolity głos tłumu podrywał się z ziemi, jak ptak, rozpościerał skrzydła i szybował ku niebu. W tych, co śpiewali, i w tych, co słuchali, jednakowo serce drżało. Pieśń wypominała klęski, które spadają na plemię ludzkie, na sioła przyziemne: — powietrze — głód, — ogień, — wojnę... Ciemne, straszliwe, nieme dzieje chłopstwa, znaczone stygmatami „powietrza“, — poryte legiendarnymi klechdami o męczarniach „głodu“, rozświetlone nocną żagwią „ognia“ — i pamiętające dziki, przeraźliwy tętent „wojny“ — wzywały o pomoc do Tego, co żywych może „zachować“. Była w tej pieśni, wyrzuconej z piersi zdrowych i potężnych, niewysłowiona moc i dzika żywotność. Tragizm tej prawdy, że pieśń tę śpiewają chłopci polscy, opuszczeni i samym sobie zostawieni, którzy Polskę w siołach swych zataili, dodawał hymnowi nowego pierwiastku potęgi. Stojąc tak w tłumie i słuchając, Piotr uczył pewnego razu dla tego siermiężnego narodu wszystkomogącą miłość.

Zaraz po nabożeństwie wracali do Cierniów, ażeby nie spotykać się z dziadem. Bryczka toczyła się bocznymi drogami, kolejami, wyżłobionymi przez nieliczne wozy. Na prawo i na lewo ciche się słały role. Jedne, ku wzgórkom zwrócone, schły w ciepłe jesiennem, inne, nizinami idące, były ciemno-

szare. Na przewiędłych ścierniskach siedziały zadumane wrony. Grusza polna, samotna w przestworze, miała w sobie jakąś powagę i jakby władzę nad temi rolami. W dali były wzgórza zorane, blisko opustoszałe zarośla. We mgle, kędyś daleko, wiatrak leniwie obracał swe skrzydła. Piotr wpatrywał się w ten pejzaż tak niebogaty, i myślał o nim poswojemu, w sposób, który się na mowę przełożyć nie da. On go przerabiał, przekształcał, orał, zabudowywał, przekopywał i zasiewał. Lecz i taki, jak był, z sennym wiatrakiem w dali, z samotną gruszą w polu, widok ten stawał się własnością duszy. Słowo jakieś nielogiczne, moskiewsko-polskie, jak jesienna pajęczyna w przestrzeni, snuło się poprzez duszę...

Stryj Michał miał dziwne przyzwyczajenie: palił fajkę na krótkim cybuchu, ale tylko w drodze. W domu — nigdy. W drodze również lubił prowadzić dyskusje polityczne. Można było sądzić, że owa fajka wprowadza go na tory polityki. Poglądy stryjaska były dziwną mieszaniną, do której trudno się było przyzwyczaić. Na wiele zjawisk tego świata zapatrywał się w sposób tak radykalny, że to aż zastanawiało. Nie były zresztą te, możnaby powiedzieć, zapatrywania jego osobistemi wywodami, lecz jakgdyby wiecowemi uchwałami, myślą wyrosłą z tamecznych gromad człowieczych. Tyczyło się to przedewszystkiem spraw gospodarstwa małorolnego. Stryj Michał znał, oczywiście, te rzeczy i wiedział, co mówi. Piotr nie mógł nigdy z nim dysputować, bo teoretyczne stawianie



rzeczy, socyologiczne tezy, stryj zbijał jakiemś przykładami z życia Bartka, albo Józwy, cytował pewne zdarzenia z wioskowego życia, absolutnie decydujące, jakoby, o wartości teorii, za niemi, albo przeciw. Nigdy nie można było przewidzieć, czy stryj stanie po stronie jakiejś książkowej zasady, czy ją będzie ośmieszał, i to nie z kaprysu, lecz na mocy swoich życiowych, chłopskich sprawdzianów. Artylerzysta czynił nawet pewne próby. Wyciągał jakąś teorię, najbardziej, najniemożliwiej skrajną i poczynał stryjaszka indagować. Ze zdumieniem spostrzegał, że szlachcic słucha uważnie, namyśla się, bąka, kręci głową, a wreszcie przechodzi na tę niemożliwą, skandaliczną stronę. Tak było wielokrotnie. Początkowo Piotr przypuszczał, że to jest może wpływ dzieci, wesołego Wiktora i sensata Darzewskiego, lecz wkrótce zauważył, że stryj nikogo z tamtej paczki nie traktuje na seryo, że drwi z ich wszelkich socyologicznych pewników, a ma w tych sprawach własne swoje widzenie rzeczy, stokroć radykalniejsze, niż tamci z Warszawy. Teorie stryjaszka nie miały nazw, które na świecie oddawna nosiły. Były one, jak owe niezdarne wyroby prowincjonalnych geniuszów, które już dawno na wielkim świecie stały się pospolitemi szablonami.

Z drugiej strony — istniały dziedziny, w których stary pan z Cierniów był zdecydowanym konserwatystą, a raczej zwolennikiem obyczaju i tradycyi. Tyczyło się to szczególnie stosunków kościelnych, obrzędów, świąt, ceremonii. Przestrzegał

tęgo wszystkiego ze zdecydowanym uporem. Gdy mu Piotr wyrzucał niekonsekwencyę, kiwał głową i zgadzał się, że to w istocie jest niekonsekwencya. W najtrudniejszych wypadkach wykręcał się zastrzeżeniem, że jest sobie prostym, nieuczonym człowiekiem, — skądże tedy ma obowiązek przestrzegania konsekwencyi.

— Tu, — mówił, — cmentarz widać ze wszystkich punktów, gdzie tylko człowiek stanie w polu. Kościół to samo, sterczy nad chałupami. Jakże tam nie bywać, kiedy to jest dom pospólny, nie mój ani twój, tylko dom boży i ludowy? To jest dom ludowy, odświętny, gdzie się ludzie spotykają, witają, potem modlą, potem pokazują sobie nawzajem piękno swych, — żał się Boże! — strojów, — gdzie śpiewają Bogu o swem życiu zgrzebnem i parcianem. Cóż ty im dasz na to miejsce? Jużci jest drugi budynek widniejszy, murowany. — To karczma...

Gdy zaś Piotr poczynał mówić właśnie o domach ludowych, o szkołach i muzeach, o teatrach i odczytach, — wtulał głowę w ramiona i mówił, że to tam, dopiero jak będzie Polska...

— A ja, braciszku, jestem tutejszy rolnik, a będę leżał, ot — tam...

Wskazywał ręką na cmentarz, osłoniiony wielkimi drzewami, widzialny we mgle jesiennej.

— Chodzi o to, — dodawał, — żeby nie zepsuć nic w tem, co stoi w duszy chłopskiej, co stanowi w niej moc i siłę trwania aż do tego świętego czasu, który nadejdzie. Kto może coś do-



dać, dodaj! Lecz jeśli nic równie mocnego postawić nie możesz, nie burz nic ze starych spoidel, bo tu niema czem żyć, tu tak jest źle, jak nigdzie na ziemi...

Cóż było z nim począć? Zaczynali mówić o rzeczach weselszych, o podorywkach, nad którymi unosiły się stada szpaków, o słońcu, co tak cudnie przygrzewało...

---

## V.

Urlop skończył się i Piotr powrócił do siebie. Fort, gdzie od lat dwu stale mieszkał, należał do systematu twierdz, objętych nazwą ogólną — Zasięk, — lecz stanowił samodzielną jednostkę. Był daleko, najdalej ze wszystkich robót wysunięty w pola. Sama forteca mieściła się w widłach rzecznych Wisły i jednego ze znaczniejszych jej dopływów. O parę wiorst od niej, nad owym właśnie dopływem, w miejscu suchem i cokolwiek wzniesionem ponad błota, które zalegały całe widły rzeczne, leżał posepny okop, z kształtu podobny do księżego nakrycia głowy. Nosił nazwę „Orzeł Czarny“. Była to robota dawna, zbudowana z dużym nakładem pieniędzy i mocno już podstarzała, lecz potężna bądź co bądź w swej wielkości i pozycji. Zielone jej skarpy ziemne i naróżne bastiony, zamykające ją ze wszech stron, leżały w niejakiej odległości od rzeczego rozdołu, panując — na prawo — ponad całkowitem, dalekowiedzialnem zachyleniem tej rzeki, oraz jej rozdołu, — na lewo — nad mostem kolejowym i linią drogi żelaznej, biegnącej między fortem i twierdzą, — nad olbrzymią równią pól, aż do drugiego



fortu, szarzejącego we mgle. Spod brustweru, od podnóża jego bankietu spadały w głębokie fosy gołe, a jak śmierć posępne, ceglane ściany frontów. Te ślepe, rude mury, dźwigające na sobie formenną masę ziemi, tworzyły w polach gzygzak gwałtowny.

Wewnątrz ów fort podzielony został ostatniemi już czasy mocnym i wysokim murem na dwie części. Jedna z nich, zwrócona w stronę rzeki i pól, stanowiła kazematy, w których mieściła się kolekcya armat fortecznych, koszary żołnierzy i mieszkania oficerów, — druga, zwrócona w stronę Zasięka, przeznaczona została na więzienia. Artylerya tego fortu była liczna i najnowszego typu, lecz kryła się postaremu w sklepionych niszach, patrząc paszczami w embrazury. Koszary żołnierzy mieściły się w tychże głuchych izbach kazematów. Na mieszkania oficerów wybudowano lekkie domki drewniane, tylnemi ścianami przyparte do muru, dzielącego fort na poły. Były to istne domki z kart, zawierające mieszkanka ciasne, zimne i brzydkie. Okna ich wychodziły na wewnętrzne, brukowane podwórze i patrzyły w półokrągłe, jakby od pokładów ziemi zduszone okienka kazematów.

Mieszkało tam zresztą jedynie paru oficerów nieżonatych i to tylko nominalnie. Byli to wszystko ludzie z adnotacyami, odsiadujący tutaj rodzaj kary po różnorodnych sprawkach. Każdy z nich służbę i pobyt w owym forcie poczytywał za czasowe wygnanie, — z wyjątkiem Piotra Rozłuckiego, który tam mieszkał stale. Do tego zadomowienia

się skłoniły go różne okoliczności, te wszakże nadewszystko, że, mając sobie powierzony dozór nad budową podziemnych galeryi i chodników, musiał wciąż być na miejscu, doglądać wszystkiego ze szczególną pieczołowitością i nie tracić czasu na przejazdy.

Chcąc dostać się do „Czarnego Orła“ z fortecy i rodzaju drewnianej mieściny, która ją otaczała, trzeba było iść kilka wiorst piechotą, jechać tę przestrzeń koleją aż do przystanku, również od fortu dosyć odległego. Niedogodną również rzeczą było jeździć na robotę codziennie konno, lub wózkami. Ten był główny, zewnętrzny niejako powód, że Piotr zamieszkał w „Orle“ na stałe. Przyczyny jednak tej decyzji kryły się głębiej i było ich wiele. Po przyjeździe do tego miejsca, znalazł w niem niejako dobry przewodnik dla swego usposobienia. Gdy zamieszkał w fortecznym podwórzu, odgrodziły go ściany kazematów, — które przecie wymyślił nie byle jaki znawca rzeczy ziemskich, architekt dyabelstwa ludzkiej potęgi, Machiavelli, — od świata i jego miękkich powabów. Ziemia, grubym pokładem zwalona na mury, przydusiła pamięć. Życie na dnie tej obmurowanej studni i wpatrywanie się w życie żołdatów dobrze czyniło sprawę wytracenia wszelkiej czułości. Jedyni mężczyźni, których widywał, byli to żołnierze, wielkiego wzrostu dobrani chłopci. Kopali ziemię, czyścili broń, wychodzili na mustrę. Spuszczeni z łańcucha obowiązków mocowali się dla zabawy w ordynarnych igrzyskach, albo śpiewali ordynarne piosenki. —



W oznaczonych godzinach jedli krupnik, razowiec, kapustę, ochłapy mięsa i pili gorzałkę. W oznaczonych godzinach spali, chrapiąc na cały fort. Apetyt ich, sen i robota były mocne, jak te mury i okopy. Jedyne kobiety, które się tam zjawiały, były to żołdackie dziewczki, obsługujące kolejką wszystkich tych drabów z bateryi. Jeżeli szerzyły się wśród żołnierzy choroby, to potężne i wyraźne, jak syfilis, albo tyfus.

Piotr z pilnością przykładał się do nowej pracy prowadzenia galeryi kontr-minowych, których system uprzednio przygotowany na wszelką ewentualność, powykańczał nad wyraz starannie. Pracami temi nadał nawet fortowi „Czarnego Orła“ głąchą sławę wśród świata oficerskiego. W zimowe noce, kiedy był w tem miejscu sam jeden, czytał znowu bardzo wiele po polsku. Ale w książkach nie doczytywał się tych elementów zimna i mocy, których pożądał. Książki były dlań teraz puste i cze, nie mające nic do powiedzenia, prócz zewnętrznej informacyi. W zimowe tedy poranki, gdy porozdawał ludziom robotę, zdarzało się, że był osamotniony na świecie aż do ostatniej granicy. Schodził wtedy do komór armatnich, do nisz, gdzie stały milczące spiże i, nie wiedzieć dla czego, przebywał z nimi sam na sam. Patrzył w nie zimnemi oczyma. Zdarzało mu się również w ciągu godzin wyglądać przez wąskie strzelnice w pola strzału, w dalekie grunta niczyje, zajęchane, w płaskie, przechodnie równiny, które ma jakiś nieprzyjaciel

kiedys przemierzać. Wiatr zimowy świstał w embrazury i ostrym śniegiem siekł oczy...

Teraz, gdy powrócił z urlopu, począł nanowo wyniszczać w sobie nawiane w dalekich stronach zapachy i dźwięki czułe. Znowu przebywał wciąż w głębi fortu. Twardy był dla żołnierzy i potężną nakładał im pracę. Patrzyli nań spodełba z ukrytą we wzroku groźbą. Jeżeli wychodził na przechadzkę, to tylko na wierzch bankietu ziemnego i okrażał fort wokoło po jego najwyższym gziemiu. Nie był to wszakże wypoczynek, lecz właśnie uciążliwa praca. Stamtąd widać było dokładnie łożyska dwu rzek na dalekiej przestrzeni. Rozległe łachy rzeki głównej słały się przed oczyma. W ciągu dwuletniego pobytu w tym forcie Rozłucki poznał się z widokiem rzeki, wmyślił się weń i wwiedział. Widok ten stał się jedną ze składowych części jego duszy. Przypatrzył się dobrze rzece w jej zimowem, lodowatem okuciu, — podczas wiosennych zatorów, — w wylewy, gdy się przeistaczała w żywioł potężny, — i w letnie susze, gdy cieśla płytkim i ociążałym popławem strumieni między łachami. Chodził patrzeć wzdłuż jej brzegów, kiedy podczas wylewu rwała taflami najurodzajniejsze, najśliczniejsze pokłady przebogatych iłów, które przed wiekami sama niegdyś złożyła. Przepływał łodzią patrzeć, jak na przeciwległym jej brzegu powstawało wywierzysko piachu, ledwie pokryte karłowatą iwiną. W ciągu wielu — wielu dni natrzymał się sennemi oczyma tych wód bezpieczeństwa, wód sobiepańskich, płynących starym nierządem.



Nasycił się widokiem siły niezmiernej, która rwała w niewiadomą dal, niszcząc uprawione pracowicie kmiece brzegi, i ginęła w nicości przez wieki. Już się teraz nie wzdrygał na widok niewolnicy, która zachowała w sobie przedwieczną swawolę, nierząd, bezmyślny nałóg zużywania olbrzymiej siły na złe i głupie. Poznał się oko w oko z tym symbolem, z tą rzeką-duszą. Oddawna, gdy w piaski i piękne, białe lica wód patrzył, wyśnił się w jego duszy sen, bezmyśl ukuty w wyobraźni o szklanej epoce ludzkości i o szklanej epoce Polski.

Stojąc na szczycie fortu znieruchomiały, niemy, zatopiony oczyma w dalekiej wodnej smudze, wielkroć marzył na jawie. Był bohaterem-robotnikiem, który z piasków bałtyckich u ujścia tej rzeki stwarza przy pomocy siły fal morza szklane belki, tafle, skarpy, przyciesie, czopy, — buduje z nich ściany do ujęcia łożyska Wisły, — ściska jej wody w jedną rynnę od Tatr do morza, — niezmierną siłą jej wód obraca miliony turbin na pożytek płaskiego kraju. Pracują w jego myślach fale za całe polskie plemię. Olbrzymie dźwignie, poruszone siłą prądu tych wód, zebraną z wysokości gór, z rozległych płaskowzgórz, z pochyłych pól, zanurzają czerpaki, wyrzucające na okoliczne pola urodzajne ily. Piasek stał się najcenniejszym skarbem, dającym wszystkobudujące szkło: piękne szklane domy rolników, ze szklanymi meblami i sprzętami, kolorowe siedliska nowej, ze szkła powstałej sztuki, — siedliska zdrowia, w których zniszczone zostały choroby — szkarlatyna, ospa, tyfus, zimnica. Wiel-

kie zbiorowiska elektryczności, wypracowane przez rzekę Wisłę, oświetlają całe powiaty. Tysięczne maszyny rolnicze orzą i uprawiają ziemię, młóca, wieją i czyszczą zboże. Drogi ze szklanych tafli wybrukowały dalekie gościńce pod lipowemi alejami. Śmieją się do słońca cudne domy wśród zboża. Jedne są błękitne, inne różowe, białe lub wielobarwne. Wszystko, co tylko pomyślała fantazyja natchnionego artysty, wszystko, co się poczęło w tajniach geniuszu, gdzie w letargu trwa kształt i barwa, wcielone zostało w zdobienie szklanych belek kolorem i rysunkiem, w załamania dachów, wieżyc, skarp, drzwi i okien. Towarzysze człowieka — koń, krowa, owca, świnia, pies i ptactwo przebywają w szklanych budowlach...

Takie to były niedorzeczne koszmary, które się samotnemu oficerowi ukazywały.

Po powrocie z urlopu Rozłucki dowiedział się, że w drugiej połowicy fortu, murem oddzielonej od części czysto wojskowej, w kazematach stale dawniej zajmowanych przez więźniów ze sfery żołnierskiej, osadzeni zostali jacyś więźniowie cywilni. Sprawa ta otoczona była tajemnicą. Nikt z połowy wojennej nie wiedział, jacy to są przestępcy, za co siedzą, a nawet, gdzie są umieszczeni. Więźniowie ci zostawali pod bezpośrednim zarządem komendanta fortu i pod dozorem załogi artyleryjskiej, ale tylko w tem znaczeniu, że wyznaczone przez dowódcę fortu kolejne plutony żołnierzy pilnowały teraz w sposób daleko bardziej bezwzględny wyjść, okien i narożników. Władza istotna nad owymi



więźniami znajdowała się w ręku sił policyjnych i żandarmskich. W wędrówkach swych po nasypie Piotr widywał czasami w „tamtej części“, w studni, okolonej ślepymi ścianami i wyłożonej kamieniem, ludzi cywilnych, wyprowadzanych na przechadzkę po ciasnym dziedzińczyku. Tłukli się w ciasnym pudle kamiennem zamyśleni, spokojni, cisi, — pilnie strzeżeni przez uzbrojonych artylerzystów, stojących przy każdych drzwiach. Obserwując z wysokości ich ruchy, gesty i narzucone im obyczaje, Rozłucki przyszedł do wniosku, że nie wolno im rozmawiać, ani pomiędzy sobą, ani z dozorującymi ich żołnierzami. Nie można było zorientować się, ilu ich jest, gdyż coraz to inni ukazywali się na przechadzce. Piotr nie chciał o to nikogo rozpytywać, tem bardziej, że z dowódcą fortu nie był w stosunkach przyjaznych. Zresztą ta rzecz nie należała do zakresu jego obowiązków i mało go interesowała, jako sprawa. Początkowo była to pewna w tem monotonnem miejscu rozmaitość, jakby rozrywka w formie: patrzeć na więźniów przechadzkę. Byli to jacyś ludzie nowi, odmienni od chłopów w szynelach. Dziwne zachodziło przeciwieństwo między ich postaciami, ich nerwowymi ruchy — i murem niemy, obliczonym na wieczysty opór i wieczyste trwanie. Piotr Rozłucki, obchodząc fort i przypatrując się zdaleka tym postaciom, doznawał zawsze wewnętrznego wzdrygnięcia niechęci. Budzili w nim wrażenie tego rodzaju, co widok objawów choroby w człowieku zdrowym i silnym. Byli dlań dziwni i zastanawiający, jak ty-

fus, albo ospa, lecz i niezdolności, jak te choroby. Mieli jakieś swe przyczyny i dzieje, podlegali własnemu swojemu prawom i przepisom, wynikli zniemka na tle rzeczywistości fortu, jakby potężna jego choroba. Długo trwały te obserwacje, lecz wreszcie się znudziły. Nienawistnie przywykł do więźniów, jak przywykł do murów, ziemnych nasypów, armat, fos i korytarzy podziemnych. Stało się to głównie z tego powodu, że aresztanci byli przeszkodą szczególnego rodzaju w myślach o szklanej epoce ludzkości. Obecność ich wykazywała na jawie i najdotkliwiej, że marzenia o szklanym łożysku Wisły są pustem i bezpłodnym przywidzeniem.

Pewnego dnia, już w zimie, podoficer baterii fortecznej, zostający pod bezpośrednimi rozkazami Piotra Rozłuckiego, człowiek starszy, brodaty, olbrzym, kat na żołnierzy i niesłychany służbista, zameldował, że ma do powiedzenia rzecz ważną. Przyszedł z tem do mieszkania prywatnego i długo czekał w sieni, zanim go Piotr przyjął. Padał już zmrok i w pokojach było ciemno. Piotr drzemał był i, leżąc na łóżku, rozespany słuchał owego raportu. Podoficer zcicha poprosił, ażeby z jakimś poleceniem odesłać służącego żołnierza, tak zwanego „dieńszczyka“. Piotr zgodził się na to, pewien, że usłyszy donosy na żołdatów. Podoficer przybliżył się do stołu i złożył na nim jakąś papierową paczkę. Na zapytanie, co to tam kładzie, zaczął tajemniczo, zduszonym szeptem rzecz wykładać, popychając wciąż środkowym palcem prawicy kupkę papierowych pieniędzy ku środkowi



stołu. Rozłucki wstał z łóżka, naciągnął szynel na ramiona i rzucił okiem na banknoty. Było tego kilkaset rubli w papierach, — parę storubłówek, starannie poskładanych, i kilkanaście papierów mniejszej wartości, osobno złożonych. Soldat wyłuszczał a b o v o szeroko i niezrozumiale o pewnym wachmistrzu policyi, o swojej z nim zażyłości, o pijatykach i hulankach, — wreszcie o więźniach. Okazało się z tej bez ładu gadaniny, że ów wachmistrz, nazwiskiem Murłyk, od pewnego już czasu kusił delatora, podoficera bateryi, Biereżkowa, — że go spajał drogiemi wódkami i niewiarogodnie słodkim likierem, że go obsypywał szczodremi podarunkami, a wreszcie, że mu przyprowadzał najśliczniejsze dziewczki na każde zawołanie. On, Biereżkow, nie mógł przez długi czas zupełnie zrozumieć, po co to Murłyk robi, skąd ma tak wielkie pieniądze i jakim sposobem to wszystko przeprowadza. Ale, tak właśnie nic nie wiedząc, ulegał, grzech straszny brał na duszę. Nie mógł się cofnąć przed pokusą. Wyznaje teraz, jak przed Bogiem: hulał z Murłykiem po całych nocach. Wymykał się z fortu do miasteczka, gdyż klucze od bramy miał w ręku, spotykał się tam z Murłykiem w hotelu Zysmana — i straszne grzechy brał na duszę. Murłyk przywoził „panny“ skądś aż z Warszawy i zostawiał go z niemi samego. Czegoż to tam nie było, — jakie jadło, jakie napoje! Piotr skrócił to opowiadanie jednego w kółko — pytaniem: co znaczą pieniądze, leżące na stole? Okazało się, że pieniądze pochodzą od Murłyka.

Dawał pieniędzy, ile zażądać. Zażądać pięćdziesiąt rublami, — da pięćdziesiąt. Zażądać setkę, — da setkę. Gdzieś wyjdzie, poszpera, pogada z żydami, nakrzyczy, nahałasuje, — i przyniesie, ile zażądać. Pannom trzeba było płacić sowicie... Strasznie były piękne, nad wyraz, postrojone, w jedwabiach, w cienkiej bieliźnie pod spodem. Już skoro poszedł w grzech, trzeba było dla samego honoru... Murłyk począł w przyjaźń dozgonną wchodzić, całował, braterstwo pił po sto razy na noc, wierność do grobu przysięgał. Potrafił płakać rzewnymi łzami, gdy o tej przyjaźni swojej gadał. Któżby nie wierzył, patrząc wtedy na tego człowieka! Biereżkow uwierzył, bo Murłyk, to człowiek mądry, przebiegły, znający wszystko. Na każdą rzecz ten człowiek ma odpowiedź. Iskaryota, Judasz przeklęty!

Piotr znowu zadał pytanie o pieniądze.

Podoficer westchnął z głębi, wyprostował się i stanął frontem. Twardym głosem oskarżał się sam przed Rozłuckim, że wziął te pieniądze od Murłyka — za zdradę.

— Za jaką zdradę?

— Za zdradę przysięgi.

— Coś miał zdradzić?

— Więźniowie siedzą w drugiej połowie fortu.

— Co za więźniowie?

— Przystępcy przeciwko Bogu i monarsze powstający, żydy różne i kramolniki zawzięte, wszyscy na stryk, czy na katorgę przeznaczeni.

— Skąd to wiesz?

— Od Murłyka. Ten Judasz najstraszniejszy od



rodzin owych kramolników, przez żydów te wielkie pieniądze ma i nimi sypie. Wczoraj dopiero ta rzecz się wykryła.

— Jak się wykryła?

— Piliśmy znowu strasznie u Zysmana i „panny“ znowu były, a jakieś inne, — wprost damy. Późno w nocy jedna z tych dam była ze mną. Poczęła mię prosić za więźniami...

— Jakto? O co prosić?

— Łaskami strasznemi opętała mię, pieszczotą nieopisaną. Boże miłosierny odpuść! Prosiła wciąż o jedno: nic, tylko żeby dziś w nocy wrota, co prowadzą z tamtej połowy fortu do naszej artyleryjskiej, zapomnieć zamknąć. Tylko tyle.

— Cóżby tym kramolnikom z tego przyszło?

— Z początku i mnie to samo pytanie stało w głowie. Głupia dziewczka, myślę. Cóż owym łotrom z tego się zawiąże, że z jednej połowy fortu przeszliby do drugiej? Tu i tam przecie tesame kazematy, ściany wokoło, przy każdym wrotach warta, — po bankietach nad kazematami warta chodzi, — dookoła fortu, za rowem warta. Z bankietu, myślę, nie skoczysz, żydzie niewierny, bo łeb roztrzaskasz, nim do fosy dolecisz, choćbyś się myszą wdarł na nasyp. Aliści Murłyk nad ranem sekret wydał. Cicho do ucha zaczął mi szeptać, że to już rzecz kramolników, jak z naszej połowy na świat wyjdą. Moja rzecz, — zostawić bramę niezamkniętą przez noc, rano, o świcie ją zamknąć, klucze zawiesić w kancelaryi, jak zawsze. Jego rzecz, Murłyka, dać kramolnikom drabinkę jedwa-

bną. Już on to za dnia zrobi. Wtedy to dał mi tę ostatnią masę pieniędzy.

— Z czem do mnie przychodzisz? — spytał Rozłucki.

— Przychodzę do mojego zwierzchnika, do mojej władzy przełożonej. Oświadczam, że jest współnik zdrady, że po pijanemu, wśród rozpusty wziął wielkie pieniądze dla ułatwienia zbrodniarzom ucieczki. Wyznaję wszystko, jak przed Bogiem, pieniądze zwracam. Oskarżam się i czekam na karę.

Zmrok zapadł w czasie tych wynurzeń. Piotr Rozłucki stał naprzeciwko Biereżkowa, patrząc w ciemną jego bryłę. Milczał. Tamten czekał wyprostowany. Mijały tak długie chwile. Piotr zapytał:

— Więc zbrodnia stanowczo na dziś została uplanowana?

— Na dziś.

— Na którą godzinę?

— Na godzinę jedenastą z wieczora.

— Czy Murłyk bywa w nocy w tamtej połowie fortu?

— Nie. Nigdy go tam w nocy niema.

— Gdzie są klucze od bramy do więziennej połowy?

— Ja je mam w ręku.

— Jeszcześ tej bramy nie zamknął?

— Nie zamknąłem.

— O której godzinie po zamknięciu bramy odnosisz codziennie klucze do kancelaryi?

— O godzinie dziewiątej.



— Oddawaj teraz te klucze!

Biereżkow wydobył klucze z kieszeni i wręczył je oficerowi. Rozłucki rzucił te klucze na kupkę papierowych pieniędzy. Zapytał jeszcze głosem coraz bardziej okrutnym:

— Czy Murłyk mówił ci, że mają uciekać sami kramolniki i buntownicy, czy inni?

— Same tylko buntownicy, bo tylko tacy siedzą w tamtych kazematach.

— O całym spisku wiesz ty, Murłyk i owa „panna“, z którą w nocy byłeś?

— Tak.

— Czy wiesz jeszcze co w tej sprawie, czy co taisz?

— Nic nie taję!

— Prawdę gadaj, bo twoja rzecz skończona!

— Prawdę gadam.

— Aresztuję cię!

— Słucham.

— Masz od tej chwili milczeć. Pary ci z ust nie wolno wypuścić pod najsroższą odpowiedzialnością. Dopiero na sądzie będziesz gadał.

— Słucham.

— Jeżeli słowo do kogokolwiek piśniesz przed czasem, wyślijnie mi się z rąk zdrajca Murłyk i owa panna. Teraz — marsz za mną!

Wyszli na dziedziniec. Piotr przodem, Biereżkow za nim. Minęli całą długość kazematów artylerii. W narożniku, gdzie były sklepione najgrubsze mury fortu i gdzie znajdowała się cela więzienna dla przestępców-żołnierzy, tak zwana „ciemna“, —

pusta w owej chwili, — Piotr Rozłucki otworzył drzwi, kazał Biereżkowowi wejść do wnętrza i zamknął za nim drzwi na klucz. Ten klucz schował do kieszeni.

Wrócił do siebie. Policzył pieniądze, leżące na stole. Było tego pięćset sześćdziesiąt rubli. Ordynans zapalił w piecu sosnowem drzewem. Wesoły ogień oświetlił ciemną izbę. Śliczne iskry z trzaskiem padały wokoło. Piotr zasiadł w krześle przed ogniem i grzał się w radosnem świetle. Gdy się spaliły pierwsze polana, żołnierz przyniósł nowych naręcze, lecz oficer nie kazał już dokładać. Polecił swemu „dieńszczykowi“ iść spać, — co ten niezwłocznie i skwapliwie wykonał. Wkrótce zza sąsiedniej przegrody rozległo się jego chrapanie, podobne do rżenia ogiera.

Codzienna cisza nocna zaległa wewnątrz fortu. Ostry śnieg sypał się po szybach z cichem zgrzytaniem. Wiatr jęczał i zdawał się czaić za węglami domku. Mijały kwadransy i godziny... Nierychło Piotr wydobył zegarek i przy świetle tlejących węgli spojrzął na godzinę. Zdziwił się, że było już znacznie po dziesiątej. Przeciągnął się i powstał z miejsca. Schował do kieszeni nabity, wielostrzałowy rewolwer i cicho wyszedł z mieszkania. Udał się do żołnierskich kazematów i, idąc obok zaryglowanych na głucho drzwi, słuchał chrapania. Fort był, jak wymarły. Nikogo. Wiatr ponadymał w dziedzińcu białych sąsieków śniegowych. Niebo było ciemne, noc burzliwa. Rozłucki zbliżył się do bramy, prowadzącej do więziennej połowy fortu —



wtulił się we framugę muru, zasunął ręce w rękawy i czekał. Ogarnęła go senność duszy i poziewanie cielesne. Niekiedy przemknął się dreszcz wskrós ciała. Daleko rozbrzmiał świst pociągu i turkot jego po zmarzniętej ziemi przeleciał w nocnym pustkowiu. Znowu zaległa cisza. Wiatr здаwał się pełzać po nasypach, szpiegowsko czaić i sunąć po pochyłościach brustweru. Zeschłe badyły, zwisające z wysoka, wydawały ciche szelest, zupełnie jakby szept z mowy w popłochu. W jakimś momencie szelest zwiększył się, natężył. Oficer nastawił ucho... Lecz szmer zamarł w nocy, zginął na podobieństwo nieszczęśliwego westchnienia. Przyszła do głowy myśl, jakimże to sposobem zbrodniarze polityczni mogliby wydobyć się z cel... Ktoby ich wypuścił... Czyżby ów Murłyk także miał środki i sposoby w tamtej połowie... Znowu westchnęło coś w ciemności, w powiewach wiatru, w szelestach badyłów — i zamarło. Chwila ciszy. Lecz oto przed oczyma wdrożonemi do ciemności wrótnia bramy zwolna ustąpiła i posunęła się na prawą stronę, jakgdyby ruchoma zasłona mroku. Wionął inny podmuch. Ciepłe tchnienie zdyszanych oddechów ogrzało ciemny przestwór. Ludzie szli cicho, tak bezwzględnie cicho, jakby byli upiorami niesionemi przez wiatr burzliwy. Gdy minęli próg bramy, stanęli w nieruchomości. Rozłucki wysunął się z załamania muru i przeciął im odwrót. Zamknął bez pośpiechu wrótnię, założył skobel na hak, wsunął weń ogromną kłódkę i zamknął ją kluczem. Przekręcił nadto wielki rygiel w zamku.

Ciemne postacie, gorące cienie otoczyły go pierścieniem bijących serc. Patrzyli weń oślepleni oczyma, niby wzrokiem głuchej nocy. Milczeli. On liczył ich, ręką dotykając głów, ramion, ciał. Skończywszy rachunek, odsunął wszystkich obiema rękami, wyszedł z pomiędzy nich i krótko rozkazał:

— Za mną!

Posłusznie szli przez miękie, miotające się śniegi. Oficer wszedł przez ganeczek i sień do swego mieszkania, zostawiając tłum zbiegów na dworze. Przez chwilę nasłuchiwał chrapania ordynansa. Później zebrał ze stołu pieniądze, najważniejsze papiery swe ze stolika, zapalił i ukrył pod ubraniem ślepą latarnię. Rzucił na stół klucze od bramy i więzienia Biereżkowa, a zabrał ze sobą klucz od jednej z sal w kazematach. Wyszedł na dwór i bez słowa króczył na czele czarnej bandy. Za chwilę stanął przed okutymi drzwiami, wpuzczonymi w głuchy mur środkowej ściany fortalicyi. Otworzył te drzwi kluczem, który miał ze sobą. Szorstkim rozkazem polecił zbiegom wejść do środka. Gdy wszyscy przekroczyli próg, zamknął na klucz drzwi od wewnątrz. Zapalił ślepą latarnię, odsłoniwszy ją zniecka. Zajrzał w twarze ludzi, którzy nawzajem teraz dopiero z przerażeniem ujrzeli jego oficerskie ubranie. Były to twarze zniezdniałe, wychudłe, hakowate, zarosłe włosami. W gorejących oczach świeciła się, jak próchno, rozpacz i żądza wolności. Stojąc wokół tego samotnego oficera naradzali się wzrokiem, czy się na niego rzucić i zadławić rękami, klucz mu wy-



drzeć i uchodzić przez otwarte drzwi, czy postąpić inaczej. Tymczasem on spokojnie otworzył jakby drewnianą szafarnię, gdzie były ustawione rzędem rydle, łopaty, motyki i grace na krótkiej rękojeści, oskardy i draży żelazne. Kazał im zabrać te narzędzia, każdemu inne. Skoro każdy ze zbiegów miał już w ręku motykę lub łopatę, Piotr podniósł ciężkie drzwi, w środku ceglanej podłogi tego lochu. Świecąc latarnią począł zstępować po szczeblach żelaznej drabiny, przytwierdzonej do ściany otworu, obmurowanego, jak studnia. Już z głębi tej studni zawołał:

— Za mną!

Więźniowie, nie mający nic do stracenia i nic do zyskania, poszeptali coś między sobą i poczęli kolejką iść za przykładem oficera. Jak czarne koty ślaniali się w niepewnym połysku latarni po ceglanej cembrowinie tej sztolni. Nie wiedzieli, co ich czeka i dokąd idą, lecz szli chętnie, byleby doznać wzruszeń nadziei. Zeszedłszy w głąb studni minierskiej na sześćdziesiąt stóp, Rozłucki zatrzymał się przed wejściem do magistralnej galeryi dolnego piętra całego systemu kontrmin, które był sam budował. Wejście to było sklepienie i obmurowane cegłą. Po chwili jego latarnia znikła w chodniku podziemnym. Ten korytarz główny, zwany z francuska „poterną“ (poterne), prowadzący z kazematów do min zewnętrznych, przechodził głębią ziemi pod murowanymi fundamentami skarp fortu, pod całym jego glacis i pod dnem zewnętrznej fosy na głębokości kilkudziesięciu stóp. Był

obmurowany cegłą, sklepiony i miał sześć stóp wysokości w świetle. To też ludzie weszli weń swobodnie i skradali się śmiało aż do galeryi poprzecznej kontr-skarpowej dolnego piętra. Galerya przeciwskarpowa biegła równolegle do linii murów fortu, do jego fosy i do drugiej, takiej samej na pierwszym piętrze kontr-min. Prostopadle do niej wychodziły w pole chodniki magistralne, obmurowane, jeden od drugiego o jakie dwadzieścia sążni oddalony. W odległości dwudziestu sążni od chodnika przeciwskarpowego wszystkie te równoległe linie łączyły się pomiędzy sobą ukośnemi gałęziami, stanowiącemi drugą, łączną galeryę. Dolne piętro całego systematu chodników zabezpieczało górne piętro od przewidzianych podkopów nieprzyjaciela. W miejscu, gdzie „poterna“ spotykała się z chodnikiem przeciwskarpowym, były schody, prowadzące do górnego piętra kontr-min. To górne piętro było o trzydzieści stóp wyżej od tamtego. Rozłucki, świecąc latarnią, poprowadził na to górne piętro. Jedną z galeryi głównych, zawsze obmurowanych cegłą i sklepionych, szli w przestrzeń. Chodnik był suchy i dosyć przewiewny, choć tu i tam nieznośny zaduch tamował oddechy. Oddalili się tak owym chodnikiem o trzydzieści sążni od skarp fortu. W jednym miejscu, gdzie przejścia załamywały się w ukos, był otwór niezamurowany, prowadzący do całego systematu galeryi drugorzędnych, niższych i węższych, bo liczących tylko niecałe pięć stóp wysokości w świetle i trzy szerokości. Chodniki te były ocembrowane drze-



wem, tak zwanemi holenderskimi ramami z siedmioocalowych desek. Powietrze tu było duszne, pełne szczególniejszego kwaśnego zapachu. Szło się jakgdyby w podłużnem pudle. Z obudwu stron biegły wzdłuż drewnianych ścian listwy, łączące ramy pomiędzy sobą. Ludzie zgięci w pałąk, czołgając się jeden za drugim, prowadzili po tych listwach rękoma, jak po poręczach. Tu i owdzie jednak spotykali w ścianach przerwy. Były to niszki, również ramami drewnianymi oszalowane, w których głębi były studzienki dla odprowadzania do nich kanalikami i ściekami pod podłogą chodnika wody gruntowej z galeryi. W innych leżały przyrządy ciesielskie i wiertnicze. Woda miarowo kapiała w ciszy podziemia, łudząc, że to słychać dalekie, miarowe kroki.

Z jednej strony podkopu nogi więźniów potraçały się wciąż o trójkątną żłobowinę, ułożoną tam zawczasu w przewidywaniu zabezpieczenia od wilgoci lontu, który w przyszłości miał być w nią nawleczony po umieszczeniu we właściwych niszach materiałów wybuchowych. W miarę jak się wgłębiano w tę norę, powietrze stawało się coraz duszniejsze, cuchnące od gazów gruntowych i zepsute od zdyszanych oddechów. W pewnych punktach były powiewy lżejsze, gdy mijali rury wentylacyjne, prowadzące z podkopu nad ziemię, lecz w miarę zapuszczania się w głąb i te oddechy ledwo — ledwo dawały się uczuć. Coraz bardziej brakowało tchu. Przytępiał się słuch i opanowywała skłonność do wymiotów.

Kiedy przebyto kilkadziesiąt sążni tego podziemnego korytarza, Rozłucki znalazł się w miejscu, skąd rozchodziły się we dwie strony niższe i węższe ramiona. Dalej była jeszcze pewna przestrzeń tegosamego wydrążenia w glinie, a na samym już jego końcu znajdowała się szersza komora, tworząca pospołu z linią główną jakgdyby ramiona krzyża. Te nisze miały poziom nieco niższy od całego przejścia i równie, jak ono, były obite hollenderskimi ramami. Było to miejsce przeznaczone na ewentualne umieszczenie w niem szkatuł z czterdziestopudowym ładunkiem prochu, czyli tak zwanych *hornów* wybuchowych. Nisze te były puste, rola ich bowiem zaczynała się z chwilą wybuchu robót minierskich nieprzyjaciela.

Piotr Rozłucki wszedł do jednej z komór, podniósł w górę latarnię i okazał to miejsce dwu ludziom, postępującym tuż za nim. Następnie sam cofnął się do bocznej niszy, gdzie był skład na przyrzady, a dwu zbiegom kazał wejść w ów zagłówek galeryi. Powietrza tam już niemal nie było, gdyż ślepą ścianą kończyła się wszystka robota. Cuchnęło zgniłemi jajami. Oficer kazał jednemu z ludzi ująć żelazny drąg, drugiemu łopatę. Narzędziami temi mieli wyrwać deski oszalowania, podtrzymujące z boku ziemię. Ci dwaj podważyli deski, wyrwali je z felców i po długim siepaniu rękami wydobyli ze spoidel. Posypała się na nich gliniasta ziemia i zawałiła ich aż do kolan. Piotr kazał im kopać naprost: jednemu bić w glinę drągiem, — drugiemu wyrzucać ją łopatą. Trzeci



stojący najbliżej miał odgarniać ziemię w tył i rzucać ją jaknajdalej w korytarz. Stamtąd, szeroko się rozstawiwszy, zbiegowie mieli ją podawać jeden drugiemu, miotając na płask po podłodze chodnika. Praca zawrzała natychmiast ze wściekłą szybkością, sprawnością i sprytem. Słysząc było ciężki łomot odwalonych brył, przerzucanie ich graczami i rydlami i rżenie oddechów. Dla ułatwienia roboty odnoszący ziemię w korytarz pełzali na kolanach. Powyciągali ze spodni koszule i w podołach nosili glinę, biegając tam i nazad w oszalałym popłochu. Praca ich zorganizowała się sama, ułożyła bez rozkazu w sposób najbardziej do natury miejsca przystosowany. Jedni biegali w cwał na kolanach, jak rozszalałe zwierzęta, inni na czterech łapach, koszule z ziemią trzymając w zębach, inni zgięci w pałak miotali ziemię rydlami. Dwaj kopacze przodownicy sprawiali wrażenie waryatów. Ruchy ich były rozpętane, szybkie jakby w drgawkach wielkiej choroby. Narzędzia padały w glinę niepostrzeżonemi od szybkości ciosy, a każdy cios zdawał się sięgać do środka przekłętej skorupy. Stękali i jęczeli, wyli i wśród okrutnego przeklinali płaczu. Pracowali klęcząc, więc zdawało się w półmroku, że w ciemnicę ziemi wałą głowami i że się w nią wgryzają całą mocą zębów. Klęcząc również, odrzucał urobek pierwszy odgarniacz, wtulony w przeciwległą komorę. Piotr patrzył weń ze swojej przy blasku latarki, która, niestety, od złego wyziewu ledwo ledwo płonęła. Człowiek ów był to żyd, o twarzy młodej, lecz

nad wszelki wyraz schudzonej, zapadłej, obrośniętej długimi włosami. Oficer przypatrywał się jego robocie ze spokojem i awersją. Zapytał go po polsku :

— Ty co za jeden jesteś ?

Nie przerywając pracy ani na sekundę, tamten przelotnie spojrział w górę i z uśmiechem przedziwnej męczarni, wśród stękania odpowiedział :

— Żyd.

— Za coś tu był ?

— Za bunt.

— Przeciwno komu ?

— Przeciwno przemocy.

— Cóżes to mianowicie wykonał ?

— Walczyłem...

— Jak ?

— Jakem mógł.

— O co ?

— O zniesienie dwudziestowiekowego ucisku plemienia żydów.

— A twoje plemię nikogo nie uciska ?

— Uciska.

— Więc chciałeś większej swobody w uciskaniu ?

— Nie, ja walczyłem w obronie uciśnionych.

— A twoja walka, to ta uciezka.

— Moja walka — to uciezka.

Młody żyd załamał ręce. Zdało się, że te wyrazy odebrały mu ostatek siły. Rzucając ziemię wciąż i coraz szybciej, a coraz śmieszniej, zachwiał się. Rydel wypadł z jego ręki, ciało zwisło na



cembrowinę, później bezwładnie opadło na ziemię. Najbliższy sąsiad w pracy chwycił go na rozkaz Piotra w ramiona i, posuwając coraz dalej innych, powlókł w kierunku wyjścia galeryi, do wentyla. Oblano mu, według wskazówki, głowę i piersi wodą ze studzienki, zzuto buty, nacierano stopy mokrym gałganem. W głębi swej komory Piotr znalazł butelki z octem, zawsze tam leżące w przewidywaniu choroby minierskiej. Jedną z nich polecił zanieść do tego miejsca, gdzie leżał omdlały, — nacierać mu octem skronie i zwilżać nim język. Miejsce żyda zajął natychmiast drugi pracownik. Piotr zaśwycił mu w oczy latarnią. Był to człowiek dwudziestokilkoletni z rudawym zarostem, o rysach twarzy nad wyraz pięknych, obraz dorodnego typu polskiego. W więzieniu młodzieńcowi temu urosła długa broda i długie włosy. Kazematy wyblichowały mu twarz, ale uczyniły ją jeszcze wznioslejszą. Z radosną ciekawością, z nienasyconem upojeniem Rozłucki przypatrywał się temu człowiekowi. Każdy ruch, każdy zamach rydla pod ręką tego herosa był aktem wzniosłej piękności. Młody zbieg pracował zaciekle, rzucał ziemię łopatą na ogromną odległość. Długie jego włosy zamiatały niemal kupę gliny, wyrzucaną wciąż przez towarzyszków w wezłowie kontr-miny. Kierownik począł naigrawać się, świecąc w oczy temu pracownikowi:

- Śpieszysz się wasza miłość do wolności z nadto namiętnie. Omdlejesz z pośpiechu.
- Do wolności trzeba się śpieszyć namiętnie.
- Wprost przeciwnie: trzeba do niej wybijać

tunel bardzo powoli, krok za krokiem, stopa za stopą, cal za cal, z matematyczną dokładnością i ściśle logicznym umiarkowaniem.

Młody więzień spojrział na Piotra głębokością oczu z pogardą i odrazą. Wspaniała duma, jak pióropusz na hełmie, lśniła się na jego czole. Na sekundę przerwał robotę i spytał z szyderstwem:

— Kto pan jesteś?

— Jestem wasz rozkazodawca, zbiegowie.

— Jeżeli pan jesteś z nami, to jesteś także zbiegiem, rozkazodawco.

— Jestem wasz oficer, żołnierze, którzy walczyacie za pomocą ucieczki.

Młody więzień cisnął na ziemię rydel. Schylił się i ruszył z powrotem, w kierunku galeryi murowanych, skąd był przyszedł.

Rozłucki krzyknął nań:

— Na miejsce! Za rydel! Do roboty!

Rudy odwrócił się, zawahał i cofnął na miejsce w niszy. Porwał znowu za rydel. Nim jednak rozpoczął pracę nanowo, spojrział na Piotra z niewysłowioną zuchwałością. W jego posłusznej i zacieklej pracy było więcej dumy, niż w skinieniach szpady wodza.

Dwaj kopacze, wyrzucający wciąż glinę z jamy, którą wybili za wezglowiem korytarza, miotali się w tej czeluści wściekłymi ruchy, jak para czarnych jamników. Góra gliny wyrastała wciąż poza ich plecami w komorach hornów, pomimo nieustannego trudu rudego młodzieńca. Zdawało się w ciemności, że ta żółta ziemia kotłuje się i kipi kłę-



bami, jak woda w źródle. W korytarzu, w kierunku fortu słycać wciąż było głuchy jęk ziemi, miotanej w dal. Powietrze stało się tak dalece zepsute, że światło latarni w niem przygasało.

Rozłucki sam uczuł w całym ciele gorąco, bicie gwałtowne pulsów i niesłychany a wciąż wzmagający się ból głowy. W uszach poczęły bić jakby dzwonki elektryczne i rozlegał się huk, jakby odgłos pędzącego pociągu. Głowa chodziła kołem. Zdawało się, że ludzie, których w słabym półświecie widział, oddalają się. Coraz niewyraźniej słyszał odgłos ich roboty. Ziemia odrywana z calizny i miotana po chodniku padała coraz ciszej i jakby gdzieś za grubą ścianą, w próżnię. Wreszcie poczuł mgłości, skłonność do wymiotów. Czuł, że chwieje się na nogach.

— Prędzaj! — krzyknął, wznosząc wyżej latarnię.

Własny głos posłyszał ze zdumieniem spadający z wielkiej wysokości jakby w górską szczelinę.

— Czy jeszcze daleko? — jęknął jakiś głos przed nim, czy za nim.

— Prędzaj — krzyknął z całej mocy.

— Czy jeszcze daleko? — pytał tensam głos.

— Kto mówi?

— To ja, kopacz.

— Do roboty!

— Całe sobacze życie robię! Zawsze ino ktoś nademną stoi i, jak na psa, woła na mnie: „do roboty“! „prędzaj“!

— Za rydel!

- To kop sam! Ja się już spracował.
- Ja tosamo! — rzekł drugi.
- Zdychać, to zdychać...
- Niech zdycha świat!

Latarnia zgasała. Piotr oparł się plecami o ścianę i marzył. Zdało mu się, że ramię jego opiera się o ramię Tatjany. Idą w Paryżu ciemną ulicą, dokądś daleko. Mży wiosenny paryski deszczyk. Lśnią chodniki. Przytuliła do ramienia czarodziejski poli-czek i nie chce go oderwać. Czerwone uchyliły się wargi i białe zęby odsłania uśmiech jej mił-o-sny...

Ktoś jęknął. Ktoś błaga o pomoc. Gdzie to? Piotr nachylił się, upadł na kolana i doznał ohy-dnego otrzeźwienia: Tani już dawno niema... Zgniła już dawno w tej nieprzebytej, cuchnącej glinie!

Natrafiał rękoma na mokrą glinę, później na czy-jaś głowę. Podniósł ją w dłoniach i przypomniał sobie, że chorego z dusznicy minierskiej trzeba trzymać w postawie siedzącej i głowę mu dźwigać do góry. Począł dźwigać tę głowę do góry, lecz sam zwałił się na kupę gliny, miękiej, jak pierze. Za tą gliną słycać było chargin i szamotanie się. Piotr na czworakach wpełzł w jamę, wybitą przez kopaczów. Wczołgał się na ich ciała, leżące na ziemi. Namacał rękoma drąg żelazny. Klęcząc, po-czął nim bić w glinę i borować koło. Ostatnia w mózgu myśl dyktowała mu te czyny. To jedno jeszcze wiedział, że powinien już być koniec pła-skowzgorza, zarwanie się gruntu i osypisko rzeczne. Z otworu, który drągiem wyrobił, struga powietrza



pociągnęła błogosławionym wiewem. Uderzył drągiem jeszcze raz z całej siły i trafił w próżnię. Wtedy podsadził się pod ramiona pierwszego z brzegu kopacza, przywłókł go do samej ściany i głowę mu wepchnął w otwór. Tamten wachał powietrze całą piersią, pił je całym, zdawało się, ciałem, wciągał w siebie nienasycenie. Wykręcił się wnet o własnej sile i począł pazurami, łokciami, całym sobą wypychać ziemię nazewnątrz. Gdy otwór był już zupełny, znalazł za sobą głowę omdlałego towarzysza. Nastawił ją w stronę czystego prądu — i wnet go ocucił. Obadwaj pochwycili za rydle. Piotr, który cofnął się z powrotem do galeryi, słyszał ich wściekłe głosy:

— Jeszcze! Wicek, jeszcze! A dy przecie! Bij na wylot! Odwalaj! Na całego! Powietrze!

Otwór był wybity. Jeden z robotników wylazł nim na wolność.

Leżąc na kupie gliny, Rozłucki ugniatał ją ciężarem swego ciała, ażeby jak najwięcej powietrza wpuścić do galeryi. Z jej głębi dochodziły go jęki i stękania. Chwycił pod pachy pierwszego człowieka z brzegu i wywłókł go z nory nazewnątrz. Razem z nim stoczył się w kolczaste krzaki. Zrozumiał, gdzie jest. Przeciągnął się w barach, w stwach i raz wraz strząsał ze siebie ohydę podziemną.

— Wy, zbiegi! — zawołał zcicha.

Odezwało się dwu.

— Ilu was tu jest?

— My tu dwaj, co my kopali w przodzie.

— Marsz do jamy po tamtych!

— Och, znowu! Wiecznie my!

— Wyciągać ich po kolei, żywy, czy umarły.

Ciemne ich figury znikły w jamie. Leżący u stóp począł wzdychać, szamotać się, coś bełkotać. Kopa-cze wnet wypchnęli z otworu, niby tłomok, jęczącą, czarną masę. Stoczyła się w krzaki, — poczęła stękać, otrząsać się, poruszać, ziewać, wreszcie coś szeptać. Wkrótce wyciągnięto drugiego, trzeciego, czwartego, — aż do ostatniego z szeregu. Dwaj pierwsi rachowali w ciemności. Wymawiali szeptem imiona, czy przezwiska. Tamci pluli, otrząsali się, strzepywali ze siebie śmierć i glinę. Zdawało się, że to ziemne robactwo roi się w mroku, wypełźszy ze swej nory.

— Żywi wszyscy? — zapytał Rozłucki.

Szarpano tych i owych, prostowano ich i podnoszono do góry głowy zwieszzone. Ktoś rzekł:

— Są wszyscy.

— Jesteście na brzegu rzeki. Tutaj są wasze pieniądze, odebrane od Murłyka. Jedni teraz w prawo, drudzy w lewo! Nogi za pas! Bywajcie zdrowi!

— Bóg zapłać! — rzekł jakiś głos w mroku.

— Bywaj zdrów, oficerze! — rzekł głos inny.

Piotr go poznał. Wsunął w pierwszą z brzegu dłoń pieniądze. Krzaki w ciemnościach zatrzeszczały w jednym i drugim kierunku. Słysząc było szelest wiklin i rokitnicy, deptanej i łamanej w pośpiechu. Zadudniała ziemia. Wiatr przyniósł zdaleka jakiś prędki okrzyk, później coś, jak szept. Wreszcie nastąpiła cisza nocna. Piotr nasłuchiwał. Nasłuchiwał



zrazu zewnętrznej mowy, którą noc przemawia, rzeka szeleszcze, wiatr śwista. Później nasłuchiwał wewnętrznej mowy, którą wyrażała się jego istota niewiadoma, w głębokości jestestwa utajona. Zadumał się nad sobą, nad światem, nad wszystkim, — zatonął w sobie bardziej, niż w tej głębokiej — głębokiej nocy. Poczłł wszystkim swoim jestestwem niezmierną nędzę i zupełną samotność człowieka. To, co go samego łączyło z Bogiem, ze światem i ziemią, — miłość, — stało się rozłączeniem z Bogiem i światem, a pochłonięte zostało przez ziemię i noc. Jakże to miał zrozumieć? Jakże się miał pogodzić i ulec? Jakże miał zaprzestać wewnętrznej walki, kiedy każda chwila była przypomnieniem i każda buntem? Stojąc tam na urwisku, ponad rzeką w mroku szumiącą, poczał płakać zaiste krwawemi łzami w tę głuchą noc, — jęczeć w głębi swej po utraconej miłości, która była wszystkim, a znikła i zamieniła się w nic. Wyciągnął w bezwiedzy człowieczej ręce i skamlał u tej potęgi, która świat trzyma, u tego ogromu niepojętego, którym jest światło dnia i ciemność nocy, niebios a i ziemia, życie i zgnilizna, — o łaskę ulgi w dusznej niewiedzy, o tę jedyną wiadomość, której od lat serce spalone pragnęło...

Dopraszał się z głębokości swojej niedoli tej jednej jedynej wskazówki:

— Gdzie ty jesteś, Taniu?

Milczała ciemna noc. Głucho szumiała ukryta w mroku rzeka. Leciał w dal martwy wiatr. O ja-

kiejs porze tej nocy Piotr ocknął się w sobie i spojrział nazewnątrz siebie. A więc — uciekł!

Zmocował się w sobie i dźwignął. Spojrzał na groźne w mrocznem niebie bryły, linie i załamania fortu. Podniósł dłoń prawą do czoła i salutował je po raz ostatni.

Następnie odwrócił się i salutował daleką w tej ziemi mogiłę ojca-wodza. Uśmiech spłynął na jego usta. Męstwo na duszę.

Równym krokiem poszedł w bok, naukos od fortu w kierunku stacyi kolejowej.

Daleko po zmarzniętej grudzie huczał kędyś za lasami nadchodzący pociąg.



## V.

Obudził się rano i leniwie wodził oczyma po ścianach hotelowego numeru. Przypomniiał, gdzie jest. Kraków! Wszystkie okoliczności ucieczki, wyczekiwanie w chałupie przemytnika, przejście granicy, pochód w nocy po wertepach i ścieżkach — zdały się jak sen nocny. Rozłucki wstał z łóżka i przeciągnął się, aż wszystkie kości zatrzeszczały. Otworzył okno, wychodzące na zamknięty dziedzińczyk, gdzie wokół piętra biegła drewniana balustrada. W głębi jacyś ludzie głośno rozmawiali, kłócąc się o swoje interesy, nic nie mające wspólnego z idejami, które ożywiały zbiega. Wysoko nad tą krakowską studnią wznosiło się czyste niebo. Chłodny wiatr poganiał w niem pierzaste chmury. Piotr podniósł oczy ku tym chmurom dalekim. Zdały mu się być siostrami, były znajome, jedynie bliskie w tem najbardziej polskiem, ojczystem jego mieście.

Gdy tam stał u otwartego okna, goniąc oczyma obłoki, jakgdyby spomiędzy obłoków tych, z wysoka, z wysoka zaczął spadać dźwięk wzniosły i piękny, prastara pieśń, hejnał z wieży maryackiej. Piotr wsłuchał się w ten nieznany, a tak natych-

miast i bezwzględnie własny głos, który z głębi wieków mówił do samotności syna... Serce zdrożone nastawiło się, jak grot włóczni, znowu do dzieła. Oczy poleciały znowu ku chmurom pełne tęsknoty i niezłomna wola postanowiła z żelazną mocą lecieć, jak one chmury.

Błogosławiona pieśń nie ustawała.

Jakoby skrzydła silnego anioła podłożyła się pod czujną a strudzoną duszę. Zatoczyła coraz wyższe, orle koła...





## VI.

Po upływie pewnego czasu w bardzo niedro-  
giej restauracyi, gdzie Piotr jadał, spotkał się oko-  
w oko z Wolskim. Przywitali się z wielką wzaje-  
mną satysfakcją. Okazało się, że Wolski siedzi już  
od dłuższego czasu w Krakowie i że już z pism  
publicznych wiedział o awanturniczej Piotra ucie-  
czce, ale nie mógł przypuścić, żeby taki sławny  
uciekier miał siedzieć w Krakowie. Był to pier-  
wszy człowiek, którego Rozłucki znał i z którym  
mówił otwarcie w tem mieście. To też szczerze był  
rad. Lecz Wolski był nie w humorze, zasępi-  
ony i zaambarasowany, a nawet chwilami tak przybity,  
że prawie nieprzytomny. Na indagacye ex-oficera  
odpowiadał półgębkiem, niechętnie i, co było naj-  
dziwniejsze, zgryźliwie. Dopiero po pewnym cza-  
sie, gdy razem wyszli na planty, przyznał się, że  
jest w nadzwyczajnie ciężkich kłopotach, gdyż ma  
tu w Krakowie proces — i to proces nielada, bo  
o roztrwonienie pieniędzy publicznych. Piotr osłu-  
piał. Ksiądz Wolski i roztrwonienie pieniędzy pu-  
blicznych? Kiedy takie pytanie ze zdumieniem za-  
dawał, twarz Wolskiego mieniła się i ze wstydu  
dziwnie zapadała. Na prośbę o wyjaśnienie, wsty-

dząc się i czerwieniąc, Wolski oświadczył, że po przybyciu do Krakowa został oskarżony o roztrwonienie składek specjalnych, zebranych dawniejszemi czasy przez pewne grona ludzkie na rzecz unitów. Na pytanie, czy nie może się z tego wytlomaczyć i usprawiedliwić, odpowiedział, że nie może ze wszystkiego, gdyż w istocie niektóre wydatki z tych właśnie funduszków czynił nieopatrznie, bez pobrania kwitów, niektóre kwity poniszczył umyślnie dla ostrożności, w ciągłej obawie rewizyi i skompromitowania ludzi, a niektóre sumy powydawał na cele ze sprawą związane, lecz uboczne. Są także rzeczy, których sobie przypomnieć nie może. Piotr złościł się z miejsca i wprost wymyślał, jak można w rachunkach nie mieć wszystkiego na piśmie. Ksiądz wstydział się znowu i przysięgał, że wszystko wydał uczciwie, dla siebie nie wziął na owinięcie palca...

— E, tam z tym palcem! — krzyknął Piotr.

— Jednego szeląga bezprawnie nie wydałem...

— I z tym znowu szelągiem! Toć wiem. Przyszczypki u butów, jak wrota u stodoły — i roztrwonienie! Któż to oskarża?

— No któżby? Kler.

— Ale mianowicie, co za jedni?

— Prawowierni, piastunowie cnoty, zelanci z tłustych prebend i posad.

— Jakież mają dowody?

— Dowody są. Och, to ciekawe! Ja patrzę i słucham uważnie, bo to moja przecie sprawa



i moja dobra sława w grę wchodzi, a nie mogę się oprzeć podziwowi, jak to na świecie jest...

Ludzie obojętni, którzy nic o tej sprawie nie słyszeli, sądzą mię za moje gorzkie trudy. Ja jeden wiem, ile w tem, co oni mówią, jest bezprawia i mojej krzywdy, nieprawdy i ich faryzeizmu, a dowody po ich są stronie.

— Ale jakież dowody, — później będziemy na ten temat filozofować...

— Dowody są takie. Po pierwsze — moje stwierdzenie prawdy o pobraniu sum. Po drugie zeznania ludzi złych, którzy przeciwko mnie świadczą!

— Co to za ludzie?

— Jedni pienią się, iżem jest odszczepieniec, a inni mają w tem interes, żeby zeznawać tak, jak to leży w interesie możnych. Moźni zaś są za tem, żeby mnie w ten sposób zgubić.

— Któż to są ci moźni?

— Tutejsi, którzy oddawna zęby na mnie ostrzyli.

Ale głównie Nastawa.

— Co znowu? Ten!

— A ten. Jego to przecie dzieło.

— Doprawdy?

Piotr pokiwał głową, uśmiechnął się...

— Gdzież to ów sąd się odbywa?

— Tu w jednym klasztorze.

— Czy hrabia Nastawa występuje tam osobiście, jako świadek?

— Owszem jest, ale to tam...

— Cóż niby?

— Niby to on jest mój stronnik, nawet obrońca.

Co mię obroni w pompatycznym przemówieniu, to czuję, jakby mię ziemią przysypał.

— A któż w sądzie zasiada?

— Starcy, zasłużeńcy, mężowie nauki, sławy, cnoty, niemal święci.

— A czy też ja nie mógłbym przypadkiem stać także, jako świadek?

— Świadek, — a czego?

Podniósł na przyjaciela oczy smutne, pełne żalu i miłości.

— No, choćby też tamtej nocy.

— Cóż to ma jedno z drugim? Takich nocy miałem niemało, ale przecie nie o to tam chodzi, tylko o pieniądze. Chcą ze mnie zrobić złodzieja, bo tak będzie najłatwiej mię ubić, chcą ze mnie zrobić złodzieja, bo to potrzebne do tezy, że taki, jak ja, odszczepieniec, musi, a nawet powinien być złodziejem. Po to zostaje się odszczepieńcem, żeby być złodziejem. Więc udowodnią. Cóż pan możesz pomóc w walce z Nastawą? To człowiek potężny.

— A ja właśnie przeciwko niemu radbym świadczyc. Z nim się zewrzeć.

— Nie, to na nic! Niema punktu, do którego mógłbyś być powołany.

— Mogę być przecie powołany do punktu stwierdzenia prawdy...

— Prawdy... — uśmiechnął się Wolski z niewymowną goryczą i zaiste krwawą ironią. Szli ciemnymi uliczkami. Deszcz mżył i lepkie błoto krakowskie pryskało im spod nóg. Mijali ciasne sienie starych domów, mroczne zaułki, źle oświetlone aleje.



Wolski ciapał wielkimi butami po kamieniach, nie patrząc, gdzie te buty stawia. Rozłucki zwrócił mu uwagę:

— Niech-no ksiądz idzie mniej idealistycznie po tym padole, bo już mam spodnie pobryzgane dzięki takiemu systematowi spacerów po tym Krakowie.

— Przepraszam. Ostatecznie mógłbyś pan być powołany, jako świadek z mej strony, bo ja dotąd ani jednego świadka nie powołałem. A tam po ci-chu kwestyonują wogóle moją pracę. Mówi się do ucha: pieniądze trwonіл z dziewczętami po miasteczkach. Przyjdzie jeszcze taki, co powie: — kto go wie, czy to nie szpieg?... A będzie i taki, co drugiemu szepnie do ucha: — mówią, że to szpieg...

— Wiem, wiem...

— Jeśli nie kwestyonują mojej pracy głośno, jawnie, to jednak robią z niej byle co, albo przedstawiają jako coś mdłego, nikłego, ułomnego. Należało robić tak i tak, a ja oto, com robił? Mdle, słabo, zcicha... Ale tego, jak należało, żaden nawet ze słyhu nie zna i krokiem tam nie poszedł, nie spojrzal w tamtą stronę. O, mocny Boże mój!

— No, więc idę tam!

— Ba! A jakże się pan nazwiesz? Przecie powinienes wymieniç swe nazwisko, swe generalia...

— Zamelduję się oskarżycielowi, świadkowi, czy obrońcy, hrabiemu Nastawie. Poproszę go, żeby zaświadczył, iżem jest człowiek dobrej wiary. A chociaż nazwiska dobrego w tych stronach nie mam, przecież świadczyć mogę. On to dla mnie zrobi.

Piotr roześmiał się głośno i zamilkł. Latarnie

były coraz rzadsze, błoto zaś coraz obfitsze i jakby solidniejsze. Przybyli do dzielnicy ubogich. Rozłutki zrobił uwagę, iż Kraków jest miastem przedziwnej piękności, jedynem w Polsce, a może nawet w Europie, — ale od pierwszego piętra ku górze. Dół jest bardzo nieładny. Takiej zaś biedy, jak w Krakowie, nie znajdzie w Polsce, nie mówiąc już o Europie.

W zawiłych uliczkach trafili na ogromny gmach klasztoru. Wolski prowadził. Weszli w bramę i w korytarze, zimne, jak lochy. Brnęli w górę po płaskich i wygodnych schodach z ciosu, które powyżłabiane zostały przez tysiące stóp w ciągu wieków. Nareszcie dostali się do korytarza słabo oświetlonego, który zdawał się nie mieć końca. Wolski szedł coraz szybciej i w coraz oczywistym niepokoju. Tracił zewnętrzną, świecką swadę i stawał się strwożonym księdzem. Ręce mu drżały, gdy kołatał we drzwi, głęboko w mur wpuszczone. Ktoś je otworzył tak niepostrzeżenie, jakby się same rozwarły. Weszli do sali obszernej po kilku stopniach kamiennych na dół prowadzących. Sala ta słabo była oświetlona lampą, stojącą w głębi, na dużym stole. Pod ścianami, na szerokich, drewnianych ławach siedzieli jacyś ludzie. Z tej sali prowadził do drugiej szczególnego rodzaju otwór, bez drzwi, przedzielony po środku słupem. Było coś grubo niezgrabnego, ponurego i budzącego wstręt w tej jamie, wiodącej do głębi. W drugiej izbie, równie obszernej, widać było stół założony papierami i bardzo rzęsiście oświetlony przez dwie duże



naftowe lampy. Nikt przy tym stole nie siedział, lecz od pierwszego rzutu oka widziało się, że tam właśnie jest trybunał. Wolski przysiadł na ławie w pierwszej sali i zatrzymał tam Piotra. Był wzburzony, zgorączkowany, wewnątrz przejęty swą sprawą i okolicznościami jej towarzyszącymi w sposób charakterystyczny, jak to bywa z ludźmi, którzy są pod ciężkim zarzutem w sądzie. Jeżeli mówił o jakim przedmiocie postronnym, to widać było, że o nim prawie nie myśli. Twarz miał zniszczoną, przeżartą przez jednostajne zmory, które wewnątrz jego szarpały. Piotr przypatrywał mu się z ukosa i zadawał sobie pytanie, czy ten człowiek popełnił zarzucane mu występki, czy nie. Nie przyszedł do żadnego przeświadczenia.

Ludzie, siedzący na ławach, drzemali. Było ich kilku. Jeden z nich był to prostak o rysach pospolicznych, drugi, ubrany z waszecia, trzeci jakiś miejski jegomość wytarty, w długim surducie z ostrzyżoną „na jeża“ głową, czwarty — mieszczanin w długich butach, piąty, typowy podlasiak, o rysach suchych i czarnych a siwych oczach. Spoglądali na Wolskiego nieufnie, pogardliwie i z nienawiścią. Szczególniej ów trzeci z rzędu, młody w długim surducie, o krostowatej twarzy, powleczonej anielskim uśmiechem, mierzył go wciąż oczyma od stóp do głów, jakby mu brał miarę na trumnę. Wolski milczał, sapał, poprawiał na sobie, a raczej szarpał przyciasne ubranie. Piotr trącił go w bok i zapytał, kto są ci ludzie. Odpowiedział, że to świadkowie. Zaraz też począł wyłuszczać długi i nie-

zmiernie zawikłany wywód o owym w surducie, o jakichś listach przejętych, o cytatach poprzekręcanych, o fałszywości zestawień... Piotr nic z tego nie pojął, tem bardziej, że w głębi drugiej sali drzwi się otwarły i wszedł w pełnym składzie — sąd.

Wsunął się najprzód stary ksiądz z twarzą suchą, rozumną i dobrotliwą. Włosy miał już dobrze przyprószone siwizną, oczy osadzone głęboko, mądre i łaskawe. Za nim wtoczył się zakonnik otyły, łyśy, o twarzy okrągłej i tłustej, o oczach władczych i potężnych. Grube jego usta zdały się być stworzone do wydawania rozkazów, ręce do zginania karków. Trzeci z sędziów był to cywilny staruszek, z białą „hiszpanką“ i białemi wąsami, ruchliwy i niezmiernie elegancki. Czwarty, również cywilny, młody, dwudziestokilkoletni jegomość, zażywny i tęgi, niskiego wzrostu. Natrętne jego oczy z jakąś nieodstępną zajadłością spoglądały spoza binokli. Ostatni z sędziów, również świecki, był to młody jeszcze człowiek, łyśy, lecz bardzo przystojny, o brodzie kruczej, aksamitnych oczach i ustach aż lubieżnie pięknych. Sędziowie ci bez żadnej ostentacyi zajęli miejsca za stołem i przewodniczący, — ów duchowny starszy wiekiem, — pocziwym głosem przywołał do tamtej sali Wolskiego i świadków. Wszyscy natychmiast ruszyli się z miejsc. Wolski ręką drżącą z nerwowego wzruszenia ujął Piotra pod ramię i wprowadził do silnie oświetlonej sali. Zwrócił się do przewodniczącego z zawiadomieniem, że przyprowadza swego świadka, który niewiele wprawdzie może dorzucić do istoty sprawy,



lecz co do niektórych szczegółów da wyjaśnienia. Sędziowie porozumieli się pomiędzy sobą i, po pewnym wahaniu, przystali. Sekretarz, ów niski w binoklach, zapytał:

— Nazwisko świadka?

Rozłucki rzekł oschle:

— Niepotrzeba pisać nazwiska. Chodzi o istotę rzeczy, nie o osobę. Niech pan napisze imię świadka, Piotr, — to wystarczy.

Sekretarz zmierzył go impertynenckimi oczami od stóp do głów — i zapytał sędziów, co ma zapisać. Naradzano się przez chwilę i, w sposób dość pogardliwy, nie badając, czemu świadek nie chce podać swego nazwiska, zgodzono się na zanotowanie go tylko z imienia. Rozłucki usiadł w pobliżu stołu na krześle, w jasnym świetle lampy i począł przyglądać się sędziom. Nie budzili w nim niechęci. Przeciwnie, — podobali mu się, jako typy, jako figury ciekawe i interesujące, — ale nie miał do nich serca. Cała ta sprawa, wytoczona przeciwko Wolskiemu, którego był widział w lesie i polu podlaskiem, wydawała mu się być wierutnym ludzkim głupstwem. Tłusty zakonnik, prowadzący dochodzenie, przedkładał prezesowi wyniki dotychczasowe. W trakcie tego skinął głową ku młodemu jegomościowi w surducie do kolan, siedzącemu w kątku sali, obok wielkiej szafy. Tamten wstał natychmiast. Błado błękitne jego oczy patrzyły łagodnie i niemal nabożnie, pociągła twarz wyrażała czystość serca i gotowość do wszelkiej ofiary.

— Panie Sikorski, — mówił zakonnik, — pro-

szę nam szczegółowo wyjaśnić sprawę pożyczki, udzielonej przez „pana Wolskiego“ rodzinie Natalii Mikuciówny.

Zapytany podniósł oczy w niebo, jakby tam szukał natchnienia, i wnet począł wydobywać ze siebie głosem cichym i rzewnym długi donos na „pana Wolskiego“, przedstawiający „zgoła niereligijny stosunek“, który łączył „pana Wolskiego“ z Natalią Mikuciówną. Stosunek ten „według zdania“ świadka był przyczyną i motywem udzielenia owej pożyczki. Wywód pana Sikorskiego trwał niezmiernie długo, był zawiły, zahaczający o setkę zdarzeń banalnych, wypadków najpospolitszych, czyichś opowiadań, podsłuchań, doniesień, plotek...

Podczas zeznań tego świadka wszedł do sali hrabia Nastawa. Za nim — cały szereg osób duchownych i świeckich, grupami i pojedynczo. Wszyscy przybywali tąsamą drogą co Wolski z Piotrem, — przez dużą salę. Hrabia Nastawa, wkroczywszy do izby sądowej krokiem cichym, bezszelstnym, elastycznym, obdarzył sędziów niskim ukłonem i łagodnie skierował oczy w stronę Piotra. Ujrzawszy go tutaj, doświadczył, widocznie, nad wyraz nieprzyjemnego wrażenia, gdyż on, tak nadzwyczajnie pewny siebie i towarzysko wyszkolony, nie mógł tego ukryć. Stał przez chwilę znieruchomiał, jakby się wahał w głębi siebie, jak pokonać wrażenie. Wreszcie skinął w tę stronę, gdzie Rozłucki siedział, niepostrzeżenie głową, zawrócił się na miejscu i usiadł zdala, w drugim końcu izby.

Trwało dalej interesujące zeznanie pana Sikor-



skiego. Zakonnik stawiał pytania: — kto, kiedy, jak, ile, skąd, dokąd, po co, z kim? — i tak dalej. Sekretarz sądu spisywał szybko i dokładnie rzeczy podane. Kiedyniekiedy zakonnik łagodnym ruchem tłustych rąk odwijał rękawy habitu i wówczas czyniło to wrażenie, że się „braciszek“ zabiera do ostatecznego opracowania ofiary. Białe i pulchne jego palce, złożone pobożnie na piersiach, zaciskały się dobrotliwie, gdy pan Sikorski podawał pewne, niby to nieznaczące szczegółiki, lecz w gruncie rzeczy nitki do skręcenia stryczka dla „pana Wolskiego“. Sekretarz pisał wówczas ołówkiem na wielkich arkuszach, rzucając od czasu do czasu pytanie, albo prośbę o powtórzenie jakiegoś szczegółu, ażeby go mógł trafnie i wiernie wlepić w protokół. W zadawaniu pytań znać było metodę i umiejętność. Były one tylko jakby przykładami, argumentami potwierdzającymi założenie. Trzej pozostali sędziowie siedzieli bez ruchu, słuchając w skupieniu. Gdy skończył wszystkie swe wywody pan Sikorski, przywołano mieszczanina. Ten mało wiedział, o co właściwie w tej sprawie idzie. Ział nienawiścią do Wolskiego, jako do odszczepieńca. Wszystko, co mówił, miało charakter nienawiści. Zeznawał później chłopowina, który raz mówił przychylnie, raz nieprzychylnie dla oskarżonego. Znowu przywołano pana Sikorskiego dla skonstatowania faktów, podanych przez innych świadków. Wytworzyła się istna góra plotek. Zaprzeczano, potwierdzano, piętrzone dowody i burzono je, żeby spiętrzyć inne. Piotr był znudzony. W pewnej

chwili postłyszał, że zakonnik zwraca się wprost do Wolskiego. Tłusty rzymczyk prosił grubego odszczepieńca głosem cichym, pokornym i łagodnym, w którym na dnie brzmiała nuta żelaznej groźby, ażeby nie skazywał sądu na dochodzenie tej rzeczy, lecz wyznał dobrowolnie prawdę. Prosił go przez miłość Pana Jezusa, która „nie mogła przecież wygasnąć w sercu do szczytu“, ażeby nie gorzył słuchaczy wydobywaniem tych rzeczy, spisywaniem ich w protokóle, lecz w krótkich wyrazach wyjął sedno rzeczy, które wiarogodne zeznania już niemal odsłoniły.

— Panie Wolski, — mówił braciszek z drżeniem w głosie, — na rzeczy święte, którym wierność zaprzysiągłeś niegdyś przed ołtarzem, zaklinam cię dziś, ja proch przed Panem, ażebyś nam wszystkim oszczędził przykrości badania, a sobie tem gorszego wstydu. Wzywam też pana, ażebyś te pieniądze, któreś wydał, te grosze, które ubóstwo chrześcijańskie składało na rzecz braci unitów, zwrócił, — ażebyś je oddał do rąk godnych, do rąk, które godnie groszem tym rozporządzą.

Piotr patrzył w owej chwili na wyhodowane, białe, tłuste ręce mnicha z różowemi paznogciami. Miał chęć podejść do tego faryzeusza i powiedzieć mu parę słów do ucha. Lecz nie ruszył się z miejsca. Siedział z przymkniętymi powiekami. Słuchał, co też powie Wolski. Ten wstał z miejsca i, trzymając się poręczy krzesła, jakby w obawie upadku na ziemię, począł coś ze siebie wydębiać. Coś stwierdzał, czemuś zaprzeczał. Cichym głosem, zwró-



cony do owego Sikorskiego, kiwając boleśnie głową, odpierał gołosłownie jego zarzuty w sposób zaiste liryczny, prawie żakowski, nie posiadający żadnej prawnej wartości. Obracając się do sędziów i otyłego zakonnika, według jego żądania, przysięgał, że jest w tej rzeczy niewinny. W innych rzeczach — może tak, w tej — nie. Co do Natalii Mikuciówny, płonąć ze wstydu, wyznawał, że istotnie miał do niej niejaką „męską skłonność“, ale była to zgola platoniczna sympatya. Nigdy jej z tego tytułu pieniędzy nie udzielał. Przeciwnie — i tak dalej... Sekretarz skwapliwie zapisywał te jego ekspektora-cye, szczególnie co do „innych rzeczy“. Tłumaczenie się Wolskiego sprawiło wrażenie jaknajgorsze. Nie postawił żadnego niezbitego dowodu swej niewinności. Mówił o jakichś amorach, a co do spraw pieniężnych przysięgał, dawał wielokroć słowo honoru. Jeden z sędziów, ów młody z czarną brodą, zabrał głos i podkreślał tę okoliczność, iż pan Wolski, który przed chwilą przyznał się w całej rozciągłości do „innych rzeczy“, to jest do wykroczeń natury moralnej, — w tej sprawie, o którą chodzi, na tak głębokie i chrześcijańskie postawienie kwestyi, jak to uczynił brat Leon, zachowuje przecież swój sekret. Młody prawnik zwrócił także uwagę na to, że odpieranie zaświadczeń niewątpliwych słowem honoru, czy gołosłowną przysięgą nie może mieć dla sądu znaczenia. Pytał wreszcie, czy pan Wolski może złożyć jakiś dowód rzeczowy, oczywiście, to, co się nazywać może dowodem prawdy, dla obalenia, jeśli nie dowodów, to poszlak winy,

złożonych przez świadków. Wolski znowu powtórzył swe zagmatwane historye, które już Piotr był słyszał. Mówił o sumach wydanych, wyliczał osoby, zdarzenia, wspominał o konieczności niszczenia kwitów. A wreszcie zwiesił głowę, rozłożył ręce — i usiadł na krześle. Zapanowało milczenie. Przewodniczący dał znak Piotrowi, że pragnie go pytać. Zadał też kilka kwestyi co do tego, jak dawno zna pana Wolskiego, co go z nim łączy i co wie w tej sprawie głównej. Rozłucki z szacunkiem odpowiadał na wszelkie te kwestye, ale później zwrócił się z zapytaniem, czy może sam mówić. Otrzymał na to pozwolenie. Prosił przedewszystkiem o wyjaśnienie, jako nieobeznany ze sprawą do gruntu, gdyż od samego jej początku nie był obecny, — czy dobrze pojmuje apostrofę sędziego, którego się tytułuje „bratem Leonem“. Czy w sprawie tej chodzi o stwierdzenie, że pan Wolski roztrwonił sumy, powierzone mu dla celów wyższego porządku, na swe osobiste potrzeby czy przyjemności? Potwierdzono, że tak. Rozłucki zapytał jeszcze, czy to dla udowodnienia swej niewinności ma on dostarczyć materialnego dowodu prawdy? Potwierdzono, że tak właśnie. On rzekł wówczas:

— A więc panowie sędziowie widzicie ten dowód prawdy.

— Gdzież on jest? — zapytał młody prawnik.

— Oto ta postać, — rzekł Piotr, wskazując na Wolskiego.

— Cóż to ma znaczyć?

— Podnieście wyżej światło lampy i obejrzyjcie



oskarżonego od stóp do głowy. Przypatrzcie się na dewszystko jego butom, jego spodniom i surdutowi.

Wolski zwrócił się do Piotra czerwony ze wstydu i wściekły za tego rodzaju obronę. Sędziowie uśmiechnęli się, jedni ironicznie, drudzy pobłażliwie. Wnet jednak schowali te uśmiechy pod swe maski mniemanej obiektywności. Piotr nie dał za wygraną. Mówił coraz spokojniej:

— Czy to jest typ człowieka, który roztrwonil fundusze publiczne?

— Nie poszukujemy typu, lecz badamy szczególny wypadek. Liche ubranie nie jest dowodem przeciwko danemu zarzutowi, a może być nawet argumentem, przemawiającym właśnie na niekorzyść. Ja jednak, osobiście, tego argumentu nie wysuwam. To, co szanowny pan mówi, nie jest wcale ani dowodem przeciw, ani za... — mówił piękny prawnik z jedwabistą brodą. — My poszukujemy dowodów rzeczowych.

— Ja je też dać usiłuję, lecz pan mi przerywa. Jeżeli panowie nie widzicie dowodu istoty rzeczy w tem, com powiedział, to spojrzycie teraz na swe buty, spodnie, surduty i habity...

— Szanowny panie, muszę mu zwrócić uwagę...

— Wy, którzy tego ubogiego o roztrwonienie publicznego grosza sądzicie, spojrzycie na siebie.

— Szanowny panie... — począł mówić pokornym głosem zakonnik, lecz Piotr mu przerwał:

— Wy, w miękie szaty odziani, co ośmielacie się zaczepiać przychodnia, który wraca z puszczy... Tyleście zobaczyli z tego, co się na puszczy dzieje?

Czy był tam który z was, pospołu z tym, oskarżonym?

— Byli tam świadkowie, którzy tu stają mu do oczu... — mówił przewodniczący łagodnie, wskazując na prostych ludzi.

— Ja tam również zajrzałem. Widziałem wówczas tego „pana Wolskiego“, jak był kapłanem w puszczy, w lesie, w nocy, pośród czyhającego nieprzyjaciela. Bóg był z nim i przed Bogiem on otwierał duszę ludu. Gdy wznosił ręce, dusze ludzkie dźwigał ku Bogu. Strzeżcie się, wy, sędziowie!

— Czemże to grozisz nam, mości panie? — zapytał siwy staruszek z „hiszpanką“, dotąd milczący.

— Nie grożę wam niczem. Daję wam tylko pierwsze i ostatnie ostrzeżenie. Weźcie je przecież pod rozwagę, jako najważniejszy argument.

Przewodnik rozprawy patrzył na Piotra głębokim, uważnym, spokojnym i, możnaby powiedzieć, współczującym wzrokiem. Rzekł łagodnie:

— Dziękujemy. Czy nic już więcej nie ma pan do udowodnienia w tej sprawie?

— Owszem, mam jeszcze słowo.

— Słuchamy.

Piotr skierował oczy wprost na hrabiego Nastawę i rzekł wyniosłe, niemal rozkazująco:

— Panie hrabio! Wzywam pana do wyświetlenia i udowodnienia całej dodatniej misji księdza Wolskiego na Podlasiu.

Hrabia Nastawa patrzył na niego obojętnie, jakby wcale nie słyszał. Prezes odezwał się:

— Hrabia Nastawa składał tu już swe zezna-



nia. Porządek badań i ich kierunek jest to rzecz nasza. Po to zostaliśmy do tego sądu wezwani, a na wybór nasz zgodził się oskarżony. Cóż jeszcze, szanowny panie, możesz nam powiedzieć?

— Już nic.

— Bóg zapłać!

Piotr wstał i wyszedł z tej sali do sąsiedniej, pogrążonej prawie w mroku, — gdzie siedział był poprzednio. Tam wyciągnął się na szerokiej ławie, głowę oparłszy o ścianę, i popadł w zamyślenie. Cała sprawa, tocząca się w sąsiedniej izbie, stała mu się obcą, niską i wstrętną. Nie umiał tego wyrozumować i faktami stwierdzić, lecz czuł całym jestestwem istotę prawdy, był z nią w obcowaniu, miał ją niemal w ręku, jak przedmiot, a nie mógł jej ukazać, a, co gorsza, nie mógł nią uderzyć, jak bronią. Wiedział natomiast, że tam, wobec sędziów i milczącej publiczności, mówił głupstwa i głupstwem wywijał, jak bronią. W obliczu tych ludzi przezornych i roztropnych zaszкодził Wolskiemu. Nie chciał też już tam wchodzić po raz wtóry. Tymczasem sprawa toczyła się. Mijały godziny. Była już późna noc, kiedy z izby sądowej, gdzie wciąż jeszcze trwały zeznania, odczytywanie jakichś listów, gdzie gwar indagacyi, wzburzony głos Wolskiego i pytania sędziów raz wraz się rozlegały, — hrabia Nastawa wyszedł do przyległej. Sądząc, że tam niema nikogo, począł przechadzać się w półmroku. Defilując tak, spostrzegł leżącego na ławie, lecz nie zwracał uwagi, w przypuszczeniu widocznie, że to jest ktoś ze świadków. Piotr

patrzył nań długo, nie dając znać o sobie. Minęła tak zapewne z godzina czasu. Wreszcie Rozłucki podniósł się ze swego miejsca i, gdy hrabia Nastawa do niego się zbliżył, pociągnął go za rękaw. Nastawa teraz dopiero ujrzał go przed sobą i poznał. Stali jakiś czas w milczeniu, zaglądając sobie w oczy. Piotr rzekł cicho:

— Znowu tak w zmroku rozmawiamy...

Nastawa milczał.

— To pan ścigasz tutaj Wolskiego... — ciągnął Piotr.

Nastawa milczał.

— Nie będziesz pan przecie tchórzem i, jeżeli go ścigasz, nie zaprziesz się tego?

— Nie widzę potrzeby zdawania przed panem sprawy z tego, co robię.

— A więc pan robisz to, o czem mówię?

— Sama logika rzeczy wskazuje, że tak nie jest i być nie może, lecz gdyby nawet tak było, to i wówczas zabroniłbym panu stawiać mi podobne pytania!

— Jeżeli tak jest, to postanowiłem zanieść do pana prośbę.

— Prośbę? Pan taki dumny i wspaniały?

— Tak jest. Ja taki dumny i wspaniały... Pamiętasz pan naszą rozmowę w powozie?

— Pamiętam ją i nie zapomnę, bądź wasan pewny.

— Mniejsza o zapewnienie, które wasan rzucasz w próżnię. Chodzi o propozycję wówczas uczy-



nioną. Obiecywałeś mi pan złote góry, jeżeli ci się usunę z drogi.

— Ehe — i cóż?

— Otóż teraz gotów jestem... przyjąć pańską propozycję.

— Proszę! I czegoż wasan żądasz za to cenne ustąpienie z placu?

— Wiesz pan aż nadto dobrze, że Wolski jest najzupełniej niewinny, lecz pozory, a raczej nikczemnicy, przemawiają przeciwko niemu. Praca jego będzie uniemożliwiona. Zadadzą mu tutaj śmierć moralną. Uwolnij go pan od tego hańbiącego zarzutu.

Hrabia Nastawa roześmiał się szczerze.

— Śmiejesz się pan?

— Śmieję się z tej pańskiej romantycznej propozycji.

— Dla czego?

— Nie ja tu jestem oskarżycielem, nie ja sędzią, nie ja instancją karzącą, albo uniewinniającą. Jeżeli jest winien, to go sąd, złożony z istnych pereł świata duchownego, z profesorów uniwersytetu i ludzi pierwszorzędnej w zawodzie prawniczym wartości — potępi. Jeżeli jest niewinny, to go ci ludzie napewno oczyszczą.

— Powinieneś pan jeszcze głośniej roześmiać się z tej swojej obłudnej mowy.

— Przypuszczam, wnosząc z przebiegu sprawy, że go jednakże ten sąd nie będzie mógł oczyścić.

— I ja tak sądzę, wnosząc z usposobienia sędziów.

— Pańska ironia chybia celu. Ważniejszy jest byt i moc kościoła, niż honor księdza, entuzyasty. Jeżeli dla dobra kościoła trzeba poświęcić człowieka, to nikt się wahać nie powinien.

— Dobrze to pan tłumaczy.

— Tutaj jednak nie zachodzi, jak sądzę, nawet taka okoliczność. Zobaczymy, jaki to jest człowiek. Rozczarują się obalamuceni, patrząc na ten lichy mosiądz, który chciał połyskiwać, jak złoto. To będzie zysk. Nie można uwodzić gołębih serc blaskiem fałszywym.

— Ten Wolski nie jest to blask fałszywy. Pan to dobrze wiesz.

— Nie jestem pewny. Poczekam na wyrok.

— Potrzebne panu jest jego potępienie, ażebyś mógł owładnąć pewnem sercem gołębiem, ażebyś mógł je poniżyć...

— Miarkuj się pan!

— Nie chcę. Czynię panu propozycję. Poniżam się bez granic, czyniąc tę propozycję pokoju za cenę ocalenia honoru tamtego człowieka.

— Śmieję się z tej pretensjonalnej pozy i z tej pro-pozy-cyi. No i z ciebie, mój młody paniczu. Nie masz już dla mnie żadnej ceny. Dopóki byłeś oficerem, który okrywał mundurem rosyjskim ryngraf tajemniczego polskiego rycerza, budziłeś ciekawość i byłeś, — dla pewnych osób naturalnie, — jakąś zagadkową wielkością. Dziś, gdy zdradziłeś swój wojskowy sztandar i gdyś się stał pospolitym i ordynarnym, codzień spotykanym rewolucyjnym



typem, odarłeś się sam ze wszelkiego uroku. Straciłeś wszelkie znaczenie. Żegnam.

Hrabia Nastawa odszedł wolnym, cichym krokiem do sali sądowej. Piotr został na miejscu. Długo tam tkwił w zamyśleniu głębokiem. Patrzył w oświetlony kwadrat przejścia do mniejszej izby. W pewnej chwili załamał ręce, aż zatrzeszczały, i wyszeptał do duszy swojej jakieś słowo, głuche niby sztylet i jak on schowane w pochwie milczenia. Siadł na ławie, ujął głowę w ręce i patrzył na odległy stół sędziowski. Miał w owych chwilach naczne wrażenie podłości w Polsce. Czuł ją występującą naprzeciwko i nie mógł jej dać rady. Była wobec niego, jakgdyby forma bezkształtna, narzucająca swą wielkość i ciężar, oraz obłudną miękość. Był moment, że zapragnął ze swej duszy wyrwać szpadę, wejść do tamtej sali sądowej i rozpedzić wszystkich tamtych. Samemu osądzić tę sprawę na mocy szpady, na zasadzie prawdy i sumienia! Lecz oto spostrzegł, że nie może stworzyć swojego 18-go Brumaire'a, gdyż szpady u boku już nie ma, a gdyby ją nawet jeszcze posiadał, to byłaby to moc rosyjskiego porządku, nie taka, jakiej pożądał.

Bardzo późno, bodaj już nad ranem, posłyszał rumor. Ludzie wychodzili z sądu gromadnie, gwarząc pomiędzy sobą. Słuchał, co mówią; i z pojedynczych zdań, ze strzępów dyalogu zrozumiał, iż wydano na Wolskiego wyrok potępiający. Potwierdzono wyrokiem oskarżenie, stawiane przez Sikorskiego i innych.

Piotr został na swem miejscu. Chciało mu się spać. To też przekreślił się na bok i natychmiast usnął krótkim zamroczeniem, które czasem nawiedza człowieka, jak najgłębsza tajemnica bytu. Ukazał mu się dziwny jakiś widok, związany z tem, co myślał niedawno, rzeczywisty, jak sceny dopiero co zaobserwowane, a przecie tajemniczy i niepojęty. Obudził go dreszcz nagły, jakby potrząśnięcie za ramię ręką szatana. Siadł na ławie. Szarzało. Przez zakratowane okna wsączał się do sali zimowy świt. Och, jakież nieopisany smutek był w tych pustych, ohydnych izbach, — i w tym żalnym poranku!

Piotr znowu zatrząsł się z zimna. Wstał też zaraz i wyszedł. Trafiał w korytarz długi i mroczny. Z niego na schody. Nie spotkał tam nikogo. Drzwi były poroztwierane. Poblądził w tych długich i przemierzłych sieniach i znalazł się u wejścia do kościoła. Małe drzwiczki, wpuszczone w mur nadzwyczajnej grubości, prowadziły na chór kościelny. Prędko wyłożony był kamiennymi płytami. Było tam pusto i zimno. Krok rozlegał się głośnym echem. Piotr chciał zawrócić, lecz w szarzyźnie półmroku spostrzegł coś czarnego na ziemi. Schylił się i spostrzegł człowieka rozciągniętego. Wpatrzył się weń i poznał: Wolski leżał krzyżem u tych drzwi, prowadzących na chór. Głuchy jęk padał z jego ust w płyty kamienne. Wielkie ciało raz wraz wzdrygnął kurcz boleści — i znowu była cisza, zalegająca te miejsca.

Rozłucki czekał długo, aż się nieszczęśliwy wy-



szlocha. Nie mogąc zaś doczekać się, potracił go końcem buta. Tamten podniósł ciężką głowę i coś wyjęczał.

— Wstawaj! — kazał mu Piotr.

— Kto to?

— No, wstawaj, mówię! Dość tej nędzy. Chodź!

— Dokąd mam iść?

— W świat!

— Już nie chcę!

— Musisz!

— Zostaw mię...

Znowu runął na ziemię i rozkrzyżował na kamieniach ręce. Głowa jego w szlochach poczęła się tacać z boku na bok i tłuc o głazy. Piotr pochylił się, podsadził ręce pod ciężki kadłub i dźwignął go z ziemi.

— Już cię drugi raz dźwigam.

— Zostaw mię!

— Wstawaj, bryło pokory! Chodź w świat!

Postawił go na ziemi, objął ramieniem, ucałował w usta — i pociągnął ze sobą.

## VII.

W małym hoteliku, przy jednej z wąskich uliczek, biegnących w bok od bulwaru Montparnasse, na bardzo wysokiem piętrze sąsiedowali od tygodni Piotr Rozłucki i ex-ksiądz Wolski. Izdebki ich łączył korytarz ciasny i ciemny. Okno z pokoju Piotra wychodziło na ulicę, — księdza na dachy i studzienne podwórka, zastawione mnóstwem okopconych „pawilonów“. Pełno tu było blaszanych kominów i rur, a dymu nie brakowało. Przybyli obadwaj do Paryża, do tej zatoki narodów, portu rozbitków, wielkiej giełdy ambicyi, marzeń, przedsięwzięć... Zamierzali tu pracować, każdy w swojej dziedzinie, — szukać chleba, nauki, pola działania. Wolski przesiadywał w pokoiku Piotra, skoro tylko wrócił z miasta, z wykładów w kolegium francuskim, w Sorbonie, czy gdzieindziej, z bibliotek i muzeów. Piotr rzadko wychodził z domu. Paryż go rozdierał, nękał i wysysał. Trzeba było pokonać siebie, pokonać to miasto miłości, cmentarz duszy. Przebywał tu umyślnie, wchodził w uliczki, w sienie, do kosciołów, wałęsał się po ogrodach i po kawiarniach, wstępował nawet na schody znajome, po których był ongi biegł, jak obłok szczęśliwy niesiony od



wiatru. Chciał zdobyć te miejsca duchem życie tworzącym, pokonać je i zwalczyć w sobie.

Pewnego wieczora, gdy zimowa mgła zasłaniała perspektywy ulic, gdy asfalt lśnił się od wilgoci, a wszystko otulał głęboki zmierzch, byli obadwaj w pokoju Rozłuckiego. Ksiądz szastał się po kawałku wydeptanego dywanika, którym zasłany był środek klitki, — tłukł się o sprzęty, przewracał, co stało na drodze, machał rękami i perorował. Myśl jego pracowała z siłą i radością. Świeżo posłyszany wykład budził w nim ekspansję zdrowia duszy, podniecał do przekonywania bardziej siebie, niż słuchacza. Jeżeli wypowiadał głośno myśli, które mu się kłębiły w głowie, to raczej dla tego, żeby je kształtować, rozwijać i urabiać. Piękno tych nowych myśli zachwycało go, jak wschód słońca. Uśmiechał się i cieszył całą duszą. Niby to polemizował z czymś nazewnątrż, a w gruncie rzeczy szedł za myślą filozofa. Wspiął się na strome ścieżki jego wywodów i głośno uczył.

Piotr słuchał w milczeniu, nie przerywając ani słowem. Od dymu cygara, które Wolski nieustannie ćmił i zapalał, zrobiło się w pokoju duszno. Uchylili okna.

Wtedy, jakby na dany znak, rozległa się i wdarła do izby piosenka starego żebraka bez ręki:

„Non, tu ne sauras jamais  
Oh, toi qu' aujourd' hui j'adore,  
Si je t'aime, si je te hais  
Si je t'aime, si je raille encore“...

Głęboki, żalony, basowy głos wzniosł się i rozpostarł nad nagłą boleścią, jak kondor nad szczeliną jaskini. Rozciągnęły się nad nią czarne jego skrzydła i głęboko zleciał w przepaść bezlitosny cień. Piotr słuchał przez chwilę... Padł na łóżko i odwrócił się twarzą do ściany. Krótki szloch... Słyszał, jak straszna piosenka szybowała nad jego duszą, — potem kręgiem — kręgiem oddalała się, oddalała, tłukąc się w murach sąsiedniej ulicy, — wreszcie z jękiem ostatnim przepadła w szumnym Paryżu.

Piotr przerwał wykład Wolskiego najbardziej nieoczekiwanem oświadczeniem:

— Ja jutro wyjeżdżam z tego Paryża.

— Co znowu! Dokąd?

— Do Ameryki.

— W imię ojca!... A pieniądze?

— Zgodzę się w Hawrze jako majtek na statku przewozowym.

— Do Ameryki! Ależ przecie...

— No, tak, do Ameryki i basta.

— A ja co? — zapytał ksiądz bezradnie.

— Czy ja wiem? Ucz się klecha swych średniowiecznych sylogizmów. A nie to również stań do roboty, jako majtek, albo zgoła tragarz. Siły, chwalić Boga, nie brak.

— Siły nie brak... Ale skądże takie nagłe postanowienie? Przecie pomyśleć... Kiedy?

Nie pytał już jednak dłużej, spojrzawszy na zbielałą twarz towarzysza i na sępie jego oczy.



*CZEŚĆ III.  
ŁOSKOT ŚMIGŁA.*





## I.

Wielki „Cunard“ transatlantycki płynął z New-Yorku do Liverpoolu. Cztery potężne kominy wyrzucały dymy jego palenisk, dwie śruby cięły wody oceanu, pracując z siłą dwudziestu tysięcy koni parowych. Ogromny *steamer*, liczący sto kilkadziesiąt metrów długości i dwadzieścia kilka szerokości, wiozł około czterystu pasażerów pierwszej klasy, czterystu drugiej i tysiąc trzeciej, przy kilkunastu tysiącach ton wagi. Kajuty pierwszej i drugiej klasy, stanowiące dwa piętra, mieściły się nad pokładem. Maszyny tego okrętu była to istna, wielopiętrowa fabryka. Obok wałów, obracających śmigła śrub, wygodnymi chodnikami na samym dnie parowca można było zażywać przechadzki. Ciemny kadłub kołysał się miarowo, pokonywał fale z niezwalczoną siłą. Szedł równo w daleką swoją drogę przez pustynię oceanu.

Była późna noc. Nie odczuwało się wyraźnego wiatru, choć powiew kołysał fale. Pasażerowie pogrążeni byli we śnie po kajutach. Nieliczni tylko bibosze, przyzwyczajeni na lądzie do knajpy, gwarzyli przy kieliszku w bufecie.

Piotr Rozłucki i ex-ksiądz Wolski zajmowali w jednej z kajut klasy drugiej miejsca obok siebie. Mieli jeszcze trzeciego towarzysza, amerykańcina, lecz ten nie spał i należał właśnie do kompanii, przekładającej szklanekę grogu nad sen w dusznym przedziale.

Wolski za to spał nie tylko za dwu towarzyszy, lecz za cały ich dziesiątek. Rozłucki wypo-  
czął już był i teraz, leżąc na górnem łóżku, pa-  
trzał w okienko, które znajdowało się wyżej od  
poziomu morza, lecz tylko cokolwiek nad nim. Kie-  
dyniekiedy szelestna fala zasłaniała szybę. Świecił  
księżyc i z wyżyny swej rozpościerał niespokojny  
powłóczysty blask w morskiem zwierciadle. Wę-  
drowiec doświadczał nienasyconej rozkoszy patrze-  
nia w okrąg tajemniczy, niedostępny dla ludzkiej  
żrenicy, w samotnię oceanową, w wieczność i nie-  
przerwalność jej obrazów. Z jakąż ciekawością pod-  
glądał na miejscu kołysanie się wód, dziwne prace  
fal, podobne do wiecznej igraszki pod uroczem  
księżycyca jaśnieniem, — bytowanie wód, ciemności  
i światła w tych ostępach ślepych, niemych i głu-  
chych, ponad najstraszliwszemi głębiemi kuli ziem-  
skiej! Coraz bardziej zapadając w kontemplację,  
dostrzegał pierwszy raz w życiu to wszystko, co  
samo ze sobą i dla siebie samego w księżycową  
noc czyni niewidzialne morze. Wzburzało się od  
niewytłomaczalnego, wewnętrznego sprzeciwu zdo-  
bywcze i zaborcze serce, gdy oczy nie mogły zna-  
leźć kresu bezgranicza. Myśl nakreślała granice  
i narzucała władzę przestworowi w nich zawar-



temu, idąc za rozkazem człowieczej natury. W rozkazie tym była radość czynna, jakgdyby radość Wilhelma Zdobywcy, gdy wiatry niosły wzdęte jego żagle ku białym Anglii skałom. Było w tem wyzwanie morza i powietrza, wiatru i ciszy, nocy i światła wiecznego. Lecz było także bolesne wzdychanie i walka ze sobą samym. Zdawały się śmiać nieprzerwanem weselem, którego nigdy nie pokona śmiertelny człowiek, zimne fale. Nie znały boleści i nie znały wspomnienia...

Wspominał. Liczył, ile to już upłynęło lat, odkąd porzucił europejski ląd. Narachował ich kilkanaście, które mu włosy przyprószyły siwizną i twarz ciemną barwą powlekły. Przebierał w myśli prace swe po fabrykach automobilów w Ameryce północnej, długie wędrówki za chlebem od Kanady do Parany, trudy na rolach dzikich, karczowanie lasów, osadnictwo, nauczycielstwo w wędrowniej szkole, wysiłki idejowe na dziewiczej glebie chłopskiego dorobkiewiczostwa rodaków, budowanie szkół, przesładowania od tłumu, — krachy pieniężne i idejowe, — ponowne wysiłki zdobycia grosza i wpływu, — a wreszcie wieczną, wszędzie towarzyszącą manię wynalazczą w zakresie lotnictwa. Wszystko to było, jak sen, jak sen...

Dawał się odczuć dosyt tego szarpania się w pracach różnorodnych, iście amerykańskich. Zostawała tęsknota do jednego jeszcze czynu: — lecieć w tamte strony...

Jak sen tłoczyły się widziadła olbrzymich miast, portów, mórz, puszczy, łańcuchów górskich, jezior,

wodospadów, rzek, stepów i pól uprawnych. Ileż to oczy napatrzyły się pracy, geniuszu, tyranii, hazardu, wysiłku, pasyi, ambicyi, niewoli i rozpusty człowieka!

Wszystko to wydało ze siebie jedno pragnienie, zestrzeliło się w jedną dążność: — lecieć w niebiosy... Wszystko na lądach i morzach stało się sprawą znaną. Nowe i ważne było tylko jedno.

Patrzenie w morze podniecało ducha. Widok pienistych obszarów biczował wolę i smagał wyobraźnię...

Wolski ocknął się. Po dzikich parskaniach, stepowem ziewaniu i odchrząknięciach, które mogłyby zbudzić rotę śpiących żołnierzy, „proboszcz“ zapytał, która to jest godzina. Rozłucki spojrział na zegarek i oświadczył, że blisko czwarta. Gasła już sierpniowa noc. Błękitem napełniał się przestwór. Srebrnoszara powłoka niepostrzeżenie rozjaśniała poczęła odległości.

Jak codziennie, dwaj przyjaciele mieli wyjść na wschód słońca. Wolski, tęgi, masywny wielkolud, wylazł ze swego legowiska. Zakrzętnął się około mycia, — cesał gęstą, a dobrze już podsiwiałą czuprynę. Wnet był gotów. Wdziawszy cieplejsze okrycia, wyszli na pokład.

Przedświt rozniecał się nad wodami. Srebrzysty półblask uwydatniał fal grzbiety i przeguby. Pieniły się teraz wyraźnie wełniste warkocze po obudwu stronach brzozy morskiej, wyżłobionej przez statek. Na wschodzie zaczerwieniła się ranna



zorza ponad różą słoneczną, rozkwitającą za wiodnokręgiem odmętów.

Raz wraz wychodzili na pokład pasażerowie, mężczyźni i kobiety, — jedni dobrze wyspani i zdrowi, inni ze śladami podróźniczej choroby i bezsenności na bladych twarzach. Oparci o balustradę, przypatrywali się nieopisanemu widokowi świtania. Wolski z gołą głową mruczał coś do siebie, lub monotennie pośpiewywał, na nikogo nie zwracając uwagi, choć tłum otaczał go i posuwał z miejsca na miejsce. Skończywszy swoje, zwrócił się do Piotra, głośno coś mówiąc po polsku. Jeden z pasażerów, usłyszawszy polskie przemówienie, spojrział na dwu przyjaciół z przyjaznym uśmiechem. Był to szczupły, siwiejący już człowiek w skromnem ubraniu. Twarz miał wygoloną, a minę i powierzchowność przeciętnego anglika. Niebieskie jego oczy, przezrocyste i o dziecięcym wyrazie uśmiechały się wciąż ze szczerą radością. Podszedł do Wolskiego nieśmiało. Ukłonił się i zapytał:

— Panowie polacy?

— Tak jest, jesteśmy polacy... — odpowiedział Wolski.

— Miło mi spotkać... Czy można przyłączyć się do rozmowy?

— Prosimy.

— Nazwisko moje — Gustaw Bezmian.

— Pan jedzie z Ameryki do Europy?

— Teraz to ja z Ameryki. Lecz naprawdę, to z daleka.

— Z daleka?

— Ja z Japonii, a nawet z dalszego kraju.

— Z dalszego jeszcze?

— Z Sachalinu...

Gustaw Bezmian ciągnął śpiewnie, z rosyjska, a, jak to zwykle mówią, — z litewska. Widać było, że po polsku nie mówił bardzo dawno, bo wyrazy ostrożnie obracał w ustach, jakby je nasamprzód przypominał sobie i kształtował, zanim z ust puści. Ale wyrazy same były dobre, widocznie rodzone i własne, siedliska i szaty jego myśli. Mówiąc je, Bezmian doświadczał oczywiście, niejako odświeżonej satysfakcyi, bo się uśmiechał i do tych polskich zdań i do bliźnich, którzy go tak oto po polsku przemawiającego słuchają z uwagą. Rodacy zauważyli jednak, że potwierdzające słówka, — polskie t a k i rosyjskie d a, — spoiły się w ustach Gustawa Bezmiana w pośredni dźwięk d a k, który mu się nieustannie wymykał. Wolski i Rozłucki, przyzwyczajeni na świecie do ludzi wszelkiego typu, ostrożnie milczeli, przypatrując się temu wędrowcowi. On ciągnął:

— W Ameryce ja tylko przejazdem, z Kanady wprost do New-Yorku. Do Europy ciągnie! Bo zbyt już dawno jakości w Azji „zastrzałem“.

— Pan tedy z Azji? Za handlem może? — zaczepił go Wolski.

— Nie, — gdzie mnie do handlu! — uśmiechnął się Bezmian. Chytrze przemilczał kategorię odpowiedzi na pytanie i sam cokolwiek pociągnął rodaków za język.



— A panowie — z Ameryki?

— My — tak. Moje nazwisko — Wolski. A to przyjaciel — Rozłucki.

— Przyjemnie poznać się... Strasznie dawno ja już polaka nie widział, mowy nie słyszał. Uciecha!

— W Ameryce polaków nie brak.

— To wiem, ale ja tam tylko przejazdem, do starej ziemi wzdycham.

— Toż i my jedziemy powąchać dymu polskiego.

— Dobrze, jeśli gdzie komu dym nad domem. A u mnie domu — gdzie szukać?... — westchnął Bezmian.

— Cóżes pan na Sachalinie robił, jeśli zapytać wolno? — wmięszal się do dyskursu Rozłucki.

— Co na Sachalinie do roboty, panowie rodacy, — katorga — dak i tylko.

— Katorga?

— Katorga — dak i tylko... — powtórzył, mierząc obudwu smutnemi oczyma, jakby badał, co też za wrażenie wywrze podobna wiadomość.

— A z jakiego powodu wypadło panu wdać się w taką nieprzyjemność, można zapytać? — indagował Wolski.

— Czemu nie? Zapytać można. Polityk ja z dawnych, „błazeńskich“ lat. Najprzód na śmierć sądzili, — później na Sachalin „pomiłowali“. Wczoraj, zdaje się, było, student w górniczym instytucie, a ot i włosy siwe. Młokos wyjechał, a nic innego, tylko stara klacz wraca...

— No, klacz w żadnym razie! — roześmieli się obadwaj przyjaciele.

— Coś-ci spsociłem językiem! Inaczej pewnie trzeba powiedzieć. Bieda! W ciągu lat mowy w ustach nie miawszy, zapomniał...

— A ileż owych lat przeszło?

— Lat dużo. Dwadzieścia siedm lat będzie. A panowie, przepraszam za natręctwo, z Litwy może?

— Nie, my nie z Litwy, — odrzekł Piotr.

— Ja z Królestwa... — dorzucił Wolski, — a ot, Rozłucki sam nie wiem skąd...

— Z Rosyi... — mruknął ex-oficer.

— Z Rosyi... — westchnął Bezmian, — szerokie słowo...

— Bardzo...

— Och, szerokie! Po świecie jechać — Chiny, Japonia, Wielki ocean, Ameryka, Atlantyk, a słowo to za tobą — tu jak tu...

— Czemu? Czasby wolnością odetchnąć.

— Czasby! A nie może nasz brat. Długo posłuszeństwa uczyli, — wyuczył się. Kiedy to na „schockach“ o wolności perorował, a sam, co ona, nie wiedział. Język naderwało — mówić zapomniał. Teraz, jako ten żak na wakacyach, — czy aby nauczyciel nie podgląda...

— Niedobrze! Polak z dawien dawna wolnym był człowiekiem.

— A z dawien dawna — d a k, — ale wspaniał! To było. Teraz się oduczył.

— Cóż to jest owa katorga? Więzienie jakie?



— Nie. W więzieniu ja niedługo. Na Sachalinie żyłem ja na ziemi, jak osiedleńiec. Chatę miałem, rolę, a nawet znaczenie jakie takie.

— Nawet znaczenie?

— A tak. Począłem ja tam z nudów ajnoski język poznawać. Ajnosy tam mieszkają, — ludek wymierający. No, czasu było dosyć, okoliczności sprzyjały, to i zbadałem do gruntu. Jeden tylko anglikański clergyman tak zna ten język, jak ja. Wyuczyłem się, lepiej, jak tej łaciny. Począłem z nimi żyć, polować, ryby łowić, na wyprawy chodzić. Polubili mię uciśnieni ludkowie.

— A czy są uciśnieni? — pytał Wolski.

— O, i bardzo! Zacznę ja ich uczyć, co sam umiem. Leczę — che — che! — śmiech... Narzędzia im ulepszam, albo sprowadzam — rybackie, rolnicze, łowieckie. Od ucisku i zdzierstwa urzędników zasłaniam. Choć ja i katorżnik, a muszą się ze mną liczyć potentaty. Prośby ajnom piszę do sądu, zażalenia do różnych gubernatorów, artykuły do gazet. On nakradnie, naoszukuje, a ja o tem artykuł. Ajnosów okradł, to i to zrobił... — Popłoch!... Z początku oni na mnie, — karać! No, karz! Ja drugi artykuł! Dali mnie spokój. A że ja ajnoski język umiem, a urzędnicy nie umieją, — to i urzędnicy i ajnosy do mnie, — tłumacz! Przyjdzie rozporządzenie z urzędu, — urząd do mnie papier odsyła, przetłumacz im i powiedz, o co chodzi. A ludkowie idą do sądu, albo potrzebują czegoś od władzy — do mnie, — k' Ustawu. I stałem ja się tam takim niemianowanym urzędem,

Ustaw Bezymiannyj, jak biuro jakie — che, che...

„Ustaw“ roześmiał się serdecznie, aż mu łzy zaświeciły w oczach z tego śmiechu. Ciągnął dalej:

— Takem się rozpędził, żem zaczął tym ajnosom szkoły zakładać. Z początku sam nauczam paru chłopaków. Zdrowe to, pojętne, wesołe. Oczy czarne, głowy foremne, rozum tylko czekał nauki. Co sobie dobrego ucznia wyrobie, posyłam w głąb „strony“: — idź, ucz dalej! Dziewięć szkólek w ten sposób założyłem. A ja nad niemi, jak kurator, albo minister oświecenia. Zjeżdżam niespodziewanie na egzamin, rewizję przeprowadzam, czy tak aby wszystko, jak należy, p o - u s t a w u — che — che...

„Ustaw“ znowu zachichotał, patrząc gdzieś w dal, zapewne w ową ajnoską „stronę“.

— A po jakimuż, w jakim języku nauczają to ministeryum oświecenia?

— Ot, bieda moja! — jęknął „Bezymiannyj“ ze szczerym bólem. — Oni ciebie pałą swoją po głowie, a ty, bracie, ajnoskie dzieci w ich mowie ucz! Ot los! A jak było uczyć? Serceby po polsku ciągnęło, a co ajnom tym z polskiej mowy, z naszego pisma? Żal...

— I dobrze się uczyli?

— Dobrze! Trzech gromady do szkół wysłały.

— Dokąd?

„Bezymiannyj Ustaw“ oczy przymrużył z rozkoszą. Chytry uśmiech błąkał się po jego wargach.

— Nie, — mówił, — już ja moich chłopców w inne ręce! Co który zdolniejszy, przedstawiam



rodowi. Wyposażą, pieniądze dadzą, na statek i do Japonii. Dwaj na ludzi wyszli, — jeden się zepsuł.

Bezmiar począł szperać w ręcznym portfelu, który miał w ręku, wydobyl fotografię grupy osób w japońskich i europejskich strojach, gdzie sam siedział pośrodku między kilkunastoma młodzieńcami. Wśród tych, wyznać trzeba, nie zbyt pociągających figurek pokazywał z lubością dwie ajnoskie, wymieniając jakieś ich kaduczne imiona. Z zawstydzeniem prawie chłopczyńskim, krztusząc się i jękając, mówił w sensie usprawiedliwienia się:

— Ja tu z nimi na tej fotografii razem, bo my później — później w Japonii szkołę taką założyli, jak zakon jaki, albo sekte, czy związek.

— Cóż to za szkoła?

— Ot związek taki... Niby filozoficzny, niby społeczny, niby religijny. Nazywało się to od mojego imienia, — śmiesznie powiedzieć, — „Ustaw Bezymianny“.

— Doprawdy? — uśmiechnęli się obadwaj — Wolski i Rozłucki.

— Należeli do tego młodzi chińczycy, studenci, co tam na uniwersytet japoński zjechali, paru japończyków, dwu moich ajnów, jeden gilak, matematyk, dwu zbiegłych rosyjan i ja, polski katorżnik.

— A jakiemiz zasadami rządziła się sekta?

— Et, — długoby o tem mówić, a znudzić się lękam...

— Niema obawy o znudzenie.

— W samotności i w obcowaniu z ludźmi prze-

medytowałem kult buddyjski, strawilem szintoizm przebiegłych wyspiarzy, zaborczych zdobywców z Japonii. Długo mnie i kajdany rozumu uczyły, aż się stały obojętne, jak odzież. Kajdany uczą rozumieć ucisk, panowie rodacy, — a nadto uczą tęsknić za radością. Ot, i filozofia... Ci, co nie mają na ziemi głosu, pobici od siły, wdeptani w ziemię i znieważeni, niechaj się splecą ramionami i oczy trzymają utkwione w niebo. Ich nadchodzi chwila, ich się rozlegnie głos! Westchnie ziemia, gdy głos ten usłyszy. Polubi świat prawo, które zostało wymyślone przez człowieka w kajdanach.

— Czy tylko polubi? — spytał Rozłucki.

— Polubi... — szepnął Bezmian, pewny swego. Oczy miał zamglone od ekstazy, gdy mówił jeszcze: — Ani to głos zgryzoty, ani grubego optymizmu. My, kajdaniarze, wiemy... Walka, dla zniszczenia ucisku, to dopiero jedno skrzydło. Bo drugie skrzydło — to praca. Jeżeli się oprzeć na pracy, to siła przechodzi na jej stronę i w nią wsiąka. Wtedy prawdą się staje słowo angielskiego poety:

„...what strength? — Opinion is — more frail than yon dim cloud now fading on the moon...“

Cóż jest siła? Siła jest tylko mniemaniem, bardziej wiotkiem niż chmura, która zasłania blask księżycy. Alboż nie?

— Siła jest wszystkim. Ażeby walczyć, trzeba mieć w sobie siłę. Bez walki byłby z jednej strony kwietyzm, z drugiej tryumf złego.



— Kwietyzm?! — zawołał Bezmian. — Praca i kwietyzm!

Twarz jego zmieniła się. Z łagodnej stała się groźną, potężną i wspaniałą. Zabawny uśmiech znikł w wyniosłym spojrzeniu. Dwaj przyjaciele ze zdumieniem ujrzeni przed sobą innego zupełnie człowieka.

— I ja cośkolwiek wiem, co to jest walka... — mówił z pogardliwym ust skrzywieniem. — Nie była mi obcą ta forma. Za moich dawnych lat, kiedy to nas w „kandałki“ poubierali, do Odessy koleją w zakratowanych wagonach, a stamtąd na statek i pod pokład. Mieliśmy jechać na Sokolin ostrow, na ten Sachalin nieznany, — morzem Czarnem, na Konstantynopol, przez morze Czerwone, ocean Indyjski i Wielki. Łby golone, kajdany, upał straszliwy. My pod pokładem i powietrza ani powąchać! No, cóż? Oczywiście ona, — walka. Zbudowałem ja plan, zorganizowałem bunt, jak należy. Rzecz była zrobiona nie głupio. Wypadliśmy w jednej chwili, straż w powrozy, wyważyliśmy drzwi, na pokład. Oficerów i komendanta w postronki. Dak i cóż — walka!... Piers w pierś! Kinzał i nóż. Zębami szarpali... Nadbiegły marynarze, pokonały. Z powrotem pod pokład. Przeprowadzili rury od kotłów parowych do naszych nor i zapowiedzieli, że za najłżejszym objawem buntu, drzwi „zapną“ i parą nas, jak robactwo, w naszych kaźniach wypalą. Trzeba było pazury schować i milczeć. I milczeli my w tych ciepłych miejscach, jadąc bez powietrza, przez Czarne, Czerwone, Indyj-

skie, Wielkie morze. Aż na Sokolin Ostrow. — Oczy Gustawa Bezmiiana zamroczyły się i usta drgnęły, jak u dziecka.

Przyjaciele patrzyli na niego w milczeniu.

— Na Sachalinie próbowałem ja również. Spi-sek, ucieczka, pojmanie. Bitwa w lesie. Nie! Za walką idzie zawsze szpieg, poseł do niej od nikczemności i zgnilizny człowieczej... — mówił w zamyśleniu.

— Za życiem idzie tyfus i ospa. Czyż przeto złe jest życie? Człowiek jest mocen wyniszczyć tyfus i ospę.

Bezmiian mówił ze swym łagodnym uśmiechem, patrząc w przestrzeń:

— Ty jesteś władza, a ja jestem człowiek samotny. Odwracam się do ciebie tyłem i robię swoje, a ty na mnie patrz pilnie, co będę poczynał, i szpieguj. Gołemi rękami zaczynam wykonywać to wszystko, czego ty przenigdy nie zaczniesz. Ty posiadasz władzę, a ja tworzę życie. I oto — twoja władza czcze słowo, a moja robota wzrasta do nieskończoności.

— A jeśli ci to czcze słowo ręce skrępuje i w usta wepchnie knebel?

— To i wówczas ślady moich stóp na ścieżkach, któredy mnie pogonią, będą krzyczeć, a kamienie będą śpiewały.

— Pieśń o niewolniku.

— Kiedym ja ajnosom moim obwieścił, że pora przyszła Bezimiannemu Ustawu z ich ziemi iść w swoje dalekie strony, przyszli do mnie tłumem



z żonami i dziećmi prosić, żebym u nich został na zawsze, żebym się u nich zgodził być za księcia, za naczelnika — che — che... Władzy ja nie szukałem, odpychałem ją, a sama do mnie przyszła. „Ot i jest...”

— I cóż — nie zostałeś pan u nich za księcia?

— Nie. Zmogła mnie wielka ciekawość, jacy też są polscy chłopci. Poznałem naturę ludzką, narodów i plemion się napatrzyłem, a nigdy jeszcze polskiego ludu nie widziałem. W książkach tylko czytam a czytam, że Polska jest na świecie, że wsie stoją w sadach, orzą ludzie, sieją, żną, młóca. A „wszystko“ po polsku mówią. Czyliż nie cud? Zapragnąłem zobaczyć... Bo nigdy, przenigdy ja w tej Polsce nie byłem.

— No i jakże?

— Wymknąłem się na ląd. Pomogli przyjaciele. A jak na ląd — znowu ta wasza walka. Ech! Znowu więzienie, znowu ucieczka, Chiny, Japonia...

Gustaw Bezmian przeciągnął się, rozradował. Wszyscy trzej patrzyli na wschodzące w dali olbrzymie dziwowisko słoneczne.

— Więc pan do kraju? — spytał Wolski.

— Do kraju, to znaczy, żeby koło Warszawy, a może koło Krakowa. Ja w tem ciemny. Boję się, czy aby nie wyśmieją, bo podobno wesoly i prześmiewny naród polski.

— No, plotki! A cóż pan zamierzasz robić?

— A robić ja zamierzam — wszystko. Co trzeba będzie, co moja zwierzchność każe. Ja wszystko! Ja nie pożałuję rąk, nóg, snu, zdrowia...

Szczerze mówię! Tylko żeby na wsi, między prostym, co się nazywa narodem, gdzie uciśnione ludzie...

— Ech, ty, uciśniony! Kajdaniarska naturo... — mówił Rozłucki.

— Źle coś pewnie wyraziłem się?... — zaniepokoił się Bezmian.

— Dobrześ się pan wyraził w niewolniczej swojej mowie.

— Choć ja i mówić dobrze nie umiem, a iedno teraz czuję, jedno wiem...

— Cóż tam jeszcze?

— Powiem wam szczerze, panowie rodacy! Jak dobrze wówczas zrobili ci tam w Petersburgu, że nie powiesili, że tylko na katorgę zesłali!

— Doprawdy? — zaśmiał się Wolski.

— Toż mówię! Bo jakże piękne jest życie, jakże piękne! Całe lata je chwał, nie nachwalisz się. Śmierć przyjdzie, aż-ci postrzegasz, że dopiero pora żyć zacząć...

---



## II.

Zawarta na statku w drodze do Londynu znajomość Gustawa Bezmiana z Wolskim i Rozłuckim przeistoczyła się w przyjaźń, zażyłość, a wreszcie w zupełne pobratymstwo.

Drzwi w drzwi sąsiadujące, niemal wspólne wzięli w Londynie mieszkanie w pewnym boarding-house'ie, razem do Lyons'a chodzili na śniadanie i obiad, — wspólnie zwiedzali londyński ogrom, uczyli się, poznając jego nieprzeliczone skarby, pracowali i szukali rozrywki. Głębokie przeżyli wzruszenia, podziwiając muzeum brytańskie, gdy na własne oczy mogli oglądać prastary, papyrusowy odpis pieśni Homera, mityczny zaiste, jak sama pieśń, — marmur z Rozetty z kluczem dającym możność rozumienia hieroglifów, — złoty Partenonu, albo olbrzymie cementarzysko mumii. Gubili się po całych dniach w kensingtonskich ogromach, — w galeryach sztuki, narodowych i prywatnych, które się stały publicznymi — tak wielkich i prawdziwie nieprzebytych, że zostawał po nich we wspomnieniu chaos i przedrażnienie czucia. Badali wszystko w tem mieście-kolosie:

owoce pracy, zamierzonej na miarę tytaniczną, na setki lat i na następne pokolenia ludzkie, — zbiory, przywiezione ze wszystkich okolic łądu ziemskiego, — dzieła wytwórczej potęgi, przeznaczone do wszystkich okolic kuli ziemskiej i ogarniające wszystkie objawy życia. Ileż rozkoszy dostarczył przyjaciółom ogród botaniczny „Kew“, założony przed trzystu blisko laty, którego egzotyczne drzewa stały się już autochtonami na tym obcym gruncie i ze starości strupieszały, — ogród nie tylko nie do zwiedzenia i poznania, lecz nie do przebycia w ciągu doby! Mierzyli ogrom potęgi brytyjskiej, zwiedzając takie muzea, jak indyjskie i kolonii, — oglądając doki,dzielnice fabryczne, warsztaty, szkoły i instytucye.

Te wielkie dzieła geniuszu, pracy i zuchwałości, to miasto nieskończone, istne oko głowonoga — ośmiornicy, — było dla trzech wędrowców jak gdyby przybliżającym szkłem, przez które patrzyli wciąż w stronę swego przytłuczonego i rozplaszczzonego narodu. Przez każdy wielki objaw spoglądali w zanik, przez każdy zakrój i zamiar w bezduszny popłoch, przez każde wielkie marzenie w nicłość. Cierpienie ich stawało się nieznośne... Słowo „Polska“ oznaczało w tem mieście stek emigracyi żydowskiej w najuboższej dzielnicy, zaprzeczenie kultury i wszystkiego, co ona wypracowała...

Poszczególne każdy z trzech znalazł tu odpowiednie dla siebie zajęcie. Bezmian dostał dużą robotę przy układzie i wydawnictwie wielkiego słownika języków wschodnich. Miał powierzony



sobie dział korekty gwar sachalińskich — i dobrze zarabiał. Pastor anglikański, znawca tychże gwar, nie tylko mu dostarczył zajęcia, polecił wydawcom, ale nadto wprowadził go do towarzystwa filologicznego i zaznajomił z uczonymi. Uczepiły go się również jakieś sto varzyszenia teozoficzno-filozoficzne i odbywały z nim sekretne narady nad bezwzględem zniweczeniem złego na świecie i niezwłocznem zaprowadzeniem powszechnej szczęśliwości.

Wolski, który w Ameryce zarabiał, jako optyk, parę godzin dziennie pracował w Londynie w swoim fachu. Miał on zresztą zarobionego nieco grosza w czasie pobytu za oceanem i tylko z zasady i dla wydoskonalenia się w metodach angielskich robił swoje w pewnej wielkiej oficynie optycznej, gdzie go na podstawie świadectw przyjęto bez trudu do roboty.

Rozłucki badał swą dziedzinę ulubioną, lotnictwo. Znikał czasami na cały dzień, udając się na pola prób lotniczych i do pracowni opętańców manii awiatycznej.

Pewnego dnia wyjechali z ulic City, wrących od najgwałtowniejszego na ziemi ruchu, — do Hampton-Court, starego i cichego królewskiego zamku. Zwiedzili nagromadzone tam dzieła sztuki, samą budowlę, i, stęsknieni do drzew, zanurzyli się w parku. Błądzili po alejach, wysadzonych prastarymi, kilkusetletnimi cisami i doświadczali istnego szczęścia, przypatrując się rabatom kwiatów. Były tam bowiem kwiaty całej ziemi, zgromadzone w ogro-

dzie króla Anglii — i tylko król Anglii mógł sobie na taki kwietnik pozwolić. Zachwycali się odmianami storczyków, irysów, złocieni, a nadewszystko fuksyi, z których pewne, o nazwach, jak „Wschód słońca“, albo „Generał Gordon“, były jak ekstatyczne i najbardziej fantastyczne marzenia w postaci kwiatów. Wśród tych rabat trzej zamilkli, odczuwając w całej rozciągłości błogosławioną siłę wzroku, która dawała możność takie piękno widzieć. Była to bowiem rozkosz równie subtelna, jak dla słuchu symfonia Bethowena. Nadeszła wszakże chwila, kiedy już oczy nie mogły znieść przepychu i różnaitości barw kwiatowych, kiedy w nich barwy te poczęły drgać, mienić się i plątać.

Wyszli wówczas z parku poza jego ogrodzenie, wyminąwszy prosty kołowrot wiejski. Znaleźli się w lipowej alei, tak bardzo starej, że drzewa jej musiały liczyć wiele setek lat. Wokół, jak oko sięgnąć zdołało, leżało pustkowie. Stały się niekoszone łąki o trawie tak żywej i zieloności tak intensywnej, jaką tylko w Anglii widzieć można, i którą tylekroć opisywali jej poeci. Tam i sam na tych królewskich ugorach stał odosobniony, samotny dąb, napewno tysiäcoletni, bo gałęzi już nie miał, a tylko jego olbrzymi pień, bulwami i gruzłami narodził obarczony, starzec, pamiętający rycerzy zakutych w stal, dumiał wśród tego okręgu. Droga w alei była zarośnięta wysoką trawą i nie prowadziła wcale do żadnego celu. Szła w pustą przestrzeń. Była to ziemia króla Anglii, ugor wrócony naturze. Gdy tam przychodził człowiek z pyłów,



wrzawy i męczarni miasta, z pośród pracy szalonej i gonitwy zacieklej, jakże się radował, ujrawszy przedwieczny, niezmacony sen pustkowie! Trzej cudzoziemcy szli tą aleją w milczeniu. Patrzyli w dalekość... Z za starych dębów, grzejących w ciepłym słońcu swe próchno, wysunęło się stado jeleni. Naczelne miejsce zajmował ogromny rogacz. Rozwidlone rogi położył po sobie. Za nim stadko łań mięko brodziło w trawie. Spostrzegłszy trzech ludzi, samiec zmienił kierunek swej wędrówki. Jak złoty połysk jelenie przeszły przez aleję, zatopiły się w rozległości błonia i znikły za horyzontem. Nastąpiła znowu głuchość i cisza, jak kędyś w litewskim boru. Ptak czasami zerwał się spod nóg i zapadł w trawy. Łagodny wiatr poruszał liście lip...

— Czy wiecie, o czym myślę? — zapytał towarzyszków Piotr Rozłucki.

— Bodaj, że wiem... — mruknął Wolski.

— A więc?

— Czas wracać do kraju.

— Wracać! — rzekł Bezmian.

— Wracajmy... „tułacze“, „emigranci“...

— Nie!

— Nie!

— Do stu dyabłów ze wszelką emigracją! Kto musi iść za chlebem, niechże idzie na koniec świata i mieszka, gdzie chce. Lecz do stu dyabłów z przybranym tytułem emigranta, z emeryturą i płaszczem dostojenstwa za zasługi, z których naśmiewa się nieprzyjaciół!

— A czemże byliśmy, czem jesteśmy, czem będziemy?

— Jestem zawsze tam.

— I ja.

— I ja.

— I cóż komu z nas? Cóż my jesteśmy? — Trzej poddani, trzy jednostki...

— Każda jednostka może być potęgą, jeśli się schyli, zarzuci szlę na ramię, rozmnoży swą duszę i siłę.

— Do pracy istniejącej, biernej, dołączymy pracę nową, któraby z Polski uczyniła Anglię!

— Anglię, o, straszne, o, bezlitosne szyderstwo!

— Słuchajcie, wy dwaj... — mówił Rozłucki. — Widzieliśmy przecie świat. Wiemy wszyscy trzej, jak się z niczego stwarza wszystko. Zawrzyjmy tutaj we trzech, w tem milczeniu, wobec tych drzew, które tyle widziały, — spisek. Przysięgnijmy tutaj wobec tego Londynu, który tam huczy, wobec niezmiernej siedziska potęgi, że pomnożymy do najwyższej granicy moc polskiego ducha...

Władzę polską...

— Pracę polską...

— Dobro w Polsce...

— Trzeba królestwo boże w Polsce osadzić. Trzeba podnieść ręce tego ludu do Boga. Trzeba wskrzesić ducha bożego w tym rolnym tłumie... — mówił Wolski.

— Trzeba nauczyć ich dyscypliny ducha, przemienić wszystkich w żołnierzy, których oczy i uszy.



powinny być otwarte, a usta milczeć, jak u anglików. Trzeba nauczyć ich trzymać się prostej linii w szeregu. Niech raz wiedzą, że bez pozwolenia władzy z ducha, bez rozkazu z urzędu najwyższej myśli nie wolno nic, nie wolno nawet za ojczyznę i lud umierać! — mówił Rozłucki.

— Nie! Trzeba najprzód zwalić od przyciesi gwałt brata nad bratem. Nie oszczędzać krzywdy, drzeć ją zębami i pazurami, palić żagwią, oddać dla jej zniszczenia wszystko, do ostatniej koszuli i do ostatniego marzenia. Wtedy dopiero w weselu duszy trzeba rozpocząć pracę od nowa... — mówił Bezmian.

— A więc dla nas trzech, — dla ciebie, klero-ryku, któryś się wysupłał z kościoła, a jesteś sam kapłanem i wyznawcą, — dla ciebie, katorżnika, któryś z partyi wyszedł i sam stoisz za partyą i za ludem, — i dla mnie, żołnierza, com wyszedł z woj-ska i sam jestem całą armią polską, — niech będzie, jak dla starych spiskowców przed trzydzie-stym rokiem, hasło „Nic“ i „Wszystko“. „Nic“, które jest dzisiaj i „Wszystko“, które w naszych rękach będzie jutro.

— Pamiętajcie na ten nasz spisek w Hampton-Court.

— Ktoby ustał w pracy, albo się wrócił, albo zaniechał dla bezwładu, — temu pogarda pozostałych dwu!

— Kto wytrwa i wypełni, temu pochwała pozostałych dwu!

### III.

W drodze powrotnej do kraju trzej przyjaciele udali się z Londynu do Paryża. Wymagały tego względy rozmaite, nadewszystko jednak konieczność znalezienia pieniędzy, niezbędnych dla zbudowania aeroplanu, którego specjalną konstrukcją wymyślił Piotr Rozłucki. Ani jeden z trzech odpowiedniej sumy nie posiadał, a nawet wszyscy trzej, razem wzięci, nie złożyliby dziesiątej części kosztu. Rozłucki i Wolski nie byli nędzaczami, zaoszczędziwszy nieco w Ameryce, Bezmian zarabiał na podróż i życie swemi korektami, lecz było to wszystko kroplą w morzu. Po przybyciu do Paryża na „złotą żyłę“ trafił wkrótce Wolski, powziął bowiem skądś wiadomość, że mieszka tam wielkim dworem hrabia Nastawa. Z nabytą w księżym stanie zręcznością Wolski dotarł do hrabiny Nastawowej, — niegdyś panny Marzeńki Ościeniówny, — uzyskał audyencyę, a nawet zaproszenie dla dwu towarzyszków swoich na czwartkowy dzień przyjęć w hrabiowskim „hotelu“, kiedy gromadziło się tam mnóstwo osób zarówno polskiej, jak cudzoziemskiej wysokiej sfery. Rozłucki wzdragał się dość długo



iść tam, lecz względy poważnej natury przemogły. Ubrano i Bezmiana we frak, przeciwko czemu protestował klątwami we wszelkich językach, nie wyłączając sachalińskich, — i wszyscy trzej w czasie oznaczonym wyruszyli do pałacu hrabiostwa Nastawów, położonego przy jednej z nowych przecznic, wychodzących na Pola Elizejskie. Był to jesienny wieczór. Mżył deszcz paryski. Wsiadłszy z *metro*, przyjaciele ruszyli za przewodem Wolskiego. Dom stał nie zupełnie w linii ulicznej, nieco w głębi, za niewielkim ogrodem, oddzielonym od chodnika wysokimi żelaznymi sztachetami. Na dźwięk dzwonka drzwi się niezwłocznie otwarły, służba zabrała zwierzchnie odzienie i wskazała schody na piętro, wysłane dywanem. Poprzedzony przez kolegów Piotr Rozłucki wszedł na górę i stanął na progu wielkiej sali, zalanej światłem elektrycznym, pełnej gwaru osób już zgromadzonych i pełnej przyjemnego zapachu egzotycznych kwiatów. W pobliżu wejścia stał gospodarz, hrabia Nastawa, witając gości. Mało się zmienił, posiwiał tylko zupełnie. Był jednak po dawnemu żywych ruchów i wytwornej giętkości w obejściu. Poznał natychmiast Rozłuckiego i Wolskiego. Wyciągnął ku nim ręce ze szczera, czy udaną radością. Powitał również życzliwie przedstawionego mu Bezmiana — i poprowadził wszystkich trzech do żony. W głębi wielkiego salonu, pośród dam i panów stała hrabina. Była to dawna znajoma, lecz już nie panna Małgorzata z Podlasia. Wspaniała, jeszcze piękna dama, pewna siebie i każdego swojego kroku i ru-

chu — wielka pani. Piękność nie znikła jeszcze z jej twarzy i nie uleciała z postaci, ale była to już piękność zupełnie inna, — sztucznie powstrzymana. Dawna barwa włosów była tasama, lecz jakby zaakcentowana przez niezrównane brylanty. Tensam był kolor oczu i zarys twarzy, a przecie Piotr nie mógł przez chwilę oprzeć się przykreemu wrażeniu. Byłaż to ta pierwsza niewiasta, którą był zobaczył na ziemi polskiej, — czy inna już zupełnie? W mgnieniu oka pokonał swe refleksye, złożył ukłon i wymówił należny frazes. Hrabina przypatrywała się również przez chwilę wyniosłemu mężczyźnie, posiwiąłemu dość znacznie, o twarzy ciemnej, wzdłuż której stara blizna wrosła w skórę i, aczkolwiek widoczna na przestrzeni całego czoła i policzka, aż do brody, — złączyła się z cerą, jak nieraz cięcie topora wrośnie w korę drzewa, zajdzie żywicą, jakgdyby było od początku.

Nie był to również dawny oficer w obcisłym mundurze, lecz człowiek piękny, dumny, zamknięty i surowy. Czarny frak przystawał do jego wyprostowanej, wojskowej postaci dziwnie dobrze, zgrabnie i malowniczo. Spojrzenie głębokich oczu, iście męskie, badawcze i niepobłażliwe, przeszło panią hrabinę. Nie była przyzwyczajona do spojrzeń tego rodzaju. Zmieszła się, jakby w niej wszystko na równej drodze uległo nieprzewidzianemu potknięciu i runęło w niemocy. Napływająca fala gości powołała ją do obowiązków gospodyni. Rozłucki znalazł się w innym końcu sali, Wolski w innym i Bezmian gdzieindziej. Uprzejmy gospodarz nie



pozwoił gościowi czuć się w osamotnieniu. Zazna-  
 jomił go z wieloma osobami ze społeczeństwa za-  
 równo francuskiego, jak polskiego, a nadto pamię-  
 tał o nim specjalnie i znamienne go wyróżniał.  
 Przybysz z odległych krajów poządał rozmowy  
 polskiej, lecz słowo polskie ledwie przeciskało się  
 w tem towarzystwie, było, jak chłopska gwara na  
 Polesiu: służyło do porozumiewania się w rzeczach  
 domowych, pospolitych, nieprzetłumaczalnych na  
 język wielkoświatowy. Ten i ów w trakcie roz-  
 mowy dowiadywał się, że mówi z polakiem, a pó-  
 źniej już ostentacyjnie mówił tylko po polsku z tym  
 amerykańskim wędrowcem, oczywiście, dla zrobie-  
 nia mu przyjemności. W trakcie owych rozmów przy-  
 godnych, narzuconych, jakie się w takich warun-  
 kach prowadzi z osobami nieznanymi, Piotr usły-  
 szał nie bez troski przenikliwy głos Bezmiana, który  
 na całą szerokość sali dowodził komuś po polsku:

— Ależ przecie sam Kautsky oddaje nam Prusy  
 wschodnie! Sam Kautsky!...

Deklaracya ta zrobiła wrażenie. Zainteresowano  
 się w polskim odłamie towarzystwa. Ten i ów py-  
 tał sąsiada, któż jest ów Kautsky, który mocen  
 jest oddawać Prusy wschodnie, — komu tenże od-  
 daje Prusy wschodnie... Były także głosy, intere-  
 sujące się kwestyą, co to są właściwie Prusy wscho-  
 dnie, — najwięcej zaś takich, które zaciekawiała  
 sprawa, kto w tamtym rogu sali peroruje w spo-  
 sób równie niezwykły? Piotr uspokoił opinię, za-  
 niepokojoną w swem pobliżu, łagodnym komuni-  
 katem, że egzageruje w podobny sposób pewien

sympatyczny marzyciel, oraz że powołany przezeń Kautsky jest również sympatycznym marzycielem. To podziałało w sposób uśmierający, przynajmniej na tamten region salonu. Przygodne zaniepokojenie rozproszył zresztą zaraz śpiew gwiazdy operowej, precudnogłosej Bourdon, oklaskiwany z zapalem; — następnie drugi numer programu, najbardziej atrakcyjny, scena z życia apaszów, odegrana, a właściwie odtąnczona przez samą Polairkę. Rozłucki podziwiał grę twarzy i niezrównaną wyrazistość gestu genialnej brzyduli, rozmyślając w sekrecie o potędze artyzmu i wszechwładzy talentu, która nieznanie dziecko życia, samotną kobietę, wynosi z tłuszczy, z dziedziny morderczych walk o kęs chleba — aż do salonów magnata, a tłum bogaczy, panów życia, nienawidzących śmiertelnie nędzy, po której depcą, zmusza do skłonienia głowy przed wymysłem o praktykach apaszów i do lubowania się ich zbójcekim tańcem... Lecz i te rozmyślenia, zgoła przygodne, przerwał trzeci numer programu, raczej popis nadprogramowy, kogoś z towarzystwa. Młody, dwudziestokilkoletni „ktoś z towarzystwa“ usiadł rezolutnie przy fortepianie i odśpiewał pospolitym pół-tenorem pół-pornograficzną piosenkę, naśladując w ten sposób do złudzenia pół-śpiewaczkę z kabaretu *Pie-qui-chante*. Występ ten wzbudził najszczerzy, choć dyskretnie osłonięny i najdłużej niemilknący aplauz, oczywiście, wśród męskiej połowy zebrania. Piotr oklaskiwał również utalentowanego rodaka, aczkolwiek miał chęć oklaskać go raczej po przed-



wcześnie podłysiałej łepetynie i po wesołej buzi-facyatce. Miał chęć chwycić go za szykownie przy-gładzone kudelki i z rozmachem wywinąć całą fi-gurą w powietrzu. Bardziej łysa i posiwiata część słuchaczy, liczniejszemi niż śpiewak obarczona laty paryskich doświadczeń, oddawszy talentowi wstępującego w życie należyne dank i westchnienie zazdrości, szukała jednakże pewnego zabezpiecze-nia od nadmiaru wrażeń artystycznych w sąsie-dnich salonach i gabinetach, gdzie służba roznosiła napoje i przekąski. Piotr Rozłucki poczuł się do solidarności z odłamek tej generacyi starszej i prze-szedł do jednego z mniejszych pokojów. Znalazł tam kogoś z francuzów świeżo poznanych i przy-siadł z nim na małej kanapce dla rozmowy. Na ścianach tego zacisza były rozwieszzone zbroje. Da-wne czekany, obuszki, buzdygany, szable o ręko-jeściach, dziko iskrzących się od jaszczuru, dziryty i włócznie. Były to zbroje nie od tandeciarza ku-pione, lecz zapewne dziedzicznie przechodzące z ojca na syna, rodowe i pamiątkowe. W żyłach Piotra przewinęło się wzburzenie żołnierskie. Pa-trzał z uśmiechem najszczerzej życzliwości na ten stary oręż polaków, — niemą, próżniaczą, lokaj-ską ozdobę, — bezmyślny ornament salonu. Coś o tem mówił, aby tylko mówić, do francuza, który się z nim zabawiał rozmową, lecz nie został zro-zumiany. Zamilkł tedy o tym temacie, lecz o nim tem uparciej rozmyślał.

Do zacisznego saloniku wszedł hrabia Nastawa. Było rzeczą oczywistą, że Rozłuckiego właśnie

szuka. Zręcznie rozłączył go z interlokutorem, ujął pod ramię i pociągnął dokądś z pokoju do pokoju po miękkich dywanach.

Już zwolna pustoszały salony. Tu i owdzie widać było grupę zżytą pomiędzy sobą, rozmawiającą z ożywieniem i wśród śmiechu. W salonie głównym ktoś jeszcze czemś się popisywał i jeszcze stamtąd słyhać było oklaski.

Hrabia nachylił się do Piotra i szepnął:

— Pragnę szanownemu panu przedstawić moich synów.

— Ach, proszę o to! Państwo mają kilku synów?

— Dwu. Starszy — Włodzimierz — ma lat piętnaście, młodszy — Józef — trzynaście.

Weszli do pokoju wysłanego dywanem, z kanapami miękkimi i szerokimi, jak łóżka. W kominiku palił się gazowy piecyk, wielobarwnymi płomykami szerząc radosne i miłe ciepło. Obrazy, czupiradła najbardziej nowoczesnych Van Dongen'ów i innych, dobrze świadczyły o burżuazyjnym snobizmie słowiańskim właścicieli tego zakątka. W głębi siedziała hrabina i rozmawiała z Wolskim. Nastawa znikł za najbliższą portyerą i wkrótce wrócił, prowadząc dwu zapowiedzianych chłopców, Włodzimierza i Józefa. Ładni młodzieniaszkowie z należytą rezerwą skierowali swe spojrzenia i kroki w stronę Rozłuckiego. Ojciec przyprowadził ich bliżej, mówiąc:

— Oto moi synowie.

Do nich zaś zwrócony, wygłosił uroczyście:



— Pan Rozłucki, który przed laty bronił z szablą w ręce honoru waszej mamy i poniósł za to rany na głowie i twarzy. Zapamiętajcie nazawsze z wdzięcznością szramę na twarzy pana Rozłuckiego.

Piotr doznał uczucia wstrętu i głębokiego niesmaku, usłyszawszy te słowa. Zapomniał już od dawien dawna o szramie na swej twarzy i nie znosił jej widoku w lustrze. Wpatrzona weń z nieufnością i dumą oczy chłopców sprawiły mu prawie fizyczną przykrość. Odsunął się. Lecz w tejże chwili zbliżyła się hrabina. Usłyszawszy, co mówił mąż do synów, nagle podawnemu zcierwieniała, oblała się nie rumieńcem, lecz zaiste krwią. Możliwe byłoby przysiądz, że stała się ponsowa od stóp do głów, a zdawało się, że się w tym nagłym ogniu spali, jak wosk roztopi i osunie na ziemię. Piotr podniósł na nią oczy i zadał sobie pytanie, czego się też tak zawstydziła? Tego, że mąż mówił o owej chwili przy synach, — tego, że słucał przemówienia Rozłucki, — czy jeszcze czegoś innego, najbardziej niewiarogodnego, — to jest wogóle istnienia tych oto synów i „męża“, hrabiego Nastawy, zdrady swego bohaterskiego ideału, który tu przed nią znowu stanął, tensam, jeszcze piękniejszy, jeszcze wznioślejszy i jeszcze bardziej tajemny? Ale Piotr nie poczuł dla niej współczucia. Przeciwnie powziął dawną, a już w drogach dalekich zgubioną mściwość. Nachylił się z grzecznym a zimnym gestem w stronę synów i pani, mówiąc:

— Zrobiłem wówczas, gdyż tak wypadalo. Na-

grodą moją było zawsze przeświadczenie, że mogłem mieć szczęście bronienia pani hrabiny...

W tejsamej chwili począł mówić o czem innem, o braciach Wright'ach, twierdząc, że są to dwaj, co nastawili kierownik świata w inną stronę, — o lotnictwie i konieczności zbudowania statku polskiego. Ten zwrot rozmowy był tak nagły, że aż niegrzeczny. Wyglądało to na dość poziome korzystanie z sytuacji. Piotr zrobił to świadomie. Świadomie wskazywał palcem konieczność zbudowania kosztem polskim statku powietrznego, a mówił to przecie do ludzi bardzo bogatych... Mówił o tem wszystkiem długo i szeroko wobec hrabiego Nastawy, jego żony i synów.

Cel tego wykładu był tak oczywisty, że na twarzy hrabiny odmalowała się gorzka uprzejmość, a w oczach pana domu zatliły iskry chytrności. Pod pozorem dopełnienia obowiązków gospodyni hrabina zręcznie wysunęła się z tego pokoju, — chłopcy, zabawiwszy tam jeszcze przez chwilę, cofnęli się również. Został Wolski, Rozłucki i Nastawa. Hrabia ujął Piotra pod ramię i razem z nim zbliżył się do kominka. Szli po dywanie i Piotr miał nie tylko wrażenie, lecz przeświadczenie, że obok niego ten nie idzie, lecz skrada się, i że to nie jest człowiek, lecz tygrys. Staął przed maszynką, szerzącą ciepło, i patrząc w jej syczące wielobarwne rurki, myślał o tem, że ów Nastawa zwyciężył go nareszcie. Dla tego synom pokazał szramę na twarzy i opowiadał o „bohaterstwie“ wystąpienia, że już teraz wygrał tę sprawę. Nieszkodliwy to nieprzy-



jaciel, którego się tak prezentuje synom... Dla tego tak bardzo zawstydziła się pani. Wyniosły nieprzyjaciel pokornie przyszedł i wyciągnął rękę po zapłatę, po „czerwone złote“ nagrody. Taką jest potęga kapitału. Człowiek, dzierżący klucz od ogniotrwałej kasy, włada wszystkim, nawet nieugiętą duszą „bohatera“. Jakaż hańba! Piotr zawrzał w sobie, jakgdyby płomienie, na które patrzył, sparzyły mu oczy. Wewnętrzny ruchem ducha, niby zamachem skrzydła wymarzonego aeroplanu, pchnął od siebie człowieka, który stał obok. Niech przepada natchnienie i praca dziesiątków lat! Niech zginie lot ku niebu! Skrzydłem wewnętrznym postanowił wziąć tego człowieka pod siebie, jak skrzydło zewnętrzne bierze pod siebie wiatr, — uczynić zeń materyał do swego odlotu, siłę swą wzmóc jego złością i fizyczną mocą. Czekał, aż ów zacznie, i wiedział, o czem zacznie. W istocie Nastawa odezwał się:

— Jest to poprostu szczęśliwa okoliczność, że pan, przed powrotem do kraju, na Paryż się skierował. Mówił mi pan Wolski...

— Cóż on mówił?

— O pańskim wynalazku...

— Nie jest to mój wynalazek, lecz zastosowanie tysiąca odkryć, które dokonane zostały przez tysiąc pracowników w technice.

— Tak się to mówi... Ja, — pan to zresztą wie, umysł mam realisty. Ażeby zbudować statek, który panu jest potrzebny, oczywiście, trzeba pieniędzy, pieniędzy i jeszcze raz pieniędzy.

— Oczywiście.

— Otóż, o ile moja skromna kasa starczy, jest ona do pańskiej dyspozycji.

— Czy podobna?

— Nie jest to przecie rzecz pańska, lecz nasza. Więc ta moja gotowość do usług nie może panu sprawiać przykrości...

— Rzecz nasza, to znaczy — czyja?

— Rzecz kraju.

— Och, jest to frazes... — uśmiechnął się Piotr, nie wyjaśniając, komu ubliża, sobie, czy swemu rozmówcy.

— Jeżeliby pan zbudował ów statek powietrzny, — tłumaczył hrabia, — przecież kraj zyskałby na tem.

— I ja również.

— I ja również.

— A pan hrabia co mianowicie?

— To rzecz moja... — oświadczył Nastawa z niewyjaśnionym uśmiechem.

Piotr nachylił się do niego i powiedział zicha:

— Byłbym przez pana, jako męża pani hrabiny, wynagrodzony za to...

Powiódł dłonią wzdłuż blizny twarzy.

Oczy hrabiego zasłoniła zemsta. Pohamował się jednak i rzekł z uprzejmą wesołością:

— Nawet pobyt w trzeźwej Ameryce nie pozabawił szanownego pana tego bogactwa romantyzmu, w jaki zawsze jego wyobraźnia obfitowała.



— Innej korzyści dla pana z naszego układu nie widzę.

— Układ taki stanąwszy powinien, gdyż ta rzecz mogłaby być pożyteczną dla ogółu. Ponieważ i ja, — nawet ja, — należę do tego ogółu, więc chciałbym mieć udział w możliwych pożytkach, jakie pański wynalazek przynieść może.

— Nie wiem właśnie, w jakiej mierze ten udział pański w korzyściach z mojego tak zwanego wynalazku mógłby się wyrazić?

— Będę szczerym. Chciałbym wiedzieć, co pan zamierza. Chciałbym wiedzieć, co się w tej sprawie zamyka.

— Mogę to panu wytłumaczyć niezwłocznie.

— Dziękuję, ale ja nie uznaję teorii. Mam czas tylko na badanie faktów, na rozpatrywanie samych owoców wysiłku, rezultatu prac i na ocenę samych jedynie czynów.

— Powiedziano tam bardzo mądrze: „Któż zbadał drogę okrętu pośród morza, drogę ptaka w powietrzu...”

— Ja muszę znać zamiary tego, kto lata w powietrzu...

— Poznanie tych zamiarów nie da panu realnego pożytku. Wprawdzie ten, kto lata po powietrzu, przez sam swój czyn, odmienia postać świata...

— Aż tak nawet?

— Tak. Turkot aeroplanu w naszych oczach udaremnia szpiegowstwo wojenne, kartografię, ogromnie osłabia wartość fortyfikacyi, znaczenie

artyleryi, a mnie się zdaje, że i samym armiom, jako takim, bardzo zaszkodzi.

— Doprawdy?

— Tak sądzę. Armie będą zmuszone do rozsyпки. Kto wie, czy sztaby generalne nie skłonią ucha do myśli, ażeby wrócić do ludowej ruchawki? Kto wie, czy armie nie będą zmuszone rozproszyć się i, jak polscy powstańcy, iść do lasu? Może jeszcze i mój ojciec, dowódzca leśnych powstańców, będzie pomszczony...

— Czy to jednakże nie jest plan przyszłości, rysowany zbyt szeroko i zbyt zamasyście? Maszyny latające można będzie niszczyć odpowiednimi środkami, a ich rozmnożenie się i rozwój wyjdzie zawsze na korzyść państw i ich rządów.

— Sądzę, że przeciwnie! Aeroplan jest to niszcyciel państw i oswobodziciel uciśnionego człowieka. Lot jego skrzydeł budzi z niewoli ujarzmione narody. W łaskocie jego śmigła rozlega się nad ziemią manifest komunistyczny.

— Cieszę się, że otrzymałem od szanownego pana te wyjaśnienia i że mogłem się w tym kierunku oświecić, gdyż w istocie byłem nieświadomiony co do tej kwestyi.

— Mówiłem to w tym tylko celu, ażeby zaznaczyć, że nie będę mógł skorzystać z łaskawej propozycyi otwarcia na potrzeby mego aeroplanu kasy pana hrabiego. Wysiłkiem mego życia było to, ażeby najwyższa myśl w rzeczach idei, urząd ducha polskiego, oraz władza rozkazu, odjęte zostały



ludziom, dzierżącym klucz od kasy, i przeszły do ludzi wolnych w duchu.

— Niestety, — to być nie może. Wszystko, tylko nie powrót do romantyzmu! Kto włada kasą, włada idejami. Tak jest na świecie wszędzie, a więc i u nas, w tej... Polsce. Żałuję, że moja skromna oferta doznała tak sromotnej porażki... — uśmiechnął się hrabia Nastawa.

Do pokoju weszła hrabina w towarzystwie Gustawa Bezmiana. „Ajnos“ ucieszył się, zobaczywszy towarzyszków, gdyż w salonie nie miał powodzenia. Wszystko, co mówił z odświętnym zapałem, znane było i nudne oddawna. Wszystko, o czym perorował, sto tysięcy razy splugawione zostało na tym bruku krwawym Paryża przez setki blagierów, karyerowiczów, oszustów parlamentarnych, ministerjalnych i dziennikarskich, — oddawna wydrwione w stu piśmidłach, płatnych z kasy bogacza, — i tą drogą dostało się do umysłów.

Na widok tego Bezmiana oczy hrabiego, przysgasłe od rozmowy z Piotrem Rozłuckim, zaiskrzyły się znowu, jak brylanty. Zręcznym ruchem i zręcznymi zwroty rozmowy Nastawa przekazał Piotra żonie, a sam przysiadł się do Bezmiana i wdał z nim w długą, arcydługą rozmowę, pełną obustronnego zainteresowania. Piotr słyszał, jak Bezmian „zapatruje się“ w obliczu Nastawy na syndykalizm, herweizm, neo-maltuzyanizm, jak to zwalczą, tamto podnosi, w to bije, całą mocą sachalińskiego entuzjazmu, a tamto obala, idąc do walki na całego. Słyszał także, jak na życzenie pana

domu „Ustaw Bezymianny“ rozwija plany swego w kraju działania i, nie mogąc w czynie, w słowie wyładowuje od tylu lat stłoczone w duszy marzenia... Przesycony tą obfitością zwierzeń, Piotr zwrócił się do hrabiny i na uprzejme jej zaproszenie począł opowiadać swe amerykańskie dzieje i przeżycia.

---



#### IV.

Na wybrzeżu północnego morza stowarzyszenie lotników belgijskich dzierżawiło owemi czasy obszerny płat ziemi, niezbędnej do wykonywania wzlotów i ćwiczeń. Grunt w tem miejscu powstał przeważnie z diun morskich. Były to głębokie, lite, bezdenne piaski. Usiłowano je zalesić. Udało się to tylko w części. Nieco opodal od morskiego brzegu las uczepił się gruntu i wyrósł, lecz brzeg pozostał jałową plażą, rozległą, jak tylko oko zasięgnąć zdoła. Nie nadawało się to wybrzeże do użytkowania w żadnym kierunku. Srogie i straszliwe wichry morskie wyniszczały wszelką roślinność na samem wybrzeżu. Nic tam nie udało się zbudować i nie mogło powstać w tem miejscu siedlisko kąpielowe, gdyż grunty te nie tworzyły zatoki, lecz właśnie cypel piaszczysty, wysunięty jaknajdalej w dziki odmęt. Przed przyjazdem Piotra do Paryża rząd wybudował na tym właśnie przylądku latarnię morską najnowszego typu. Przeprowadzono również kolejkę podjazdową, łączącą dwie nadmorskie miejsciny z latarnią. Na dzierżawie awiatorskiej obok kolejowego przystanku powstało kilka domków, do

których w porze letniej zjeżdżała pewna ilość niezamożnych rodzin z Niemiec i Belgii dla zażywania ryzykownej kąpieli na tem wiatrowisku.

W kołach sportowych Paryża Rozłucki, poszukujący samotnego miejsca dla swej konstrukcyi, powziął wiadomość o tym placu, zaniedbanym przez sportowców tamtejszych, i natychmiast pojechał, żeby teren obejrzyć. Skoro zaś tam przybył, to, po przeprowadzeniu rokowań z dzierżawcami, osiadł na czas dłuższy. Zastał na pustkowiu zwyczajną szopę, zbudowaną na skraju sosnowego lasu a tuż przy ogromnem, nadmorskiem błoniu. Za pieniądze wydobyte w Paryżu przez Wolskiego, za sumy składkowe różnych stowarzyszeń i kółek, nabył poszczególne części swego latawca. W fabryce automobilów obstalował silnik własnego pomysłu i według swoich skonstruowany planów. Ów silnik, obracający śmigło powietrzne, — niewielka maszynka o sile stu koni, — był to rezultat borykań się wielu lat. Klęską tego pomysłu było rozgrzewanie się maszyny. Praca nad pokonaniem tego przekleństwa trwała wciąż jeszcze. Do chłodzenia silnika używał najrozmaitszych sposobów i nad tem właśnie wciąż się biedził. Śmigło obstalował gdzieindziej, a gdzieindziej drewnianą konstrukcyę statku. Dla taniości sam budował, montował, łączył i spajał poszczególne części swego dzieła w szopie, którą mu na pewien czas poddzierżawiono. Była to robota mocna — na śmierć — i dokładna. Piotr wymyślił specjalny przyrząd sterowniczy, który wprawiał w ruch cały aparat za pomocą jednego



obrotu koła. Długie lata pracował nad tą sztuką, która miała być nieomylna, sprawna i doskonale działająca, jak przedramię, łokieć, ręka, dłoń i palce zdrowego człowieka. Od jednego poruszenia sterowniczego koła podnosiły się lub opuszczały skrzydła latawca, miała iść w górę lub się zniżyć linia jego pędu.

W rogu szopy była przybudówka, izba sklecona z bierwion. Stała się ona mieszkaniem i warsztatem Piotrowym. Tu po całych dniach pracował przy swym śrubstaku, udoskonalając i udoskonalał bez końca sprawność swej konstrukcyi. Była to robota zarazem najbardziej twórcza i najbardziej mechaniczna. Tkwiło w niej coś takiego, jakby pisanie wierszy według natchnienia, i coś fizycznego, jak praca kowala, stolarza, tapicera i mechanika. Zdarzało się, że nie mógł robić, gdyż opuszczało go natchnienie. Wychodził wówczas w zarośla, tulące się za wydmami i leśnem zachyleniem od wichrów. Były tam wąskie, kręte, naturalnie powstałe uliczki. Brzozy i dziki bez, żarnowiec z żółtym kwiatem i młode półdrzewa topoli, pokonawszy wicher północny, rosły bujnie. Wśród tego młodego gaju leżały szare głazy skał, oplecione bluszczem. Ilekroć Piotr brodził wśród młodej dziczy, budziło się w nim zawsze i to bez zmiany, bez względu na wszelkie okoliczności, coś nad wyraz radosnego. W głębiach liści i traw unosiły się białe motyle, — kędyś w gęstwinie skrzeczały żarłocznie ptasie pisklęta. Osy brzęczały wśród wysokich badyłów. Spłoszone kosy kryły się

pod najtajniejsze, mokre gałęzie. Ciernisty janowiec pachniał swym błękitnym kwiatem. W powietrzu stał zapach tęgi, jak wino, zapach mięty i macierzanki, żarnowca i niewidzialnych w trawie kwiatów. Po bujnych idąc trawach, wśród latających motylów, czerpiąc oczyma barwy żółte, ponsowe i niebieskie, trafiał nieoczekiwanie w sedno myśli najbardziej zawikłanych i wysnuwał z nich wnioski doskonały, a prosty, jak suma w dodawaniu.

Z jednej strony lasu zwisały nad morzem dzikie skały, czarne u morza, szare w wyżynie, pokryte ostrą powłoką, szorstką siecią uschłych skorupiaków. Skała upodobiała się do fali, naśladowała ją, była przetkana smugami białymi, jak morska fala pianą. Czarna morska trawa ostremi kępami sterczała tu i owdzie. Piotr chodził patrzeć i słuchać, jak bałwany uderzały w niewidzialne lochy, jak głucho nad nimi dudnił skalny ład, gdy niepostrzeżony przypływ przewalał się ponad kamienne przełęczce i gdy się napełniały żywołem głębokie misy i stągwie, niezgłębione jamy i płytkie wyboje. Chwiały się w sennym tańcu ponad morzem chodzącym czarne i rude porosty, witając wonny czas. Wstawała piana na toni zielonej, na ziewającej otchłani. Płynęła coraz dalej w ład wałęsająca się przepaść, głębia obojętna, wiecznie spracowana i wiecznie znudzona, piękna, a nic nie wiedząca o swojej urodzie. Jakaż była potęga, gdy morze chlustało ponad czarne łby zrębów, gdy waliło się dzikie i nie do zwalczenia poprzez najwyższą skalinę i spadało na wsze strony leniwemi



kaskady, jakgdyby stopniami grubijańskiego śmiechu! Nadewszystko jednak Piotr czatował na burzliwy obraz morza, gdy w błękitnym aż do barwy granatu topielisku, potarganem przez bryły zielone, wzdęte bałwany ryły się poprzez głębinię ku górze. Piany na nich wystrzelały z zieleni, gładkie, ulane i zatoczone w tył, jak łby delfinów. Wicher rwał je w locie i miotał w tył, tworząc z nich bujne grzywy. Pienne bałwany dymem wówczas pędziły w półokrąg skały, leciały w zawody z wicherem wokoło sterczących wieżyc. Widziało się, że to setnie koni szatana cwałują niewidną głębinią. Powtóre zrywał wiatr białe bryzgi z zielonego zamętu, przerzucał je w dal, rozpościerał i niósł na sobie, ni to śniade smugi włosów.

Tam, gdzie ląd wydłużał się w cypel piaszczysty, wychodzący daleko w morze, fale uderzały z dwu stron. Było to miejsce dzikie, nie porośnięte ani jednym źdźbłem trawy. W czasie morskich nawalnic bałwany przelewały się przez grzbiet tego przyładka, niszcząc na nim wszystko, co żyje. Z obu stron tego miejsca utworzyły się dwie plaże półkoliste, gładkie i doskonale foremne. Piaski te lśniły zdala na słońcu, jak mosiądz polerowany. Gdy bujne fale wbiegały na te swoje wygładzone misy, nieopisanej piękności migotały połyskiem, strzelając światłem nie do zniesienia dla wzroku. Daleko w wody zstępowały piaski pochyłe, obnażające się z fal czasu odpływu, jak kobiece ciało z bielizny. Przyplływ uderzał w te niskie lądy z najpierwszą

potęgą morskiego nieokiełznania, piętrzył nad tymi pierwszymi zwiastunami lądu najbujniejsze piany...

W tem miejscu zażywali kąpiele młodzi chłopcy przyjezdni i piękne dziewczęta. Piotr lubił patrzeć z okna swojej pracowni na młode plemię, nurzające się w morzu. Z uciechą patrzył, jak młodzież czatuje na najwyższe bałwany, ażeby z wyciągniętemi rękoma, z pochyloną głową skoczyć w nie na obraz rzuconej lancy, ażeby przebić idący wodny wał i z drugiej strony wychynąć. Zachwycał się, gdy młode kobiety i dziewczęta w czarnych kostymach płasły w żywotwórczej głębinie, co przychodziła z niedocieczonej otchłani hodować zdrowie człowieka. Kobiety te, bawiące się z radosnym krzykiem w ruchomym żywiole, gdy się w nim nurzały, jak kwiaty, i pieściły jego wiekui-stą potęgą żywot i potęgę ludzkich pokoleń w swych łonach, — były dla niego, jak mocna pieśń o szczęściu minionem, które już nigdy nie wróci.

Rozłucki sam pływał w morzu bardzo daleko. Znali z widzenia rybacy w łodziach i przyjezdni goście samotnego człowieka, który zdala od wszystkich wypływał w swój własny sposób. Polubiły go piany i chłodne, obce fale. Poddały się jego woli i siłom. Pływał w nich na wznak i bokiem, zginając tylko kolana, albo odtrącając fale podszwami stóp, wreszcie bez żadnego niemal pomocniczego ruchu, unosząc się na powierzchni. Probowali z nim walczyć na wytrwałość młodzi, nieznamomi współzawodnicy. Wypływali, gdy on się w morzu ukazywał, i mocowali się z odległości.



Jakże piękne na to wybrzeże schodziły wieczory! W zachodniej fali tonął spłaszczony krąg purpurowy i wielobarwne odbłaski mknęły po wodach. Fioletowa stawała się fala daleka i mgłą niejasną zaciemniał się przestwór. Schodziła noc tylekroć przeżyta i tak znana, a oto nowa, jak po raz pierwszy widziany, prześwietny, boski cud...

Po forsownej i długotrwałej pracy nareszcie Piotr wykończył wszystko. Wyszedł ze swej budy o zmierzchu. Przez cały dzień panował był upał nie do zniesienia, a nawet po zagaśnięciu słońca jeszcze nie ustał. W lesie trudno było odetchnąć. Na polach stał duszny czad. Sucha mgła spływała na nizinę ziemi. Piotr wyszedł na długi przylądek, minął go i z rozkoszą zbliżył się do morza. Raz wraz dopełzało do ziemi sennemi zalotami. Za przylądkiem otwierał się brzeg piaszczysty, jałowy, miejsce bezpłodne litego piasku. Zdział posepny ciągnął się tam na przestrzeni kilkunastu kilometrów. Nie widać było księżyca, lecz miał wzejść, — późny, odchodzący księżyc, którego smutne zjawienie Shelley tak nieśmiertelnie przyrównał do samotnego cierpienia chorej kobiety, co w nocy wstała i bez nadziei, bez pociechy znowu za chwilę upadnie w łożę boleści...

Latarnie morskie poczęły miotać na nieskończoność wód skrzydła ogniste, długie na kilkadziesiąt kilometrów. Jedna z nich rzucała w dal śmigie błękitnawe, a druga w przestrzeni zdawała się przywierać i odmykać oczy. Leniwe morze wydawało jednostajny głos. Odpływ pociągał je w dal. Od-

słaniały się mokre piaski, twarde jak asfalt i gładkie, jak polerowany marmur. Rozłucki szedł, czując w kościach i mięśniach konieczność ruchu. Pchły morskie, zostające po odejściu fali w nieskończonej ilości na plaży, pierzchały spod jego kroku. W masowej ucieczce swojej wydawały przyciszone, niespokojny syk. Ten syk rozlegał się w ciemności i niepokoił ucho, jak ciche wołanie z ziemi. Noc zeszła czarna, duszna. Brzask wstającego księżyca zamajaczał w topielach ruchomych. Piotr poczuł znowu wielkość swego pragnienia i niezgłębioną tęsknotę swą za duszą Tatjany. Śniło mu się na jawie, że to ona głosem morskich żyjątek woła z ziemi, pieśczołliwie powtarzając jego imię. Stał. Nędzną i smutku pełną wydała mu się ziemia, siedlisko tyranii człowieka, — pochłaniająca umarłych, — ze swemi żywiołami — piaskiem i morzem, rośliną i żyjatkami. Zapragnął wyrwania się stąd, odtrącenia nogą bryły świata i ucieczki w inne przestworze. Wyciągnął ramiona do światła niebieskich, wyblaskających w czarnej wyżynie. Siła niestrzymana, jakoby skrzydła rozległa, wyrosła mu z ramion. Wola, rozkazująca powietrzu, strzeliła z nich na wschód i zachód.

---



## V.

Gustaw Bezmian wrócił późno w nocy do mieszkania, które przez parę miesięcy wspólnie z Wolskim zajmował na jednej z odleglejszych ulic Warszawy. Po wyjeździe Wolskiego w Chełmskie (dla objęcia posady pracownika w sklepie spółkowym narzędzi rolniczych) Bezmian zatrzymał jeszcze na czas pewien dawniejsze wspólne mieszkanie. Dzwoniąc do bramy, zauważył był obok siebie kilku równie spóźnionych lokatorów, którzy, głośno rozmawiając, razem z nim weszli do tejże kamienicy. Położywszy się do łóżka, rozmyślał o sprawach, w ciągu tego dnia załatwionych, lub rozpoczętych. Był to drugi dzień licznie reprezentowanego zjazdu stowarzyszeń kulturalnych chłopskich. Przewinęło się mnóstwo ludzi. Zarysowały się olbrzymie prace, czekające wypełnienia. Stanęła przed oczami dziedzina trudu wprost niezmierną. Bezmian zasnął nagle i bardzo twardo. W jaką godzinę po północy rozległ się dzwonek w sionce, lecz nie zbudził „Daka“ zupełnie, tylko mu sen zakłócił nowymi widzeniami. U wejścia do mieszkania dał się słyszeć trzask drzwi wysadzonych, hałas i li-

cznych kroków odgłosy. Do drugiego pokoiku, w którym spoczywał sachalińczyk, weszło kilku ludzi z latarniami. Otoczyli łóżko i zaświecili śpiącemu w oczy. Ktoś go pociągnął za ramię i obudził na dobre.

— Kto pan jesteś? — pytano, zaglądając mu w oczy.

Bezmián usiadł na łóżku. Otaczali go oficerowie policyi, stójkowi i jakieś cywilne jestestwa ludzkie.

— Pańskie nazwisko? — pytano go znowu.

Przebudzony ziewnął serdecznie i rzekł:

— Czy nie moglibyście tych swoich heraldycznych dociekań załatwić w dzień, a nie po nocy, gdy się ludziom spać chce w najlepsze?

— Mybyśmy może i mogli, a *dura lex* każe inaczej. Spać to i nam byłoby przyjemnie. Jakież jest pańskie nazwisko?

— Wilfryd Spytek.

— To właśnie my do pana.

— Proszę siadać.

— Gościnnie! A skąd pan tu jesteś?

— Gości się zwykło pytać, skąd przychodzą, — a ja tutaj gospodarz.

— No, to my panu gospodarzowi chcemy się odwzajemnić, chcemy być także gospodarzami u siebie i prosimy do nas w gości.

— Daleko to?

— Noc teraz, to trudno drogę zmierzyć. Ale świeczką poświecimy.



— Byle dobrze świecić, żebym się gdzie nie potknął!

— Naszemi drogami wszędzie przejdzie...

— Jestem obywatel Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej, — przywykłem do dróg prostych i szerokich. Stany będą się upominać o każdą moją fatygę.

— Już my się tam przed tymi pańskimi Stanami jakoś wytłomaczymy. Przebaczą nam. I z panem się dobrze porozumiemy, bo pan, choć i taki szorstki amerykańczyk, po polsku słicznie mówit. Tylko prosimy pięknie wstać z pościółki.

Bezmian wdziewał kolejno niezbędne części ubrania, poziewując i stękając. Szukał ociężale to skarpetek, to butów. Cywilni asystenci pomagali mu w tem z uprzedzającą gorliwością, szukając nie tylko w szafach, komodzie, za szafami i w piecu, za piecem, a wreszcie na piecu. Jeden z nich ze ścisłością szukał pod łóżkiem, nic tam wszakże bezwzględnie karygodnego nie wykrył. Bezmian narzekał, że mu sen zepsuto, ale koniec końców ubrał się zupełnie i, przekomarzając się ze swymi gośćmi, wyszedł w ich towarzystwie. Na ulicy mżył deszcz jesienny. Wiatr szumiał u węglów kamienic. Za jednym z tych węglów pożegnali go oficerowie i został w otoczeniu stójkowych, chłopów odzianych w ciężkie szynele i futrzane czapki. Szli obok niego, stękając, sapiąc i kołacąc obcasami o mokry chodnik. Różnemi się wlekli ulicami, mijając zapóźnionych przechodniów. Weszli w podwórze wielopiętrowej kamienicy, po brudnych

schodach wdrapali się na piętro i wstąpili w zachuch izby, skąpo oświetlonej płomykiem gazu. Za stołem, na sofie obitej ceratą siedział oficer policyjny. W głębi za balasami klatki separacyjnej świeciły się jakieś oczy człowiecze. Niedaleko od drzwi był zlew, a obok niego szeroka, drewniana ława, w owej chwili pusta. Bezmian zaanektował ją niezwłocznie i wyciągnął się na niej, jak długi. Piszący oficer w sposób mrukliwie dydaktyczny zwrócił mu uwagę, że jeszcze nie otrzymał pozwolenia na to, żeby tam leżeć. Bezmian oświadczył, że nie widzi nigdzie przepisu, żeby należało tylko stać, albo siedzieć, widocznie tedy leżenie nie jest występkiem.

— Zresztą, — dodał, — noc jest po to, żeby właśnie leżeć i spać, a nie łązić po różnych dziurach.

Rozmowa zarówno w mieszkaniu, jak w tym urzędzie prowadzona była w zabawnym narzeczu rosyjsko-polskiem, w gwarze warszawsko-cyrkułowej. Wyrazy rosyjskie miały polskie końcówki, — i odwrotnie. Bezmian chętnie posługiwał się tym żargonem, co mu bez trudu przychodziło. W tym to języku zaproponował urzędnikowi, czyby mu nie pozwolił położyć się na ceratowej kanapie. Tamten z przekąsem odmruknął, że kanapa przeznaczona jest dla niego i dla takich, jak on, nie dla aresztowanych. Dodał w sensie łaski, że aresztowany może się do czasu wyciągnąć na drewnianej ławie, co „aresztowany“ przezornie oddawna był uczynił. Na dowód zaś, że sprawa tak



właśnie, a nie inaczej przeprowadzona zostanie w praktyce, jak została sprecyzowana w teorii, oficer rzucił się na rozległości kanapy, zadzierając na jej poręcz lakierowane buty. Wkrótce też począł chrapać władczo, na cały cyrkuł. Gaz, przykręcony przez stójkowego, ledwo pełgał. W poprzek drzwi wejściowych, pod progiem rozciągnął siennik wyż wzmiankowany stójkowy, zmówiwszy na klęczkach przed snem katolicki pacierz.

Mijały długie kwadranse... Gustaw Bezmian nie spał. Wybiły go ze snu te okoliczności. Leżąc na swej ławce wsłuchiwał się wbrew woli w chrapanie policyantów. Tuż obok jego głowy kapwały jednostajnie krople wody z rury wodociągowej do zlewu. Za drewnianą kratą w głębi tej sali ów ktoś zamknięty nie spał również i raz wraz wzdychał. Te jego westchnienia były tak beznadziejnie smutno-wstrętne, jak monotonne kapanie wody.

Dawne wspomnienia oblegały duszę „Ustawa“. Zapomniane już sprawy, wypadki, uczynki, ludzie, imiona, nazwy, pseudonimy — krążyły w jego wyobraźni. Znowu rozsnuwało się stare życie i stary zaglądał w oczy krajobraz. Bardzo późno w nocy ktoś zakołatał we drzwi. Stójkowy otworzył. Wszedł jegomość w czapce z gwiazdą urzędniczą i w tejsze czapce zasiadł niezwłocznie przy stole. Oparty na rękach drzemał, albo co pewien czas do kogoś telefonował. Bezmian nie poruszał głową i wyglądał jak człowiek twardo śpiący, to też przybyły urzędnik nie zwracał na niego uwagi. Na skutek telefonicznych porozumień w jaką godzinę później przyszedł do

tego miejsca człowieczyna w „melonie“, w wyświechtanem i wysiedzianem „palcie“. Było to małe, zabiedzone, z żółtym zarostem, wykopciałym nad wargami od dymu papierosów, — prawdziwy okaz warszawskiego szewczyny. Poczęło to skrycie konferować z owym w czapce. Rozmowa toczyła się w języku niby rosyjskim, w owej prostytutycznej paplaninie warszawskiej. Wkrótce potem nadszedł drugi cywilus, chłop gruby, ospowaty, o wyglądzie i spojrzeniu siepaczem, — a wreszcie trzeci, chłopiec kilkunastu lat w kaszkiecie jakiejś szkoły technicznej, czy miejskiej, w długim szynelu z rogowymi guzikami, typ szkolnego wypędka. Twarz ostatniego przybysza była mizerna, oczy podsińnięte od choroby, biedy, czy rozpusty. Ten lepiej, niż dwaj jego koledzy, władał językiem urzędowym, ale z akcentu znać było, że to polskie dziecko. Wszyscy trzej naradzali się ze swym rozkazodawcą, składając jakieś sprawozdania, którym on nie wierzył, — na coś przysięgali, waląc się w piersi, aż jęczało. Szczególniej ów najmłodszy wciąż powtarzał swoje — Jej B o h u ! Wreszcie kontradycje iakoś się załagodziły. Szef wydał im rozporządzenia szczegółowe, czego wysłuchali w milczeniu i z głęboką uwagą. Mruknął, że teraz będzie spał. Głowa jego wraz z kaszkietem pograżyła się w dłoniach i w nastawionym kołnierzu. I on stał się małym, biednym, znużonym człowieczyną... Trzej usunęli się popod ściany. Łazili na palcach, żeby zaś nie obudzić „naczalstwa“, — zaglądali w kąty i dziury, w sienie i zakamarki. Gruby siepacz po-



śmiał się z czegoś, zamkniętego w separacie, co przez całą noc wzdychało. Towarzysze mu wtórowali. Obejrzelik szczegółowo Bezmiana, udającego, że twardo chrapie, — jak grabarze biorący wymiar dołu na długość trupa... Wreszcie wyciągnęli skądś siennik i wszyscy trzej przycupnęli na nim, kopcąc papierosy i pogadując zcicha pomiędzy sobą. Bezmian patrzył na nich spod rzęs, a widział dokładnie twarze, bo brzask gazu na nie padał. Szczególniej na twarz najmłodszego.

Znowu zaległa cisza. W dali, w dali poczynał się budzić ranny turkot i daleki gwar, przerywający się, jakby jeszcze raz wraz w sen zapadał. Chwilami było tak cicho i tak głucho, jakby zapadało w sen wszystko, — nawet sam szatan z jego podłością, nigdy nie przestającą czyhać. Nie mogło się uciszyć tylko serce wzburzone i nasiąkające nową siłą. Bezmian leżał bez snu. Rozmyślał w sposób dziwaczny, jakgdyby figurami trzech ludzi, skupionych na sienniku. Podnosiła nanowo jego dusza, która już chciała zrzec się walki, a tak była spragniona jeno miłości i pracy, — jakoby włócznie odpasaną... Myślał sam przed sobą, — ni to sługa w nim mówiący w oczy panu, — uczeń mistrzowi, że przecie z tem złem, które go nanowo oblażyło, mężnie walczył dla przyszłości. Rozradowało się serce widokiem dawnych katuszy. Lecz wyciekł z serca żal za przyszłością... Oto zbliżył się do chłopów polskich, do precudnego, wysnionego ludu. Zapoznał się z młodymi chłopakami, pozawiazywał przyjaźń na życie i śmierć, prace za-

łożył na okolice, powiaty. Miał iść przez mazowsze, przez lubelszczyznę, przez podlasie ku swojej Litwie. Tak się przecie radował. Bo oto ziemię wo-koło objechał, a do całego obwodu brakowało tylko małego łuku — od Warszawy do Witebska. Jechał morzami, tłukł się w wagonach, szedł w kajdanach. Cieszył się, że ten ostatni swój etap prze-wędruje między pachnącemi zbożami, wśród uko-chanej polskiej mowy, której się nie mógł nasłu-chać i nawychwalać, — że przejdzie na kolanach, przeczołga się, całując tę świętą, umęczoną krainę. Jakże nad wszelki wyraz spodobali mu się polscy chłopi! Co to Ajnosy, co Gilaki, co to Japończycy! *Kudy im!* do wspaniałych lublinian, do ekstaty-cznych podlasiaków, do pracowitych mazurów i do ludu nad ludy — do krakowian!

Tymczasem znowu się zbliżał zaduch więzień, nuda bezczynny i wieczne obcowanie nie z pracą i miłością, lecz z przemocą i zbrodnią. Gwar się wzmagął w ulicach. Otwarto drzwi i wnet poczęła się sala napełniać. Niewyspany „pan naczelnik“ w lakierowanych butach począł wyładowywać swój zły humor na wszystkich, kto się tylko ukazywał we drzwiach. A zaczęło się istne najście. Przypro-wadzono pijaną i pokrwawioną prostytutkę, która kwiczała na cały cyrkuł, wywrzaskując od czasu do czasu jakąś chryję o bransoletce, — kogoś w smo-kingu i „melonie“, ale bez kamizelki, który prze-lazł jakoby przez jakiś mur i coś otwarł, — czte-rech ludzi prostych, którzy spoglądali na wsze strony wybałuszonymi oczyma wołów, przyprowa-



dzonych do rzeźni, — panienkę, co przemyciła do cyrkułowego więzienia butelkę wódki i nieco wytrychów dla kochanka, — dwoje dzieci, przyłapanych na występku żebrania, w niewiarogodnie brudnych i cuchnących łachmanach, — jegomościa w pewnym wieku i spłaszczonym cylindrze, wypierającego się zarzucanych mu „kalumnii“ w sposób przekonywujący i nawet prawdopodobny, — żyda starego jak świat z jakimiś rupieciami w tobołku, — dwu włóczęgów o twarzach wesołych, jak wiosenne słońce, i brudnych, jak święta ziemia w jesieni...

Instytut napełnił się po brzegi. Zrobiło się ciasno i niewiarogodnie smrodliwie. Poproszono Bezmiana, żeby wstał i usunął się z ławy, gdyż „publika“ nie ma gdzie siedzieć. Publika w istocie domagała się swego polskiego prawa do zasiadania na ławie w cyrkule. „Ustaw“ uznał słusność tego żądania, posunął się na sam brzeżek i stamtąd patrzył na rozwój wypadków.

W tłumie, który się wciąż powiększał i odmieniał, ze zdziwieniem zobaczył stryjeczną siostrę Piotra Rozłuckiego, panią „Kamę“ Darzewską. Weszła w tłum i precisnęła się aż do środka. Raz tylko rzuciła okiem w stronę Bezmiana, ale udawała, że go nie widzi. Radość na widok „siostrzyczki“, tego bożego promienia na ziemi — rozlała się po kosteczkach bezmianowych, jak kordyał błogosławiony. Nie mógł zrozumieć, po co przyszła o tak wczesnej godzinie do tego cyrkułu. Dowiedział się niebawem. Pani Kama niby to czekała w tłumie na swoją kolej, nudząc się tem czekaniem i narzekając

przed sąsiadami na taką konieczność. W trakcie tego zbliżyła się do Bezmiana w taki sposób, że niepostrzeżenie dla nikogo sekretnym ruchem mogła mu wręczyć jakąś kopertę. Zaraz potem znowu poczęła narzekać, niecierpliwić się, głośno skarżyć, poruszać, przepychać, aż dotarła do „pana naczelnika“ i wyjednała sobie jakieś czegoś poświadczenie. Poczem znikła. Bezmian zainteresował się, co też mu wręczyła. Znalazł w kopercie sto kilkadziesiąt rubli i maleńką karteczkę, pisaną najdrobniejszym makiem. To ostatnie było dla niego najważniejsze, bo zawierało instrukcję, co się stało tejże nocy i czego się trzymać w odpowiedziach. Po upływie paru godzin harmidru, gdy klienci byli sprawiedliwie osądzeni w przeważnej większości do miejscowego „ula“, Bezmiana zapakowano do karetki i w towarzystwie wyżej powołanego katolika w uniformie stójkowego dokądś odwieziono. Wsiadłszy z pojazdu, mijał schody, sienie i przedpokoje, aż wreszcie znalazł się u celu, to jest w izbie obszerniejszej, niż cyrkułowa, z oknem zakratowanym. Pod ścianami stały szerokie ławy. Na ławach siedzieli ludzie niewyspani, stroskanemi patrzący oczyma. Widok tej sali, — o, dziwna logiko uczuć dziecka polskiego narodu! — Gustawa Bezmiana głęboko ucieszył i szczerze wzruszył. Przypomniała się studencka, bujna młodość, pierwsze aresztowanie i pierwsza noc w więzieniu. Niepostrzeżenie począł podpatrywać ludzi siedzących i z wprawą bywalca odróżniać złych od „uciśnionych“. Ale to segregowanie nie mogło trwać długo, bo lokal za-



ludniał się z pośpiechem. Zwożono materyał z miasta. Wpuszczono tedy do tej izby około stu wyrostków żydowskich, dziewcząt i chłopców, zabranych w całej masie na wykładzie literatury polskiej. Cóż to za gwar nalewkowski „uciśnionego narodu“ otoczył Bezmiana-Spytka! Żydowskie panny kłóciły się z kawalerami o coś, czego nikt nie mógł zrozumieć. „Ustaw“ chwyczał tylko niektóre brzmienia i to takie, których niepodobna było nie pojąć, bo nazwy: — Orzeszkowa, Konopnicka, Sienkiewicz, Prus, Przybyszewski, Tetmajer, Weyssenhoff...

W ten żydowski zespół, wrący od walki obozów literackich, wciskali się co chwila ludzie ze sfery robotniczej, rzemieślniczej, z inteligencyi i burżuazyi. Jedni wkraczali tam śmiało i hardo, a inni ukazywali strwożeni, niemal padający na kolana, — jedni szli tutaj z poduszkami, tobołkami i jadłem, a inni nie mieli ze sobą nic, oprócz swojej gorącej idei. Gdy nad wieczorem już nie mogło być mowy o jakimkolwiek siedzeniu, gdyż wszyscy stali ramię w ramię, stłoczeni, jak w kościele podczas kazania, Bezmian nie mógł prowadzić obserwacyi. Stało się tak duszno, że literalnie nie było czem odetchnąć. W nocy stary sachalińczyk został wybadany w urzędzie, kto i skąd jest, — i przeniesiony do rzeczywistego kryminału. Odetchnął nadzieją, że można będzie nie tylko usiąść, lecz i wyciągnąć się na tapczanie. Gdy załatwione zostały wszelkie obrządki przy wejściu do więzienia, kierujący niem oficer zagadnął „Spytka“ po polsku:

— A cóż, pan chyba na „czternastkę“, pod pana inżyniera?

— Nie znam „pana inżyniera“.

— Pan nie zna... No to żal. W takim razie trzeba będzie gdzieindziej...

— Owszem, ja nie mam nic przeciwko czter-nastce.

— „Czternastka“! — zakomenderował oficer.

„Spytek“ powędrował na górę i jeszcze raz na górę: Znalazł się u zamczystych drzwi celi. Otwarto i wpuszczono. Spało tam kilkunastu mężczyzn. Kopciała się naftowa lampka kuchenna. Małe okienko, osłonięte koszem z blachy, było otwarte i ostre zimno wdzierało się do dusznej nory. Gdy strażnik przekręcił klucz w olbrzymim zamku, nowy gość szukał oczami wolnego miejsca na narach. Ktoś podniósł się w półmroku, patrzył, wreszcie zlął na podłogę w białiznie. Był to wysoki, tęgi mężczyzna. Drapał się po bokach, plecach i głowie i patrzył na przybysza zaspanemi oczami. Znał go już widać dobrze, bo szepnął mu do ucha:

— Bezmian?

Gość nieufnie milczał. Tamten zrozumiał, o co chodzi, i dodał:

— Jestem gospodarzem tej nory. Nazywam się Pomróż.

— Inżynier Pomróż?

— Tensam.

— E — no to wiem! Prawda, poznaję. No, to Bezmian.



— Chodźcie spać, bo to późno i zimno do dyabła. Macie tam wolny siennik przy ministrze.

— Aż przy ministrze?... A to już może gdzie indziej, bo to ja bardzo niskiej rangi człowiek.

— Tu niema miejsc lepszych i gorszych. Na każdym miejscu wszy takiesame po łbie i plecach spacerują.

— Któż tu, oprócz was, siedzi?

— Cały zarząd stowarzyszenia oświatowego „Nauka“. Wybrali nas całym gniazdem sześć tygodni temu. I tak se tu urzędujemy. Oto ja — prezes, tam chrapie — sekretarz, tamten grubas — to skarbnik, a to pokotem członkowie zarządu: jeden, dwa, trzy, cztery, pięć, sześć. A tam, gdzie wy macie legać, śpi nasz główny człowiek w rzeczach oświaty, Powierski.

— Jakto, i Powierski tutaj? — zmartwił się Bezmian.

— Od wczoraj go tu gościmy. Zjechał, jak na rewizję naszej instytucji.

Bezmian znał już niewymownie doniosłą w rzeczach oświaty działalność tego człowieka. Uważał go za swój „urząd“, za zwierzchność, czcił głęboko i z uniesieniem to nazwisko. Stał bezradnie, kiwając w stronę Powierskiego głową.

— Tak, — on sobie tu dobrze przepowie tabliczkę mnożenia. No, bracie Bezmianie, nie pora na gawędkę, jeszcze się rozmówimy, mamy czas... — mruknął Pomróż, dążąc w swoją stronę. „Spytek“ z wprawą kajdaniarską znalazł się na pryczy, — zsuł buty pocichu, ściągnął ubranie, zwinął je

„w poduszczkę“ i uczynił zeń wezglowie. Nim skłonił głowę na tej niewymyślnej pościeli, wejrzał z wielką ciekawością i niemniejszym uszanowaniem na śpiącego sąsiada, na „samego“ Powierskiego. Zobaczył surową, zaciętą twarz w uśpieniu i długo z uśmiechem miłości uczył się jej na pamięć. Nie mógł przebrnąć przez tę myśl, że człowiek, który w każdym kraju ucywilizowanym, dla zasług położonych na polu oświaty, niszczenia analfabetyzmu i szerzenia kultury, — kierowałby rzesze młodzieży ku dobru i światłu na stanowisku ministra, tutaj leży na werku, przeznaczonem dla zbójów i złodziei... Przycupnął wreszcie, sądząc, że po wzruszeniach wczorajszej i dzisiejszej nocy zaśnie natychmiast. Ale sen, jak na przekór, odleciał. Dziwną pociechą napełniała duszę świadomość, w jakim się to jest towarzystwie. Jeszcze też nigdy z takimi na pryczy nie sypiał! Bywali wprawdzie za sąsiadów sławni na cały Sybir mordercy, bywali wodzowie watah zbójckich, — ale Powierski! Bezmian patrzył po śpiących, słuchał chrapania... Pewny, że wszyscy twardo śpią, nie powstrzymywał wewnętrznego wesela duszy i wybuchnął głośnym śmiechem. Tymczasem jego śmiech obudził tego i owego z sąsiadów. Ktoś spytał:

— Któż się to tak cieszy i z czego?

— Z czego się tak cieszycie?

Wreszcie prezes-inżynier spytał ze swego miejsca:

— To wy, Bezmian, tak się tam radujecie na pryczy?

Katorżnik zawstydydził się niezmiernie swego wy-



skoku. Ot, błazen! Nie przewidział, że ludzie nie śpią, i skompromitował się. Pobudził godne osoby i zgorszył.

„Inżynier“ nastawał, zaniepokojony, czy aby nie rozstrój... Wtedy nie było już rady, musiał wytłomaczyć się:

— Przepraszam... Ech, stary niedźwiedź! W dostojne towarzystwo wszedł — i dawaj w śmiech!

— Ależ czego mianowicie?

— Ba, — czego? Śmiech pusty wziął... Tam na dole szkoły całe do kryminału! Tu na górze oświatowe zarządy oddawna siedzą... Uciecha!

— No, takie znowu bardzo śmieszne to nie jest...

— Śmiech ono i radość budzi... Bujne oni źródło, wodę żywą, święty źródł wieczny kamieniami swojemi chcą zawalić... Życia w kozie nie zamkniesz!

— Jest wśród naszych chłopów gadka o wodach źródlanych, że czasem stok przez wieki bije, woda w nim zimna i czysta, — a gdy już zbyt nikczemni ludzie pić ją przychodzą, zagniewa się źródło, obraża — i na wieki pod ziemię ucieka. My tu mamy precz dookoła takie zagniewane, suche źródła.

— Och, nie! Patrzą ja i raduję się w grzesznem sercu. Gdzie im te źródła święte kamieniami zawalić! Śmiech! Samym kamienie dźwigać ręce ustaną!...

— Aby to prawda... — mruknął inżynier...

## VI.

Statek Piotrowy, rozpędziwszy się z poziomu, jak bocian, albo albatros, poszybował w powietrze. Leciał nad plażami północnego morza, kierując się na wschód. Robił nie więcej nad ośmdziesiąt kilometrów na godzinę i nie wznosił się wyżej nad kilkaset metrów ponad ziemię. Dosięgnąwszy wybrzeży Bałtyku, opadł w pobliżu rybackiej wioski w zupełnym pustkowiu. Nazajutrz rano, zabrawszy nowy zapas benzyny, nabytej przez umyślnego posłańca w najbliższym mieście, wyruszył w dalszą podróż. Pomyślny wiatr popędzał go w obranym kierunku. Zimne powietrze nawskróś przejmowało lotnika. Jak poprzedniego dnia dała się znowu czuć z niczem nieporównana lekkość w kościach, sprawność i siła w mięśniach, oraz bezgraniczna rzeźwość w całym ciele. Szczególniejsza doskonałość i logika zapanowały w myślach. Jakże był przyjemny świst wiatru, wciąż brzmiący w uszach! Niezmierny furkot śmigła i tętnienie maszyny przechodzić się zdawały wewnątrz ciała i w niem także działać, na równi z pulsem i biciem serca. Pochylnie płatowca stały się, jako



skrzydła wrośnięte w ramiona. Pęd powietrza, natarczywy chwilami, jak struga wody, tryskającej prosto w usta, podniecał wolę. Skupiona w jedno zamknęła się w obrębie koła sterowego, w dźwigni, w pedale, nawracającym według życzenia powierzchni chylu lub steru. Ilekroć obojętny i, pomimo wszystko, przełękły wzrok padł w dół, czy w dalekość, — ogarniał widok bezgraniczny. U morską brzegu nieme, białe-żółte wydłużenia zdziarów lądowych. Rude po piaskach szmaty i liszaje. Do nich lgną piany morskie, ni to ryby olbrzymie. Wzdęte bałwany zdają się nieruchomo leżeć na brzegu suchym, jakoby bezduszny, śnieżny wał. W przestworzu morza wędrownie, ostre skazy czerwonych żagli, nad łodziami, co niby uskrzydłone owady worały się i zaczęły o równinę, — a wnet odleca. W oddali wielobarwna ziemia. Olbrzymi las wyściela przestwór barwą jednolitą, utkaną tam i sam ciemnością. Wśród tego lasu wesela się — pola. Biała strzała szosy leci wskrósł lądu. Pióra topolowe, małe, jakby je ręka dziecięca w ziemię powtykała. Przez lasy — pola płynie zwolna ciemna smuga cienia chmury. Cień chmury płynie poprzez kępy drzew bez pniów, podobne do nasturcy w kwietniku, — poprzez zielone niwy. Śmiesznie małe domeczki, różowe dachówki. W dachówkach małe okienka i dymniki. Czarne otwory w dziwnie niskich kominach jakichś fabryk... Przy domkach ogródki, a w nich ruchawi, mali ludkowie. Wszystko, jak zabawki dziecięce, wszystko nieregularne, śmieszne i przedziwnie brzydkie. Ta ziemia

pokrajana, postrzyżona w kawałki, w strzępki, poobstawiana murkami, — siedlisko głupstwa... W dalekiem morzu szara pomroka. Najbliżej i naprost — kształty fijołkowe, niebieskie, pozłociste, śniade, albo o barwie złoto-białej, zawierającej wszystkie kolory, — rzeczy niejasne i lecące. Ukazują się niespodziewanie, niebiańsko inwazyą z ziemi zdumione. Nagle na widok zuchwalstwa maleją, zmieniają formę i wnet, w oczach giną. Inne coprędzej otaczają statek wieńcem, korowodem, snem. Płyną w pobliżu aniołowie, splecione dusze kochanków, igrające dzieci, kształty bardziej nadobne, niż najpiękniejsze młodości marzenie... Przenikają ciało nawskróś, obejmują za szyję rękoma obojętnymi, — obce i zimne — znikają. Obłoki — duchy...

Nisko nad szarem morzem, które się mieni, przelatuje zjawisko ciemne i na przestwór rzuca swój kształt, odbicie swojej postaci. To cień chmury. Dalej leci po tem morzu forma inna, szybko zmieniająca miejsce swoje, cudacznokształta. To cień powietrznego statku. Wiatr ostry zawiał z boku. Rozłucki wziął się z całej mocy do koła. Instynktowną forszą, siłą ptaka, samowiedzą rąk, nóg i stosu pacierzowego wparł się nieomylnie w przyrząd. Nie wiedząc, jak i kiedy to uczynił, nastawił chył szczęśliwie i nabrał pod się wiatru. Poniósł się w górę, jako kania. Dźwignął lotki prawego skrzydła i sprostował aeroplan. Popłynął w zimno, w ciemniejszą, wciąż ciemniejszą otchłań górną. Stała mu się wysokość równie bliską, przyciągającą, jak głębokość. Ręce kostniały i w palcach



nóg uczuł mrówienie, w krzyżu dreszcz i niepojętą, nieopisaną rozkosz. Serce szybko łomotało. Ciosy jego biły nad próżnią głośno, jak śmigło nad utwierdzeniem ziemskim, — jakgdyby to biło serce wszystkich rzeczy, które zostały nisko. Piotr ujrzał pod sobą falisto rozłożone białe chmury, nieruchome, wielorunne skupienia kształtów, — nowe piętro bytu, jakoby wyższy, drugi ład. Wyższy stopień radości, nadziemski jej stan przepłynął przez serce. Wtedy westchnienie wyrwało się z tego serca :

— O, Boże!

Lecąc w niebiosach, na długo zapamiętał się i zatopił w Bogu. Wspomniał ojca wyciągnięte kości rąk i zmarłej uśmiech Tatjany. Modlił się za nich.

Gdy się ocknął znowu, z całej siły czepił się dłońmi sterowniczego kółka i rządził nim za pomocą ruchów doskonałych, pewnych, celowo i matematycznie trafnych, które nie płynęły z rozumu, lecz raczej z instynktu całego ciała, z boskiej doskonałości ruchu kości, mięśni i żył. Zatoczył oczyma pytające koło i zbadał się, gdzie jest. Był w półmroku, w zimnie i niewiadomych, zmiennych prądach wietrznych. W dole płynęły chmury. Na chmurach leżały pobrzeża blasku słońca, lecz wyższe obłoki wirowały i niosły się w przestwór na skrzydłach wiatru. Prądy powietrzne zmieniały się wciąż i tak dalece, że lotnik nie mógł zmiarkować, który kierunek jest główny i dokąd niesie. Chwilami statek był jakby na rozdrożu, w wiatrowisku. Ulegał

szarpaniu we wsze strony, albo trafiał w tak niebezpieczną „dziurę“ wichrową, w lej, gdzie borykały się ze sobą wiry, tworząc jakby trąbę powietrzną. W takich studniach międzywichrowych śmigło zarabiało się w pracy bezpłodnej, skrzydła nie mogły pochwycić pod się głównego nurtu i leciało w dół organon lotnicze. Lecz lochy te miały swe dna, po których płynęły w dal łagodne rzeki powietrzne, niosące cicho i bezpiecznie jak rodzinna woda łódź z dziećmi.

Piotr czuł mróz w rękach, w stan zgrabienia zakuwający palce. Rozumiał, że nie zawładnie kołem steru, jeśli uderzy nowy atak sprzecznych ciągów. Zarazem nagle poczuł, że śmigło tnie wolniej, a silnik warczy ociężalej. Przeleciała myśl, że benzyna jest na wyczerpaniu. Dreszcz nowego porządku, — świadomy sylogizm, — przeszył całe ciało aż do kończyn palców. Natychmiast pohamował lot i, nastawiwszy chył, puścił się w dół lotem szybowym, w ukos, jak orzeł, gdy zatacza kręgi ku ziemi. Płynął szybko własnym ciężarem, ciął sobą obłoki, jak ostry miecz, przeszywał jasne powietrze, jak strzała, którą chłopcy puszczają. Serce biło wolniej, ciszej, chwilami od wzruszenia staowało w biegu. Znowu przelotne zjawy nadmorskich obłoków... Ujrzał oświetlone odmęty. Wiatr go nagły uderzył w bok, porwał w nieznany prąd i niósł w sobie. Piotr wparł się lewem skrzydłem w ten wiatr — i ocalał. Lecz zatoczył statkiem półkole, szerokie aż do nieskończoności. Usłyszał pod sobą huk. Morze! Leciał nad niem pod kątem



niesłychanie ostrym, zbliżając się, zniżając, szybując nad wodami, jak kormoran. Zadrżał na całym ciele, nie widząc nigdzie ładu. Nigdzie, nigdzie! Świst w uszach zagłuszały potworne głosy bałwanów. Wbił oszalałe oczy w dal, szukając ratunku. Zielone, pienne morze! Silnik charczał ociężale, coraz wolniej, słabiej, jak gardziel konająca. Śmigło, tworzące tajemnicze koło potęgi, świetlisty zgygzak władzy nad powietrzem, ukazywać zaczęło swe oblicze. Wreszcie stanęło, jako geometryczna średnica, przekreślająca na wieki koło życia. Wyjrzały wokół pienne pyski miliona lewiatanów, wzniosły się z odmętów miliony łbów i ciekawie wejrzały na powietrznego ptaka. Odsłoniła się nieskończona czeluść. Piotr ujrzał ją nie tylko oczyma, lecz głęboością rozumu. Jeszcze raz drgnęło, zatoczyło się śmigło, jeszcze dźwignął się lotny jego impuls, — i ostatni raz zwisło, jak wytracony miecz. Dolne koła plusnęły o fale, wyciągające ku górze swe paszcze. Rozcięte fale syknęły z chichotem. Osie worały się w następny bałwan, siedzisko uderzyło w trzeci. Płatowiec jeszcze leciał, rozbryzgując piany. Plasnął w grzbiet zielony silnikiem i zdrętwiały od nieznaney sobie przeszkody osiadł. Zarył się w bryzgi i zarobił w bulgoczących fontannach. Z wściekłością rzuciły się bydlęta bałwanów na podniebnego latawca. Skoczyły nań ze wszech stron, żarły go zębami pian, waliły na jego lekkość, wysmukłość, suchość i sprężystość swój płynny ciężar, większy, niż wszystko, cokolwiek myśl wyobrazić sobie zdoła. Lały nań stru-

gami wieczność cieczy. Pociągnęły w siebie ciężar silnika i zbiorowisko benzyny. Rozpostarły się i nie poddawały zgubie królujące skrzydła. Zielone fale wdzierały się na nie z wysoka. Wał splatał się z wałem, dźwigał w dwójnasób i zwiniętym łbem kąsał lotne płaszczyzny. Po stokroć bił w rozpostarcie błon, podwazał szkielet, aż wyłamane zwiśło ramię. Wtedy fale wmięsiły w swoje głębiny lewe skrzydło.

Piotr zrozumiał wśród chaosu zdarzeń, że to już koniec. Był jeszcze na swym lotniczym krzeselku, lecz nogi miał już zanurzone w wodzie. Wstał ze swego miejsca i co tchu, co siły w rękę począł ściągać ze siebie odzież. Przez głowę zdjął trykotową kurtkę. Jednym zamachem zdierał buty, spodnie, bieliznę. Gdy był już nagi zupełnie, jeszcze przez chwilę leżał na swym statku. Wraz z nim nurzał się i wydobywał ponad fale. Już skrzydła były pod wodą, a on jeszcze dotykał ich stopami. Skoczywszy w głębiny, musnął je jeszcze na pożegnanie wieczne piesszczotliwemi dłońmi. Dojrzał w przezroczystej głębi zatopiony, przedziwny kształt, jakby złudzenie myśli, odbicie snu całego życia. Został sam. Począł płynąć w tem niewiadomem, nieogarnionem morzu, spokojnie komenderując samemu sobie: — raz — dwa, — raz — dwa, — raz — dwa!...

Wyrzucał ręce naprzemiانى, pamiętając o ekonomii wysiłku, przechylał się z boku na bok, żeby jaknajbardziej zaoszczędzić sił ramienia. Wielkie bałwany wynosiły go na swój szczyt — i zanu-



rzały w głębokie swe rozpadliny. Słona piana siekła go w zuchwałę, zwycięskie oczy, zalewała nozdrza i gardło. Wznosił głowę do góry, zadzierał ją ponad odmęt wciąż spadający. Widział ponad sobą zielony, wydrażony, zwinięty kłęb pianisty. Ożyło w jego oczach straszliwe morze i pokazało oblicze śmiertelnego wroga. Śmiały się zeń chichotem piennym bezlitosne fale, pędząc wokół za widowiskiem. Taczały go w sobie, ciskając jedna drugiej. Wślizgując się nań z wysoka, szerzyły zimno w kościach, mrowienie zapuszczały w palce nóg i bolesny dreszcz we włosy. Lodowata woda milionem ust ssała skórę — a wciąż pracowitem poszukiwaniem szperała, gdzie też jest serce...

Pamiętał o jednym, żeby spokojnie, równo i bez pośpiechu wyrzucać ręce. Wyrzucał ręce równo i spokojnie — raz — dwa, raz — dwa... Nie wiedział, jak długo już płynie, jak daleko odpłynął. Uczuł, że zabójczy dreszcz, jakgdyby drągiem żelaznym, uderzył go w krzyż. Zdrętwiały ręce i nieznośny mróz osiadł w piersiach. Ból przeleciał wzdłuż ciała aż do kończyn wielkich palców. Znalazły serce...

Najwyższy bałwan, — król morza — podrzucił gościa-rycerza na sobie, wykapał go w pianach głuchoszumiących i cisnął bezwładnego ciemności, która czekała. Dzwony podniebne, które już był raz słyszał w swem życiu, zahuczały w uszach Piotrowych... Popłynęły długie, fioletowe i zielone zwoje. Niosły długo dokąds, do ciszy i snu...

## VII.

Ocknął się wśród promiennego światła i w ciepłe życietworzącem. Słońce zalewało pokład. Potężny hymn grała wielka wojskowa orkiestra. Radośnie i wspaniale brzmiały akordy trąb, wysokie tony klarnetów i piszczałek.

Piotr spoczywał, na wznak, złożony na noszach ruchomych, które ustawione były na podwyższeniu. Przykryty był białą, wełnianą deką. Dookoła jego pościeli stał szereg oficerów marynarki wielkiego pancernika niemieckiego, który go, gdy spadał na powietrznym statku, zobaczył i z toni morskiej nagiego wyłowił. Oficerowie patrzyli nań w milczeniu. Gdy otworzył oczy, z żywością między sobą poczęli szeptać. Westchnienie wymknęło się z jego piersi...

Słońce spadło na powieki i nie dało im zawrzeć się nad zgasłymi oczami. Nie mogąc powiek zawściągnąć, patrzył spod nich przed siebie. Widział tych ludzi pięknych i spokojnych, uszykowanych w rząd. Czuł ich wzrok, skierowany na siebie.

Któż to są ci ludzie? Co to za miejsce? Lecz zobojętniały wnet te pytania. Ciemność straszliwa,



kłębiąca się od zielonych bałwanów, przytłoczyła myśli. Począł znowu walczyć w duchu z morzem ciemności, przebijać schyloną głową nieprzeliczone a wciąż następujące bałwany. Krzyk przeraźliwy wydierał się z jego piersi, lecz nie wypadał nazewnątrz, tylko szarpał się w sercu nieszczęśliwem. Zmordowany walką wewnętrzną, obłany potem, śmiertelnie znużony uchylił znowu powiek. Patrzył. W promieniach słońca drżały niewinnie ruchome fale nieobeszłego morza. Na widnokregu żółtawą smugą snuł się daleki ląd. Dokoła posłania stali, jak przedtem, oficerowie niemieccy. Piotr uniósł głowy z posłania i spoglądał w dalekie morze i w daleki ląd. Natychmiast podniesiono mu głowę i wsunięto pod nią skórzaną poduszkę. Jakiś człowiek przyłożył do jego warg brzeg szklanki i wlał w usta płyn doskonale krzepiący. Piotr otworzył oczy i powiódł wzrokiem po zgromadzeniu oficerów, otaczających go półkolem. Pojmował już, że jest na jakimś statku. W języku, do którego był przywykł za pobytu w Ameryce, to jest w angielskim, zapytał:

— Gdzie jestem?

Odpowiedziano w tym samym języku:

— Na pokładzie pancernika floty niemieckiej „Königin Luiza“.

— Dla czego tu jestem?

— Dostrześliśmy pana, lecącego w powietrzu. Widzieliśmy twój lot w dół i zatopienie aeroplanu w morzu. Pośpieszyliśmy ci na pomoc całą siłą

pary. Wyratowaliśmy cię z toni morskiej nagiego i zdrętwiałego.

— Kto mianowicie mię wyratował?

— Marynarze nasi i nurkowie.

— Dziękuję... — rzekł Rozłucki.

Patrzył na potężne kominy pancernika, — na olbrzymie jego blachy, — na reje telegrafu bez drutu, — na mnóstwo stalowych lin, przecinających się we wszelkich kierunkach, — na piętrzące się pokłady, — na wieże bojowe, obstawione wokół szybkostrzelnymi armatami, — wreszcie na kolosalne cielska największych armat, wystające w morze z przedniego pokładu. Senne wspomnienia armatniego towarzystwa i braterskich z bronią przeżywań owionęły mu duszę. Patrzył na wielkie, lśniące działa, symbole potęgi, — na dawnych przyjaciół, którzy go, — Hioba, — w tym ciężkim śnie przybyli odwiedzić...

Jeden z oficerów, starszy wiekiem, zbliżył się do Piotrowego posłania i rzekł po angielsku, oddając mu ukłon wojskowy :

— Jestem komendantem tego okrętu. Szczęśliwym się czuję, że statek nasz mógł udzielić gościnności tak dzielnemu żeglarzowi powietrznemu. Czy wolno mi wiedzieć, kogo mamy zaszczyt gościć na tym pokładzie ?

— Imię moje lotnicze jest — „Ulisses“.

Oficer skłonił się, przykładając palec do daszka czapki. Rzekł jeszcze :

— Widzę na twarzy pańskiej szramę od cięcia



orężem. Nie tylko tedy w przestrzeni powietrznej, ale i na łądzie podejmowałeś pan walkę.

— Zawsze z tysamym skutkiem...

— Pragnąłbym wiedzieć, jaki naród ma w panu przedstawiciela?

— Należę do narodu, który należy do wszystkich.

— Cóż to za naród?

— Wydobyliście panowie człowieka nagiego z morza. Przedstawiciele mądrego, twórczego i potężnego narodu niemieckiego, udzielając gościny człowiekowi nagiemu, czyż muszą wiedzieć jeszcze coś więcej ponadto?

— Naród niemiecki nie zna sentymentu gościnności. Rządzi on się prawem obowiązku kultury, przepisami kodeksu międzynarodowej wymiany określonych usług.

— W takim razie każ mię, panie komendancie, wyrzucić za burty twojego statku, bo poza mną nie stoi żaden naród, ani państwo, — ani nikt.

— Więc kto pan jesteś?

— Jestem człowiek nagi.

Długo milczał.

Olbrzymi statek przeszywał morską toń. Widać było w pobliżu piaszczyste wybrzeże. Pochyłe sosny na niem stały i jasne domki świeciły się wpośród zieleni. Piotr zapytał jeszcze otaczających go oficerów:

— Jak nazywa się ląd, który tam widać?

Odrzekli chórem:

— „Pommern“.

Wyteżył wzrok w tamtą stronę. Wpatrzył się w żółte, lśniące na słońcu wybrzeża. Podźwignął ręce i wyciągnął je do dalekich — dalekich białych domków kaszubskich, o których marzył przez całe życie. Wszeptał:

— Pomorze!...

Drgnęło, usłyszawszy ten dźwięk, półkole oficerów. Złowrogo zaświeciły oczy...

---

Paryż 1912.



INSTYTUT  
BADAŃ LITERACKICH PAN  
BIBLIOTEKA  
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72  
Tel. 26-68-63











F  
3979  
2